KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 4/210 1965



• « La Culture » • Revue mensuelle •

Zb. BRZEZIŃSKI :
DROGA DO PRZYSZŁEJ EUROPY

A. RUSZKOWSKI :
TRZECIA SESJA SOBORU

R. KRYGIER :
DZIENNIK PODRÓŻY NA PÓŁNOC

A. CZERNIAWSKI : **WOJAŻ**

SPIS RZECZY

Zbigniew Brzeziński:	*Droga do przyszłej Europy*	3
Ryszard Krygier:	*Dziennik podróży na północ*	43
Adam Czerniawski:	*Wojaż*	62
Ignacy Wieniewski:	*Pseudo Homera bój żabomysi*	70

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Spotkanie w Torgau*	79
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	86
S.W. Kozłowski:	*Przegląd niemiecki*	93

SPRAWY I TROSKI

Roman Gronowski:	*Cienie nad Australią*	97

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Andrzej Ruszkowski:	*Trzecia sesja Soboru*	107

KRONIKA KULTURALNA

Zygmunt Turkiewicz:	*Wystawy londyńskie*	125
(m.l.d.):	*W oczach Londynu*	133
J.St. Clair-Sobell:	*Przyjaciele studiów słowiańskich* ..	143
—	*Komunikaty*	167

KSIĄŻKI

Henryk Wroński:	*Prof. Lipiński a polska myśl ekonomiczna*	146
Adam Czerniawski:	*Poeta sam*	153
Józef Piotr Jaksiński:	*„Monogramy"*	156
Maria Danilewiczowa:	*Słownik pisarzy polskich*	159
Maria Czapska:	*„Z matki obcej..."*	162
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	165

◆

Zofia Hertz:	*Humor krajowy*	167

◆

H. Cyba, Cz. Dobek, B.J. Jenne, J. Nowak, J. Rostworowski, Z. Scheuring, B. Szarlak, M. Więckowski, M. Wróblewska, T. Komarnicki, Redakcja „Kultury":	*Listy do Redakcji*	168

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień - Avril 1965

INSTYTUT LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

RUSZKOWSKI Andrzej. Wykłada na papieskim Uniwersytecie Katolickim w Peru historię doktryn ekonomicznych i elementarny kurs socjologii. Ponadto jest dyrektorem biura Stosunków Zagranicznych i Współpracy Kulturalnej. W czasie trzeciej sesji Soboru był wice-dyrektorem Centrum Informacyjnego na Amerykę Południową oraz „invité permanent" na posiedzenia plenarne Soboru.

◆

WROŃSKI Henryk. Ekonomista. Studia na S.G.H. w Warszawie: Wydz. prawa i Nauk Ekonomicznych na Uniw. w Lublinie oraz studia na Uniw. w Paryżu (doktorat z ekonomii). Specjalizacja: planowanie i koniunktury gospodarcze.

W latach 1952-1954 pracuje w Institut de la Conjoncture et des Etudes Economiques. Od 1954 prowadzi badania w Centre Nat. de la Recherche Scientifique — od 1962 w stopniu Maître de Recherche. W 1963 mianowany członkiem Comité Nat. de la Recherche Scientifique (Séction: Sciences Economiques et Financières) naczelnej instytucji badawczej odpowiadającej Akademii Nauk. W r. 1957 odznaczony srebrnym medalem CNRS, które to odznaczenie może być przyznane raz na dwa lata za badania z dziedziny nauk ekonomicznych we Francji. Jedna z prac H. Wrońskiego: *Remunération et niveau de vie dans les kolkhozs. Le Trudoden* — jest pierwszą i dotychczas jedyną książką dotyczącą życia 650 milionów kołchoźników i stała się klasycznym podręcznikiem na wielu wydziałach nauk ekonomicznych.

◆

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Stena Kałużniacka, Phoenix, Arizona, (USA), po raz piąty	14,50 F
Nina Sereda, Montreal, Que (Kanada), po raz siedemnasty	48,20 „
Edward Holub, Irvington, N.Y., (USA), po raz drugi	9,80 „
Marc Hurvic, Paryż, po raz drugi	30,00 „
W. Kądziołka, St. Laurent Grandin, Sask (Kanada)	9,00 „
Ks. Rektor dr I. Nazarko, Rzym	34,00 „
Prof. Łoziński, Montreal, Que (Kanada)	10,00 „
Bolesław Frydrych, Chicago, Ill., (USA)	24,00 „
Dr S.N. Korzeniowski, Ladd, Ill., (USA), po raz dwunasty	31,00 „
Jerzy Dobrzański, Toronto, Ont., (Kanada), po raz drugi	31,50 „
Stefan Mnich, Tenbury, Middlesex (W. Brytania)	50,00 „
Anonimowo, Tanganyika	138,00 „
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria), po raz dziewiąty	24,00 „
Stanisława Lepucka, Battle Creek, Mich., (USA)	48,00 „

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Droga do przyszłej Europy[1]

Zimna wojna straciła w Europie swe dawne znaczenie. Odznaczała się ona tak długo pasją i żywotnością dopóki każda ze stron miała podstawy wierzyć, że zwycięży i szczerze niepokoiła się niebezpieczeństwem, które zagrażało jej ze strony przeciwnej. Dzisiaj te oba elementy właściwie nie istnieją. Zachód zdaje sobie sprawę, że bezpośrednią akcją polityczną nie zlikwiduje reżymów komunistycznych we wschodniej Europie, nie zjednoczy Niemiec i, co ważniejsze, nie zmusi Związku Sowieckiego do wycofania się znad brzegów Łaby. Komuniści, a w szczególności przywódcy sowieccy, w swych przewidywaniach przestali liczyć się z możliwością wybuchu rewolucji komunistycznych na Zachodzie. Dwie porażki sowieckie poniesione w Berlinie w latach 1948/49, oraz w 1958/62 odegrały taką samą rolę w obozie komunistycznym, co bierność Zachodu w czasie powstania wschodnio-niemieckiego w 1953 i podczas rewolucji węgierskiej w 1956, w obozie zachodnim.

Status quo w Europie nie budzi jednak zadowolenia. Podział Europy na Łabie jest przeciwny naturze i historii oraz niezgodny jest z obecnym nastawieniem, zmierzającym nie tylko do politycznego i ekonomicznego zjednoczenia Europy, ale, co ważniejsze, do szybko postępującego psychologicznego poczucia jedności europejskiej. Mało kto w Europie, zarówno po tej jak i po tamtej strony rzeki Łaby, łącznie z coraz większą liczbą Rosjan, gotów jest twierdzić, że podział kontynentu leży w interesie Europejczyków. A na pewno nie leży on w interesie pokoju.

Mimo to, nastawienia polityczne, wypływające z iluzji, obaw i aspiracji przeszłości, usztywniają pozycje po obu stronach linii podziału. Tymczasem, wzrasta niebezpieczeństwo, że Wschód

1. Jest to przerobiona część książki, *Alternative to Partition: For a Broader Conception of America's Role in Europe*, którą ma wydać w bież. miesiącu w Nowym Yorku McGraw-Hill dla *Atlantic Policy Program of the Council on Foreign Relations.*

zawiedziony ideologicznie i szarpany wewnętrznymi konfliktami, obróci się przeciwko sobie, stwarzając możliwości gwałtownych konfliktów nacjonalistycznych. Równocześnie coraz większe różnice zaczynają dzielić Zachód. Jedność w dążeniach, która zrodziła się głównie z obawy przed agresją rosyjską, rozpada się teraz w skutek destrukcyjnych sporów, dotyczących pierwszeństwa, celów i interesów. Zachodnie odruchy stanowczości wzmacniają sowieckie poczucie zagrożenia, a zachodnie wahania budzą sowieckie nadzieje ofensywne. Obie te postawy przyczyniają się do sztucznego i bezcelowego utrzymania podziału europejskiego.

Stanowisko sowieckie opiera się w dalszym ciągu na nadziei, że Europa zachodnia rozpadnie się i w związku z tym polityka Moskwy w Europie ciągle jeszcze sądzi, że doprowadzenie do tego rozbicia jest jej głównym celem. Polityka niemiecka, którą ograniczają wąskie perspektywy narodowe, dąży stale do osiągnięcia dwóch zasadniczo sprzecznych ze sobą celów, zjednoczenia i (oficjalnie przynajmniej) rewizji granic; ten drugi cel utwierdza Polaków i Czechów w dążeniu do utrzymania podziału Niemiec. Francuzi mówią o Europie aż po Ural, lecz jednocześnie starają się wyeliminować Stany Zjednoczone z Europy, wskutek czego rozbijają jedność zachodnią, podniecają sowieckie nadzieje ofensywne i odbierają samym sobie oparcie na Zachodzie potrzebne im dla zrealizowania tego wielkiego zamiaru. Stany Zjednoczone porzuciły politykę „wyzwolenia"; wysuwając jednak koncepcję „budowania mostów" ze Wschodem, która stała się nieomal celem samym w sobie, zaczynają w polityce mylić środki z celami. Żadne więc z większych mocarstw nie stara się w rzeczywistości by skutecznie rozwiązać problem podziału Europy.

Czy można usunąć przepaść, która dzieli Europę, bez wywołania wrażenia, że ktoś przed kimś kapituluje? Czy można odbudować Europę bez spowodowania nowych konfliktów? Pytania te dotyczą zasadniczego problemu Europy w zbliżającej się dekadzie. Na skutek wewnętrznych nacisków domagających się zmiany, które przyspieszył spór chińsko-sowiecki i które manifestują się w Związku Sowieckim i w Europie Wschodniej, oraz na skutek faktu, że Europa zachodnia coraz gwałtowniej poszukuje własnego oblicza, podział na Łabie staje się coraz trudniejszy do przyjęcia a postawione pytania coraz pilniejsze. Dzisiejsza Europa, jak to doskonale określił de Gaulle, nie ma „ani duszy, ani kręgosłupa, ani korzeni". Lecz coraz więcej Europejczyków zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie, boleśnie odczuwa tę sytuację.

Minął już czas kiedy Niemcy — jeśli idzie o sprawę zjednoczenia — zadawalali się polityką opartą wyłącznie na deklaracjach. Obecnie wewnętrzna sytuacja w Niemczech oraz ogólna zmiana stosunku Europy do Ameryki wskazują wyraźnie, że problem niemiecki staje się znowu kluczowym zagadnieniem w polityce Stanów Zjednoczonych; sposób w jaki Amerykanie po-

dejdą do tej sprawy może mieć decydujący wpływ na przyszły stosunek Ameryki do Europy. Amerykanie zaś, jeśli chcą osiągnąć realne cele muszą przede wszystkim oprzeć się na szerszej znajomości Europy i muszą zwłaszcza wziąć po uwagę zmiany, jakie zachodzą we wschodnim bloku. Problem podziału Niemiec związał się tak zasadniczo z problemem podziału Europy, że nie można rozwiązywać jednego z nich bez rozwiązania drugiego.

Ponieważ podział jest wynikiem historycznego procesu związanego z dwiema wojnami światowymi, więc na pewno jakiś jednorazowy układ polityczny nie zapewni odbudowy Europy. Odbudowy tej nie umożliwi również wycofanie Amerykanów i Rosjan z Europy. Zresztą ani Stany Zjednoczone, ani Związek Sowiecki nie zrezygnują z Europy; każde z tych mocarstw obawiać się będzie, że jego wycofanie ułatwi wzrost potęgi przeciwnika — i to bez względu na wzajemne oficjalne gwarancję, Europa zaś w najbliższej przyszłości, mimo deklaracji de Gaulle'a, nie będzie na tyle potężna, aby mogła samodzielnie się zjednoczyć. Zjednoczenie to może nastąpić dopiero wtedy, gdy konflikt amerykańsko-sowiecki przekształci się z czasem we współpracę. Wymaga to zarówno cierpliwości, jak i wyobraźni. Ale i nie wyklucza jakiejś odważnej inicjatywy, która by w sposób zdecydowany popchnęła ten stopniowy proces naprzód.

De Gaulle napisał kiedyś, że o wielkich przywódcach pamięta się dlatego, że posiadali „rozmach we wszystkim co robili". Dotyczy to w równym stopniu narodów. Miarą ich poczynań jest nie tylko ich potęga, lecz także skala ich celów. Ten, kto służy wielkiej sprawie, stwarza siłę przyciągania i mobilizuje zwolenników. Kierownictwo ma raczej charakter dynamiczny niż statyczny — rośnie na sile w miarę podjętych zadań.

Ameryka stoi dzisiaj w obliczu wielkiego i coraz pilniejszego zadania: musi podjąć inicjatywę stworzenia całej Europy. Jej usiłowania aby związać ze sobą tylko Europę Zachodnią i w ten sposób obronić ją przed Rosjanami, muszą z konieczności budzić podejrzenia u Europejczyków, że dąży do hegemonii; podejrzenie to staje się tym silniejsze, że obawy Europejczyków przed Rosjanami zbladły, a potrzeba uzależnienia się od Ameryki zmalała. Nowe plany bezpieczeństwa, takie jak wielostronna siła atomowa (MLF), które skądinąd mogą być pożyteczne, nie rozwiążą problemu stosunków amerykańsko-europejskich, gdyż istota sprawy dotyczy w mniejszym stopniu bezpieczeństwa europejskiego, co samego *celu* tych stosunków. Europejczycy coraz wyraźniej i szerzej dochodzą do przekonania, że dla przyszłych losów Europy, podzielonej, bezpiecznej, lecz w pewnym sensie zawiedzionej, Ameryka staje się mniej potrzebna. Fakt, że wezwania de Gaulle'a o „europejską Europę" i o „Europę aż po Ural" spotykają się z coraz większą sympatią, oraz fakt, że w polityce niemieckiej oznaki wzrastającego zniecierpliwienia są coraz bardziej widoczne, stanowią dowód, że Europa

wchodzi w nową erę i że narastają w niej nowe nastroje. Te nowe zjawiska pociągną za sobą specjalne konsekwencje jeżeli chodzi o stosunek Ameryki do Europy.

Gdyby Ameryka podjęła inicjatywę polityczną, zmierzającą do zbliżenia do Zachodu zarówno Rosji jak i Wschodniej Europy i do zakończenia w ten sposób podziału, to na pewno odbiłoby się to korzystnie na jej podstawowych interesach. Po pierwsze, tego rodzaju krok obudziłby na nowo w Europie zanikające obecnie uczucie, że Ameryka jest jej potrzebna. Po drugie, stworzyłby odpowiednie ramy, które umożliwiłyby krajom Europy Wschodniej powrót do niepodległości bez jednoczesnego wywołania nowych niepewności i podsycenia wąskiego nacjonalizmu. Wreszcie, stwarzając podstawy dla szerszego rozwiązania problemów między Wschodem i Zachodem, usunąłby istniejące w Europie obawy, że dojść może do amerykańsko-sowieckiego porozumienia politycznego. Wszystko to odpowiadałoby poglądom społeczeństwa amerykańskiego i amerykańskiemu dążeniu do utrzymania porządku światowego.

Są ludzie którzy sądzą, że Europa, która uwolni się od Ameryki, łatwiej rozwiąże problem podziału. W oczach Rosjan i wschodnich Europejczyków taka Europa będzie mniej niebezpieczna i w konsekwencji gotowi będą nawiązać z nią bliższe stosunki. Pogląd ten nie bierze jednak po uwagę możliwości, że proces zmierzający do utworzenia „niezależnej", oderwanej od Ameryki, Europy, wywołała konflikty i niepewność, które Rosjanie będą starać się wykorzystać. Po drugie, i to jest równie ważne, Niemcy miałyby prawdopodobnie przewagę w takiej Europie, a to nie byłoby na pewno magnesem przyciągającym wschodnich Europejczyków i Rosjan. Ponieważ Stany Zjednoczone nie roszczą sobie żadnych pretensji do terenów położonych za Łabą, ich stała współpraca z Europą zachodnią byłaby najlepszą gwarancją dla Rosjan i wschodnich Europejczyków, że Zachód nie stanowi dla nich bezpośredniego zagrożenia politycznego.

Dążenie Ameryki do pokojowego zjednoczenia Europy ma większe szanse zdobycia poparcia Europy Zachodniej niż dawna polityka „wyzwolenia", czy obecne usiłowania wprowadzenia bardziej sprawiedliwej kontroli broni atomowej, nie mówiąc już o próbach wciągnięcia Europy do odległych raczej problemów azjatyckich i afrykańskich. Tego rodzaju szeroki program zmniejszyłby siłę atrakcyjną gaullizmu i mógłby nawet zapobiec ewentualnemu zbliżeniu gaullizmu do Rosji. Poza tym zredukowałby niebezpieczeństwo, że na skutek rozkładu jedności zachodniej, sojusz amerykańsko-niemiecki pozostałby jedyną więzią między Ameryką a Europą.

Dwustronne stosunki amerykańsko-niemieckie mogą mieć tylko charakter defensywny; nie mogą one przyciągać Europy Wschodniej i nie mogą być podstawą dla jakiejś konstruktywnej polityki wobec Wschodu. Tego rodzaju układ stosunków mógłby ewentualnie odegrać rolę tarczy dla zachodniej Europy, lecz jej skuteczność — co nie jest paradoksem — przyczyniałaby

się do dalszego rozbicia Zachodu. W porcie, nad którego bezpieczeństwem czuwałaby potęga amerykańsko-niemiecka, zakwitałyby nieporozumienia europejskie. W takiej Europie nie byłoby miejsca dla Ameryki; a ponadto gdy stanie się już jasne, że współpraca amerykańsko-niemiecka nie zapewni Niemcom zjednoczenia, więzy między tymi dwoma krajami zaczną się rozluźniać.

Trzy podstawowe założenia powinny kierować polityką amerykańską w jej dążeniu do odnowy europejskiej. Po pierwsze, *należy utrzymać siłę wojskową Zachodu i bronić energicznie interesów zachodnich.* Sprawa ta nie nasuwa najmniejszych wątpliwości. Siła wojskowa ułatwia jednak w równym stopniu politykę wzrastającej współpracy i ewentualnej zgody co politykę nacisków i konfliktów. Dlatego właśnie, że cele i środki polityki, o której mówię, są pokojowe, konieczne jest aby druga strona nie miała najmniejszych wątpliwości, że Zachód zdecydowany jest bronić własnych interesów. Jeżeli status quo stanowić ma podstawę dla ewentualnego pojednania, to Zachód musi chronić go z największą czujnością.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat Sowiety dowiodły wielokrotnie, że uważają Berlin za wysuniętą placówkę Zachodu, mało odporną na różne naciski. Można więc spodziewać się, że od czasu do czasu Sowiety uciekać się będą właśnie do metody nacisków. Trzeba się temu kategorycznie przeciwstawiać, gdyż nawet kilkugodzinna przerwa w dostępie do Berlina, podważa pozycję Zachodu. Gdy po pięćdziesięcio-godzinnym opóźnieniu Sowiety zgadzają się ostatecznie na przepuszczenie zachodniego konwoju, nie jest to zwycięstwo Zachodu, lecz dowód, że Związek Sowiecki może w każdej chwili zamknąć dostęp do Berlina. W przyszłości należy bardziej energicznie niż dotychczas reagować na tego rodzaju postępowanie Sowietów. Ponieważ Stany Zjednoczone pokazały dostatecznie wyraźnie, że nie mają zamiaru wkroczyć na teren Kuby, Kuba mogłaby może odegrać rolę pożytecznego zakładnika w związku ze sprawą Berlina. Na każde, wywołane przez Sowiety opóźnienie jeśli idzie o nasz dostęp do Berlina należy natychmiast zastosować podobne utrudnienia wobec statków sowieckich na wodach międzynarodowych wokół Kuby. Tego rodzaju akcja mająca ten sam charakter samowolny, stanowić będzie dla kierownictwa sowieckiego przestrogę, ze Zachód nie będzie tolerował jakiegokolwiek uszczuplania jego praw.

Jest sprawą zasadniczą aby Zachód nie prowadził jakiejkolwiek polityki ugodowej w warunkach umożliwiających stronie przeciwnej uprawianie skutecznego szantażu wojskowego. Historyczne znaczenie wydarzeń kubańskich polega na tym, że podważyły pewność przywódców sowieckich, iż — dzięki swej zręczności — mogą uzyskiwać ustępstwa od Zachodu pod naciskiem gróźb wojskowych. Nie wolno nam dopuścić do tego, aby zaczęli na nowo myśleć, że na wszystko mogą sobie pozwalać.

Po drugie, *jakakolwiek podstawowa zmiana w stosunkach*

między Europą wschodnią i zachodnią musi w równym stopniu dotyczyć Europy wschodniej jak i Rosji. Polityka oparta na założeniu, że można zachęcać poszczególne państwa wschodnio-europejskie do tego, aby przeszły na stronę Zachodu nie ma szans powodzenia; w ostatecznym bowiem rachunku kierownicze elity komunistyczne nie chcą aby Zachód je pochłonął, mimo, że pod naciskiem sytuacji gospodarczej i swoich społeczeństw grawitują w tym kierunku. Związek Sowiecki dołoży na pewno wszelkich starań aby zapobiec otwartemu wyłamaniu się jakiegoś państwa z szeregów Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej czy Organizacji Paktu Warszawskiego. Poza tym, Jugosławia i Polska są dowodem, że kierownicze elity komunistyczne skłaniają się na nowo ku Moskwie, gdy tylko udało im się usunąć ze stosunków ze Związkiem Sowieckim te sprawy, które budziły w nich zastrzeżenia. Ich wyłamanie się miało więc charakter prowizoryczny i ograniczony.

Indywidualne wyłamywanie się krajów wschodnio-europejskich, gdyby nawet było możliwe, też nie będzie sprzyjać sprawie pokoju. Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki przez długi jeszcze okres czasu pozostaną głównymi współzawodnikami, ubiegającymi się o potęgę światową. Wszelkie więc dramatyczne zmiany, w tym czy innym kierunku — przejście krajów wschodnio-europejskich na stronę Zachodu, czy rozbicie Europy zachodniej i usunięcie z niej Ameryki — zachwieją bezpośrednio obecną równowagę sił oraz mogą uruchomić niebezpieczne reakcje i kontr-reakcje. Poza tym, indywidualne wyłamanie się, szczególnie jeżeli nastąpi w wyniku akcji Zachodu, zmniejszy łagodzący wpływ Wschodniej Europy na Rosję i, w konsekwencji, opóźni proces rosyjskiej ewolucji.

Zmiana, która rozpoczęłaby się od wewnętrznej liberalizacji społeczeństw wschodnio-europejskich i która prowadziłaby je, wraz ze Związkiem Sowieckim, w kierunku stopniowej przemiany w Większą Europę — byłaby bardziej pożądana. Nie należy przypuszczać, że miałaby ona charakter jakiejś zsynchronizowanej ewolucji. Z racji historycznych więzów z Zachodem, a w pewnych wypadkach z powodu wyższego stopnia rozwoju wewnętrznego istniejącego przed objęciem władzy przez komunistów, wschodnia Europa może ewoluować szybciej niż Rosja. Odnosi się to głównie do Czechosłowacji, w mniejszym stopniu do Węgier i Polski. Wszelkie nadzieje, że te wschodnio-europejskie kraje przekształcą się w najbliższym czasie w społeczeństwa demokratyczne lub opuszczą orbitę komunistyczną, są nierealne; natomiast ich szybka ewolucja będzie o wiele istotniejsza jeżeli pociągnie za sobą podobną ewolucję w Związku Sowieckim, poprzez więzy łączące te kraje. W następstwie zmiany w Związku Sowieckim mogą wywołać dalsze przemiany w tych krajach wschodnio-europejskich, które, także ze względów historycznych, pozostają w tyle nawet za Rosją. W ten sposób wschodnia Europa, o ile nie oderwie się, może w swym pochodzie naprzód pociągnąć za sobą Związek Sowiecki i w konsekwencji, kumulując

wszystkie elementy, przygotować odpowiedni grunt dla lepszych stosunków między Wschodem i Zachodem.

Nie znaczy to, że należy potępiać indywidualne akty niezależności narodowej, jak na przykład w wypadku Rumunii. Podkreślenie narodowej niezależności przez Bukareszt automatycznie zmniejszyło hamujący wpływ Związku Sowieckiego we wschodniej Europie. Poza tym zmusiło Moskwę — co było także korzystne — do zrewidowania swego postępowania wobec krajów Wschodniej Europy, postępowania, opartego na twardym narzucaniu własnego nacjonalizmu gospodarczego. Nie trzeba jednak przeceniać znaczenia tego kroku. Nie wybudujemy na pewno zdrowej Europy popierając antysowieckie dyktatury nacjonalistyczne. Przyniosłyby one bowiem ze sobą wszystkie tradycyjne konflikty terytorialne i etniczne, stwarzając pokusę dla Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych by wmieszać się do nich ponownie. Zachód postąpiłby krótkowzrocznie gdyby dosiadł nacjonalistycznego tygrysa w nadziei, że będzie on groźbą tylko dla świata opanowanego przez Sowiety; tygrys ten bowiem może zagrozić całej Europie.

Po trzecie, *do połączenia Niemiec dojdzie tylko na skutek stopniowej lecz istotnej zmiany w stosunkach między Związkiem Sowieckim i Wschodnią Europą z jednej strony, a Zachodem z drugiej.* Najprawdopodobniej zjednoczenie Niemiec będzie ostatnim, a nie pierwszym aktem na drodze stopniowego jednoczenia kontynentu europejskiego, wynikającym z całego procesu zmian; nie wydaje się aby mogło to nastąpić na skutek jakichś nawet daleko idących decyzji dyplomatycznych, powziętych przy stole konferencyjnym. Zarówno polityka niemiecka jak i amerykańska zdały sobie nareszcie sprawę z tego faktu. Lecz uświadomienie sobie tej prawdy wpływa w konsekwencji na rewizję naszych poglądów na takie zagadnienia jak Mur Berliński czy problem granic wschodnich.

Przykro przyznać, że Mur Berliński na dalszą metę zwiększył widoki na zjednoczenie Niemiec. Tak długo jak trwały masowe ucieczki z Niemiec Wschodnich, sytuacja stawała się coraz bardziej niepewna, a napięcie wzdłuż niemieckiej linii demarkacyjnej wzrastało. Ponieważ Związek Sowiecki nie mógłby pogodzić się z możliwością upadku reżymu wschodnio-niemieckiego, musiał wzmocnić swoją pozycję w Niemczech Wschodnich i skonsolidować swe panowanie w sąsiadujących rejonach. Wypadki w 1953 i 1956 wykazały, że Zachód nie jest skłonny do interwencji, aby poprzeć powstanie w Niemczech Wschodnich. W konsekwencji, napięcie i masowe ucieczki przyczyniły się jedynie do wzrostu wrogich uczuć między Wschodem i Zachodem, nie zwiększając w żadnym wypadku szans zlikwidowania linii podziału.

Mur Berliński stał się dla Zachodu jaskrawym symbolem, który podkreślał zasadniczą sztuczność reżymu wschodnio-niemieckiego; lecz symbol ten nie stwarzał już niebezpieczeństwa, które wywoływało zniecierpliwienie z powodu codziennego na-

ruszania i codziennego przypominania tej sztuczności. Co najważniejsze, względny spokój na niemieckiej linii granicznej umożliwił Zachodowi podjęcie kroków we Wschodniej Europie, zmierzających do popierania zmian ewolucyjnych; kraje wschodnioeuropejskie zareagowały na kroki te tym chętniej, że miały poczucie pewnego bezpieczeństwa, którego dostarczało im państwo buforowe w postaci Niemiec Wschodnich. Wszystko to, mimo wywołanego niepokoju i demoralizacji, leży w długofalowym interesie Zachodu, a także w interesie Niemiec.

Ponadto, przesunięcie punktu ciężkości problemu europejskiego z Niemiec do Europy Wschodniej stworzyło we Francji i w Wielkiej Brytanii bardziej sprzyjające warunki do szczerego poparcia sprawy zjednoczenia Europy. Państwa te tylko pozornie wypowiadały się za zjednoczeniem Niemiec, bo przecież żadne z nich nie mogło myśleć z zimną krwią o połączeniu w jedną całość kraju, który liczył 70 milionów mieszkańców i był największą potęgą w Europie. Jeżeli zwykłe przesunięcie europejskiej linii podziału z Łaby na Odrę, które pozostawiłoby wschodnią Europę we władaniu Związku Sowieckiego, a zachodnią pod panowaniem Niemiec, nie budzi, poza Niemcami, entuzjazmu u zachodnich Europejczyków to szersze rozwiązanie tego zagadnienia, które wciągnęłoby wschodnią Europę i Rosję, może zmobilizować sympatię nawet tych, którzy obawiają się Niemiec i którzy uważają, że zobowiązanie zjednoczenia tego kraju, jest pustym frazesem. To szersze rozwiązanie wymaga jednak doprowadzenia do normalizacji stosunków Niemiec ze wschodnią Europą, a w szczególności załatwienia istotnej sprawy granic wschodnich.

Pięć celów politycznych

Polityka zachodnia w Europie musi więc opierać się na trzech głównych przesłankach: trzeba utrzymać zachodnią potęgę wojskową, wciągnąć zarówno wschodnią Europę jak i Rosję do każdego rozwiązania ostatecznego, oraz uzależnić zjednoczenie Niemiec od ewolucyjnych zmian na wschodzie. Przesłanki te są wzajemnie od siebie zależne, należy więc równocześnie dążyć do zrealizowania celów, do których one prowadzą. Zachód nie rozwiąże problemu Niemiec jeżeli nie podejmie polityki, która obejmie cały splot zagadnień dotyczących podziału Europy. Pięć celów politycznych, o których mówię poniżej, wiąże się z tą sprawą.

1. *Należy przekonać wschodnich Europejczyków, a w szczególności Czechów i Polaków, że istnienie Niemiec Wschodnich ogranicza ich wolność, nie wzmacniając jednocześnie ich bezpieczeństwa.* Jeżeli nie wyrobimy w nich tego przekonania, Czesi i Polacy domagać się będą w dalszym ciągu obecności Sowietów w Niemczech Wschodnich, które w ten sposób będą odgrywać — w ich oczach — rolę ochrony przed Zachodem. Aby podważyć

znaczenie, jakie mają Niemcy Wschodnie dla wschodniej Europy, Zachód musi zająć inną postawę wobec nich, a inną wobec Europy wschodniej. W stosunku do Niemiec Wschodnich obowiązywać winna polityka izolacji; jeżeli chodzi o Europę wschodnią, to trzeba wejść na drogę pokojowych akcji — gospodarszych, kulturalnych i wreszcie politycznych. Dopiero wtedy Niemcy Wschodnie staną się na mapie europejskiej politycznym anachronizmem i źródłem wiecznych kłopotów dla Moskwy; dla wschodniej Europy zaś nie będą już gwarancją bezpieczeństwa.

Próby, jakie dotychczas podjął rząd Niemiec Zachodnich, aby nawiązać bliższe stosunki z krajami wschodniej Europy przyczyniły się już znacznie do izolowania reżymu Ulbrichta. Jeżeli chcemy proces ten przyspieszyć, to należy zachęcać rząd Niemiec Zachodnich aby wypracował taką formułę polityczną która umożliwiłaby mu większą swobodę w stosunkach z krajami Europy wschodniej dzięki wyeliminowaniu ograniczeń narzuconych doktryną Hallsteina. Gdyby na przykład rząd w Bonn przestał stosować tę doktrynę do państw będących członkami Organizacji Paktu Warszawskiego, albo do tych, które sąsiadują z Niemcami, może mógłby w ten sposób stworzyć odpowiedni precedens, który nie byłby jednocześnie zachętą dla innych państw do uznania Niemiec Wschodnich. W każdym razie, jedynie poprawa stosunków z Niemcami zachodnimi może przekonać Europejczyków wschodnich, że zjednoczenie Niemiec otworzy im drzwi, prowadzące na Zachód; drzwi te są teraz zamknięte gdyż w Niemczech Wschodnich stacjonują sowieckie siły zbrojne.

Tylko fanatyczni komuniści przywiązują jakieś ideologiczne znaczenie do faktu, że istnieją komunistyczne Niemcy Wschodnie. Dla wszystkich innych Europejczyków wschodnich Niemcy Wschodnie posiadają wartość o tyle tylko, o ile odpowiadają one interesom narodowym ich krajów, a są one przede wszystkim defensywne; państwa te są przecież małe i nie mogą mieć jakichś agresywnych zamiarów. W miarę stopniowej ewolucji państw wschodnio-europejskich, którą będzie zręcznie popierać ugodowy Zachód, wartość Niemiec Wschodnich występujących w roli państwa buforowego zredukuje się i kraj ten zacznie przekształcać się w jakiś sowiecki Mozambik — czyli źródło irytacji dla wschodnich Europejczyków i zakłopotania dla Moskwy. Dopiero wtedy Kreml zacznie myśleć o możliwości zlikwidowania Niemiec Wschodnich, gdyż tylko Kreml, a nie komuniści niemieccy, *może* brać pod uwagę taką likwidację. Polityka amerykańska i niemiecka powinna dążyć do stworzenia takiej sytuacji nie zaś ograniczać się tylko do usiłowania przekształcenia reżymu wschodnio-niemieckiego w bardziej umiarkowany ustrój komunistyczny, który i Zachodowi i społeczeństwu wschodnio-niemieckiemu wyda się bardziej znośny.

Można spotęgować jeszcze ostracyzm Niemiec Wschodnich traktując kraje wschodnio-europejskie tak, jakby były w rzeczywistości całkowicie niezależnymi państwami, podkreślając w ten

sposób różnice między nimi a Niemcami Wschodnimi, które są skazane na to, aby być marionetką w rękach Moskwy. Kraje wschodnio-europejskie mogą stopniowo ewoluować gdyż są państwami narodowymi. Ich nacjonalizm pcha je w kierunku maksymalnego podkreślenia niezależności w stosunku do *tego jedynego* państwa, które obecnie ogranicza ich niepodległość — to znaczy Związku Sowieckiego. Dlatego też Stany Zjednoczone i Zachód powinny brać poważnie każdą propozycję w zakresie polityki zagranicznej, którą składają kraje wschodnio-europejskie i zachęcać je, by posuwały się naprzód w tej dziedzinie. Odpowiedź nasza na taką propozycję nie musi być z konieczności pozytywna, należy jednak dokładać wszelkich starań aby wciągać poszczególne państwa wschodnio-europejskie do rokowań i dyskusji. Dopinguje to ich dumę narodową, zmusza przywódców wschodnio-europejskich do wysłuchania kontr-argumentów Zachodu, często w charakterze nieomal prywatnym i z dala od superwizji sowieckiej oraz ułatwia im uświadomienie sobie własnych interesów narodowych. Zachód sam sobie szkodzi gdy lekceważy wschodnich Europejczyków (zdarzało się to często) widząc w nich wyłącznie pełnomocników Związku Sowieckiego; nie powinien robić tego nawet wtedy, gdy są nimi w rzeczywistości.

2. *Należy popierać pojednanie Polski z Niemcami.* W pewnej mierze wzorem tutaj powinno być pojednanie Francji z Niemcami w latach pięćdziesiątych. Porozumienie to winno stać się oficjalnym celem Stanów Zjednoczonych, które są bliskim sojusznikiem Niemiec oraz krajem, gdzie mieszkają miliony Amerykanów pochodzenia niemieckiego i polskiego. Dopóki nie zakończyły się odwieczne nieporozumienia między Francją a Niemcami, nie można było zapewnić pokoju i pewności zachodniej Europie; w tym samym stopniu porozumienie polsko-niemieckie jest warunkiem *sine qua non* pokoju i pewności na Wschodzie. Prestiż moralny Stanów Zjednoczonych wzrósłby poważnie, gdyby uznały one oficjalnie, że ugoda taka jest jednym z ich głównych celów politycznych; decyzja ta stanowiłaby jaskrawy kontrast w porównaniu z metodami Związku Sowieckiego i komunistów, którzy uważają za wskazane podsycać wzajemną nienawiść polsko-niemiecką.

Dążenie do tego celu wysuwa nieuchronnie trudny i drażliwy problem granicy na Odrze i Nysie. Może nadejdzie dzień, w którym granice w Europie stracą wszelkie znaczenie, lecz nastąpi to dopiero wtedy, gdy nie będą one budzić zastrzeżeń i staną się bezpieczne. Poczucie niepewności w sprawach granicznych podtrzymuje narodowe nienawiści i niepokoje. Ponieważ nastawienie anty-niemieckie jest obecnie głównym atutem słabego i niepopularnego reżymu polskiego, rząd w Warszawie może uważać, że w ogóle nie należy dążyć do porozumienia z Niemcami, nawet do porozumienia w sprawie granicy. Dla rządu warszawskiego idealną sytuacją byłoby otrzymywanie gospodarczej po-

mocy z Zachodu a jednocześnie *nie* uzyskanie, mimo ciągłych nalegań, uznania granicy na Odrze i Nysie. Poza tym, w oczywistym interesie sowieckim leży nieustanne podsycanie tego zagadnienia. W związku z tym, akcja Zachodu powinna zmierzać do uspokojenia szeroko rozpowszechnionych w społeczeństwie polskim obaw przed Niemcami, nawet gdyby nie doszło do formalnego porozumienia polsko-niemieckiego.

Zmierzając do realizacji tego celu, Stany Zjednoczone muszą postępować z ogromną ostrożnością, aby nie doprowadzić do zerwania stosunków amerykańsko-niemieckich, od których w dużej mierze zależy zarówno jedność Zachodu jak i wewnętrzne zasady demokratyczne w Niemczech. Przekonanie Niemców, że Ameryka ich zdradziła, nie przysłuży się na pewno sprawie porozumienia polsko-niemieckiego. Polacy powinni zdawać sobie z tego sprawę, podobnie jak Niemcy powinni uświadomić sobie, że uśmierzenie obaw polskich pozbawi Moskwę istotnego atutu i stanowić będzie ważny krok naprzód w kierunku zjednoczenia Niemiec. Niemcy przekonywują się w coraz większym stopniu, że wszelkie żądanie zjednoczenia bez wyraźnego określenia stosunku do wschodnich granic niemieckich jest politycznie nie do przyjęcia. Nagłe uznanie obecnych granic przez Stany Zjednoczone wywołałoby gorzkie niezadowolenie w Niemczech; dlatego też Ameryka winna postępować etapami, które zmierzać będą do upewnienia Polaków, że nikt na Zachodzie nie spodziewa się ani nie domaga się jakiejkolwiek zmiany obecnych granic.

Decyzja otworzenia konsulatów amerykańskich w Szczecinie czy we Wrocławiu byłaby wstępnym krokiem na tej drodze[2]. Tego rodzaju posunięcie byłoby pożyteczne zarówno z punktu widzenia politycznego jak i symbolicznego. Poza tym gwarancja Organizacji Paktu Atlantyckiego, że przeciwstawi się użyciu siły dla przeprowadzenia zmiany w istniejących granicach europejskich, przyczyni się również w dużej mierze do zaistnienia warunków wstępnych, które ułatwią porozumienie polsko-niemieckie; gwarancja taka podbuduje bowiem jednostronne zobowiązanie, Niemiec w tej sprawie z 1954 roku. Ponieważ rząd w Bonn to zobowiązanie zaciągnął dobrowolnie trudno wyobrazić sobie, aby teraz mógł oponować przeciwko takim samym zapewnieniom Organizacji Paktu Atlantyckiego. Międzynarodowa gwarancja Zachodu byłaby na pewno bardziej przekonywująca dla Polaków, niż same obietnice niemieckie, które mogą wydawać się wątpliwe ze względu na dążenie Niemiec do zmiany granic.

Deklaracja w tym samym duchu ze strony Prezydenta Stanów Zjednoczonych, z okazji jakiegoś uroczystego i symbolicznego wydarzenia (lecz nie w czasie amerykańskiej kampanii wyborczej), która podkreśliłaby równocześnie konieczność zakończenia sporu polsko-niemieckiego, przyczyniłaby się do złagodzenia

2. Z. Brzeziński i W.E. Griffith, „Peaceful Engagement in Eastern Europe", *Foreign Affair*, lipiec 1961.

problemu, który podsyca jedynie dawne nieporozumienia, przynosząc głównie korzyści Związkowi Sowieckiemu. Wzorem takiej deklaracji mogłyby być oświadczenia Francji w sprawie granic, które nie wyrządziły szkody stosunkom francusko-niemieckim. Ponieważ Ameryka cieszy się taką ogromną popularnością i takim prestiżem w Polsce, oświadczenie jej miałoby specjalne znaczenie dla ludności tego kraju. Państwa zachodnie mogłyby wreszcie złożyć z góry zapewnienia, że mają zamiar uznać oficjalnie obecne granice, z chwilą gdy Niemcy zostaną zjednoczone; społeczeństwo polskie skłonne będzie wówczas pozytywniej oceniać owo zjednoczenie, nawet gdyby komunistyczny rząd polski początkowo się temu przeciwstawiał.

Jeżeli deklaracje te mają przyspieszyć zjednoczenie Niemiec, to na pewno będą one bardziej skuteczne o ile wystąpi się z nimi w chwili, gdy Polacy czują się ciągle zagrożeni sprawą granic. Z czasem ich poczucie niepewności może zniknąć; może im mniej zależeć na gwarancjach zachodnich i mogą uważać, że fakt, iż istnieją dwa państwa niemieckie, dostarcza im większego bezpieczeństwa. Polityka niemiecka powinna zapobiec temu aby w Polsce rozwinęło się nastawienie, że należy utrzymać podział Niemiec; celem jej winno być ożywienie więzów sympatii i współpracy, które w różnych okresach historii łączyły te dwa sąsiadujące ze sobą narody. Tylko wtedy stworzy się fundamenty, konieczne dla późniejszych układów. Jeżeli podstawa taka nie istnieje, to nie można oczekiwać od Polaków zainteresowania sprawą jakiegokolwiek rozwiązania problemu niemieckiego.

Jeżeli chodzi o Niemcy zachodnie, to partie polityczne muszą zająć bezstronną postawę w sprawie granic gdyż żadna z dwóch wielkich partii nie może pozwolić sobie na to, aby stwarzać okoliczności, które umożliwiłyby stronie przeciwnej wysunięcie oskarżenia, że zdradził interesy niemieckie. Stanowisko bezstronne, które połączy uroczyste wyrzeczenie się roszczeń do terytoriów straconych na skutek drugiej wojny światowej ze sprawą zjednoczenia, a które przedstawi się społeczeństwu niemieckiemu jako historyczny udział w sprawie porozumienia między narodami Polski i Niemiec, mogłoby przezwyciężyć nieuniknione opory ze strony elementów nacjonalistycznych[3]. Na szczęście sprawa porozumienia polsko-niemieckiego staje się coraz bardziej popularna wśród młodzieży niemieckiej. Dodajmy, że gdyby stanowisko takie zajęli sojusznicy zachodni wcześniej, zmniejszyliby niebezpieczeństwo, które grozić może politykom niemieckim: zarzut, że „zdradzają" pospiesznie interesy niemieckie.

Stany Zjednoczone mogłyby poza tym popierać pewną specjalną akcję, która zmierzałaby do rozwijania wzajemnego zro-

3. Jest to zgodne z zapewnieniem, które kanclerz Erhard złożył Europie wschodniej 15 października 1964: „Dołożymy wszelkich starań aby nieustannie wykazywać tym krajom, że jedyną przeszkodą na drodze wzajemnego pojednania jest nierozwiązana sprawa niemiecka i że dlatego, szybkie rozwiązanie tego zagadnienia, leży w ich najlepiej pojętym interesie".

zumienia między Polakami i Niemcami; poparcie takie podkreśliłoby konstruktywny udział Ameryki w sprawach Europy środkowej. W miarę możliwości, można by organizować spotkania między Amerykanami, Niemcami i Polakami, które uzupełniałyby dwustronną aktywność polsko-niemiecką, która jest już w toku. Trzeba położyć specjalny nacisk na działalność młodzieżową; zachęta w sprawie ewentualnej wspólnej polsko-niemieckiej akcji młodzieżowej w świecie trzeciej siły mogłaby dać doskonałe owoce. Wspólne wysiłki o charakterze humanitarnym przyczyniłyby się do wymazania wspomnień o konfliktach i do odnowienia braterskiego porozumienia, które istniało między Niemcami i Polakami nie dawniej niż w czasie „wiosny ludów" w 1848 roku.

3. *Należy zmniejszyć rosyjską obsesję w sprawie Niemiec.* Z powodu stosunkowo niedawnych wspomnień wojennych nie uda się prawdopodobnie usunąć całkowicie głęboko zakorzenionych obaw Rosjan przed Niemcami. Przywódcom sowieckim wygodnie jest poza tym posługiwać się Niemcami jako straszakiem i dlatego będą wykorzystywać każdą okazję aby utwierdzać przekonanie, że Niemcy zachodnie są krajem militarystów i rewanżystów. Tym niemniej, ponieważ społeczeństwo rosyjskie powoli, lecz widocznie ewoluuje, nie należy podsycać nacisków idących w przeciwnym kierunku, ani też wywoływać niepotrzebnych zadrażnień. Trzeba nieustannie pamiętać, że ani pogorszenie stosunków między Ameryką a Rosją, ani zwiększona nienawiść Rosji i Europy wschodniej do Niemiec nie ułatwią rozwiązania sprawy podziału Europy, a więc także zjednoczenia Niemiec.

Propozycja, o której mówi się czasami w Niemczech Zachodnich, że należy pomagać Chinom aby w ten sposób wywierać presję na Rosję, jest doskonałym przykładem koncepcji, której należy unikać. Argumentacja polityczna dotycząca pomocy dla Chin (pozostawiamy na uboczu czysto ekonomiczne zainteresowanie pewnych kół finansowo-przemysłowych aby nawiązać stosunki handlowe z Chinami) opiera się na tezie, że Sowiety będą musiały szukać pewnego porozumienia z Zachodem, gdy zaczną lękać się nowego i wrogiego okrążenia. Słabe i odosobnione Chiny — utrzymują wyznawcy tej teorii — nie mogą zagrażać Rosji. Ponadto, układ handlowy między Chinami a Niemcami Zachodnimi, wraz z klauzulą berlińską, doprowadzi do dalszej izolacji Niemiec Wschodnich i w konsekwencji będzie krokiem naprzód w kierunku zjednoczenia. Szacunek dla Stanów Zjednoczonych nakazał Niemcom sprawę tę odłożyć na okres po wyborach amerykańskich w 1964 roku, lecz, jak wydaje się, chcieli oni najpierw wybadać możliwości zawarcia nieoficjalnego układu handlowego z Chinami, który podpisałaby grupa firm niemieckich; po tym, jak przypuszczali, mogłoby dojść do podpisania bardziej oficjalnej umowy handlowej, zawierającej klauzulę berlińską i nawet przyznającej kredyty.

Jeszcze bardziej skrajne stanowisko w sprawie Chin zajmują

pewni, na szczęście nieliczni, Niemcy którzy obawiają się zmniejszenia napięcia między Moskwą i Waszyngtonem i wyobrażają sobie, że Chiny mogłyby być narzędziem, które ułatwi obalenie istniejących układów terytorialnych w Europie[4]. Koncepcja „drugiej, pośredniej zony", skierowanej zarówno przeciwko Waszyngtonowi jak i Moskwie, pociąga specjalnie tych, których irytują pozorne ograniczenia narzucone sojuszem amerykańsko-niemieckim i którzy pragną prowadzić politykę rewizjonistyczną w stosunku do status quo terytorialnego.

Postępując jednak w ten sposób, doprowadzilibyśmy do rozbudzenia uśpionych obecnie, europejskich konfliktów granicznych. Przyczyniłoby się to do dalszego rozbicia Zachodu, który nie chce popierać jakichkolwiek zmian w istniejących granicach europejskich. W samych Niemczech umocniłoby to pozycję skrajnego skrzydła prawicy i w ostatecznym wyniku spowodowałoby pewną izolację Niemiec w łonie obozu zachodniego. Poza tym pociągnęłoby to za sobą pewne „politycznie wojenne" podejście do sprawy zjednoczenia Niemiec. Jedynym skutkiem tego rodzaju polityki będzie zwiększenie zależności wschodniej Europy od Rosji i powstanie nowej fali antyniemieckich uczuć nacjonalistycznych w Rosji. W rezultacie Moskwa utwierdziłaby się w przekonaniu, do którego i tak się skłania, że Niemcy Zachodnie są bezmiennie krajem wrogim, a może nawet niebezpiecznym. Trudno wyobrazić sobie w jaki sposób polityka taka mogłaby służyć sprawie zjednoczenia Niemiec i sprawie pokoju. W rzeczywistości osiągnęłaby skutek odwrotny, ułatwiając powstanie sojuszu amerykańsko-rosyjskiego, który zmierzałby do utrzymania status quo w Europie, a więc także podziału Niemiec. Droga do Berlina wschodniego na pewno nie jest krótsza gdy prowadzi przez Pekin.

Rozważania te wykazują, że Niemcy zachodnie muszą być ostrożne nawet wtedy, gdy rozpatrują tylko możliwość ewentualnych stosunków handlowych z Chinami. Izolacja Niemiec Wschodnich jest rzeczą pożądaną i porozumienie z Chinami zawierające klauzulę berlińską może mogłoby ułatwić zrealizowanie tego celu[5]. Nie należy jednak zapominać, że w 1957 roku Chiny zawarły już taki układ (którego później nie odnowiono) i że fakt ten redukuje polityczne znaczenie każdego nowego porozumienia. Niemiecko-chiński układ handlowy — i to jest ważniejsze niż wywieranie jakichkolwiek „presji" na Związek Sowiecki — byłby równoznaczny z zapewnieniem Chinom rozwoju przemysłowego a w rezultacie wzrostu ich potencjału wojennego. Tego rodza-

4. Vide P.W. Wenger „Peking's Potsdam Attacks should be utilized", *Der Rheinische Merkur* (artykuł wstępny), 11 wrzesień 1964.

5. Nerwowe reakcje w artykułach wstępnych *Neues Deutschland* wskazują, że reżym wschodnio-niemiecki niepokoił się tą możliwością. Na przykład komentarz z 29 października 1964 wyrażał w konkluzji nadzieję, że spekulacje zachodnio-niemieckie „nie zakończą się powodzeniem gdyż kierownictwo Ludowej Republiki Chin nie zamierza popierać monopolistycznego kapitalizmu Niemiec Zachodnich".

ju konsekwencje musiałyby, ze względu na trwający konflikt między Stanami Zjednoczonymi a Chinami, zepsuć stosunki amerykańsko-niemieckie. A ponadto wydaje się że odosobniony wysiłek państwa zachodniego zmierzający do podniesienia rozwoju kraju tak ogromnego i tak zacofanego jak Chiny, jest z góry skazany na niepowodzenie.

Współpraca z Chinami przyniosłaby więc skutki odwrotne od tych, jakie może dać ograniczona współpraca ze wschodnią Europą. Ponieważ Europa wschodnia nie jest siłą wrogą i współzawodniczącą z Moskwą, jej bliższe kontakty z Zachodem mogą przysłużyć się zbliżeniu między Zachodem i Rosją i na odwrót zachodnia, a zwłaszcza niemiecka pomoc dla Chin, które są wzrastającym na sile konkurentem Rosji, może jedynie zniechęcić Rosjan do Zachodu. Gdyby doszło więc do wymiany handlowej między Niemcami a Chinami — wymiany spowodowanej wyłącznie względami ekonomicznymi — Niemcy nie powinny nadawać jej jakiegokolwiek posmaku politycznego i rozszerzać jej sztucznie dla celów politycznych.

Dużo trudniejszym problemem, dotyczącym stosunku Rosjan do Niemiec jest sprawa bezpieczeństwa wojskowego. Przed omówieniem jej sprecyzujmy pewne fakty: Niemcy są teraz uzbrojone konwencjonalnie; nie będą one rozbrojone; nikt na Zachodzie nie podejmie się takiego zadania, gdyż przeprowadzając je, nie udałoby się uniknąć rozbicia Zachodu. Wszystkie więc plany, które wypowiadają się za wojskową neutralizacją Niemiec, są politycznie nierealne. Nie można rozwiązać problemu Europy środkowej przy pomocy daleko idących zmian w istniejącej strukturze bezpieczeństwa — bez względu na to czy jest ona błędna i niewłaściwa — gdyż problem ten jest przede wszystkim zagadnieniem politycznym. Sytuacja wojskowa jest jego konsekwencją. Zmiany polityczne muszą poprzedzić zmiany wojskowe; a zmiany polityczne, o czym wiedzą teraz obie strony, można wprowadzać tylko stopniowo. Gdyby dwa przeciwne sobie supermocarstwa (pomijamy sprawę, że wszystko to jest mało prawdopodobne, ze względu na sprzeciw Niemiec zachodnich, a nawet Francji[6]) postanowiły stworzyć we wspólnym wysiłku „ne-

6. „Dla nas, Europa środkowa jest rzeczą istotną, gdyż jest to sprawa życia i śmierci. Sądzimy, że neutralność byłaby wielkim niebezpieczeństwem dla Europy środkowej, gdyż neutralność oznacza próżnię i będzie to próżnia między ogromną masą sowieckiej potęgi militarnej a tym, co pozostanie z zachodniej Europy, to znaczy Francją, krajami Beneluxu i Włochami". (Couve de Murville, wywiad udzielony *US. News and World Report*, 16 marzec 1964). Oderwanie się Ameryki od Europy byłoby także katastrofalne z punktu widzenia politycznego „gdyż nic nie popchnie silniej Niemców w kierunku gaullistowskich poglądów na świat — albo w kierunku projektów nawiązania samodzielnej współpracy z Rosją — jak obawa, że Amerykanie wycofają się z Europy". (R. Kleiman„ *Atlantic Crisis*, str. 146). Dla lepszego zapoznania się z różnymi planami dotyczącymi wycofania się Amerykanów, vide E. Hinterhoff, *Disengagement*, Londyn 1959. Ostatnio, pewne na nowo odgrzane wersje tego planu opierały się na przesłance, że rola Amerykanów w Europie dobiegła końca i że jednoczesne wycofanie się Amerykа-

utralną" i rozbrojoną próżnię, sprowadzałoby się to do wyznaczenia nowego „terenu polowań" dla obu stron; sprawa ta nabrałaby innego charakteru tylko w wypadku gdyby *poprzednio* oba super-mocarstwa w sposób zasadniczy zmieniły swe cele polityczne. Lecz wtedy cały plan okazałby się już niepotrzebny.

Gdy odrzucamy „neutralizację" nie znaczy to, że pochwalamy obecny podział Europy, ani też, że staramy się usprawiedliwić tezę, że rozwój potężnej wojskowo Europy zachodniej powinien być jedynym celem amerykańskiej polityki zagranicznej. Uzasadnione dążenie Zachodu do dalszego rozwinięcia niemieckich sił defensywnych nie powinno przesłaniać faktu, że w pewnych okolicznościach może ono zwiększyć stawkę, jaką z punktu widzenia wojskowego reprezentują Niemcy Wschodnie dla Związku sowieckiego. Tym niemniej nie należy tu stosować „skrajnych" rozwiązań. Jest rzeczą bezcelową zastanawiać się obecnie nad tym czy trzeba było odmawiać Niemcom pocisków rakietowych i nie dopuszczać ich całkowicie do klubu atomowego (szczególnie ze względu na komplikacje wywołane współzawodnictwem amerykańsko-francuskim). Nie należy jednak wykluczać możliwości, że w pewnych ściśle określonych okolicznościach, może być rzeczą wskazaną aby Niemcy ograniczyły dalszą rozbudowę militarną właśnie z powodu obaw Rosjan przed Niemcami, które są historycznie uzasadnione[7].

A zatem powstanie niezależnej, niemieckiej, narodowej siły atomowej także nie pomoże zjednoczeniu Niemiec. Ponieważ Rosjanie i wschodni Europejczycy podejrzewają, że wielostronna siła atomowa — czy inna atlantycka siła atomowa — stanowi olbrzymi krok naprzód w tym kierunku, zarówno Stany Zjednoczone jak i Niemcy Zachodnie powinny przekonać ich, że się mylą. W związku z tym byłoby dobrze gdyby stany Zjednoczone podkreśliły oficjalnie i w sposób jeszcze bardziej wyraźny stanowisko, jakie zajął w tej sprawie Prezydent Kennedy w wy-

---

nów i Rosjan przywróci Europie stabilizację i jedność. (Na przykład vide mało jasny i nieco pompatyczny atak na Organizację Paktu Atlantyckiego u Ronalda Steel, *The end of Alliance*, Nowy York, 1964).

7. Niektórzy łudzą się, że rozbudowa militarna Niemiec zachodnich stanowić będzie z czasem pożyteczną odskocznię dla przetargów ze Związkiem Sowieckim, Niemcy Wschodnie — za dezatomizację Niemiec Zachodnich. Faktem jest jednak, że rozwój sił zbrojnych stwarza pewne ukryte dążenia. W konsekwencji wydaje się rzeczą nie do pomyślenia aby z sił tych zrezygnować w całości lub części w zamian za polityczne ustępstwa sowieckie, gdyż wówczas wysunie się argument, że kupuje się jedność za cenę niepodległości. Ponieważ w międzyczasie sowieckie zainteresowanie Niemcami Wschodnimi wzrośnie, myśl, że uzbrojenie może być przedmiotem przetargów jest iluzją.

Błędne jest również przypuszczenie, że Stany Zjednoczone będą mogły przehandlować udział Niemców w wielostronnej sile atomowej czy w innych projektach atomowych w zamian za ustępstwa sowieckie. Nic bardziej nie podważy zaufania Zachodu do amerykańskiej ochrony jak myśl, że kolektywne zachodnie środki obronne mogą stać się przedmiotem dwustronnych rokowań między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim.

wiadzie, udzielonym *Izwiestiom* w listopadzie 1961 roku. Niemcy mogły by również wyciągnąć pewne korzyści polityczne gdyby złożyły na ręce Organizacji Narodów Zjednoczonych oficjalną deklarację, że w żadnym wypadku nie będą dążyć do stworzenia niezależnej siły atomowej, nie podlegającej wielostronnej kontroli i zarządowi[8].

Należy także zwrócić większą uwagę na polityczne konsekwencje jakie wywoła fakt przyznania Niemcom Zachodnim pocisków rakietowych, które mogą bezpośrednio dosięgnąć Związek Sowiecki. Pociski te podlegają co prawda „dwu-kluczowemu" systemowi kontroli, lecz na skutek możliwości dysponowania nimi przez zachodnio-niemieckie siły zbrojne, Związek Sowiecki znalazłby się po raz pierwszy od zakończenia drugiej wojny światowej w bezpośrednim zasięgu niemieckiej potęgi uderzeniowej. Wzmocni to tylko przekonanie Rosjan, Czechów i Polaków, że lepszy jest podział Niemiec niż ich zjednoczenie. W tej sytuacji Niemcy Zachodnie nic by nie straciły, a może wiele zyskały — gdyby z uporem proponowały państwom wschodnio-europejskim zawarcie dwustronnych traktatów o nieagresji i wznowiły swe poprzednie zobowiązania, że nigdy nie uciekną się do użycia siły, aby zagrozić bezpieczeństwu i integralności terytorialnej sąsiadów.

Krótko mówiąc, nasza polityka wojskowa winna starać się zaspokoić trzy podstawowe wymagania: należy zapewnić Europie zachodniej odpowiedni system obronny; należy zastosować zadawalający podział odpowiedzialności aby stawić czoła problemom politycznym Sojuszu; i wypełniając te dwa pierwsze zobowiązania, zapobiec negatywnym skutkom politycznym na Wschodzie. Ten ostatni warunek najczęściej lekceważono mimo że stał się on tym bardziej istotny, że na Zachodzie zarysowuje się coraz wyraźniejsza tendencja aby liczyć się z możliwością ewolucyjnych zmian na Wschodzie. Pochłonięci sprawą bezpieczeństwa Zachodu, zapominamy często o tym podstawowym fakcie, że świat wygląda zupełnie inaczej gdy patrzy się na niego oczami Rosjan i Europejczyków wschodnich; zapominamy też, że należy brać pod uwagę przeszłość historyczną oraz dane psychologiczne przeciwnika, szczególnie jeżeli celem naszej polityki jest pokojowe rozwiązanie istniejących różnic i pokojowe zmiany w status quo.

Nigdy nie podkreślimy dostatecznie faktu, że dopóki Rosjanie i Europejczycy wschodni nie zdecydują się na zaakceptowanie zjednoczenia Niemiec, nie nastąpi żadna podstawowa zmiana w sprawie podziału tego kraju. Zgoda na zjednoczenie wymagać będzie w pewnym momencie zasadniczej zmiany w poglądach Wschodu. By dojść do tej zmiany trzeba posuwać się etapami, czasami okrężną drogą i opierać się na dokładnych obli-

8. Vide mój artykuł: „Moscow and MLF: Hostility and Ambivalence". *Foreign Affairs*, październik 1964. Później sugestię tę poparł także senator W. Fulbright w listopadzie 1964.

czeniach; trzeba bowiem stworzyć taką sytuację, w której Moskwa i Europejczycy wschodni sami pewnego dnia odkryją, że stawka, jaką reprezentowały dla nich Niemcy Wschodnie, przestała istnieć (tak wydarzyło się to z Austrią w 1955 roku[9]).

Można tylko bardzo ogólnikowo określić dzisiaj podstawowe warunki wstępne, które umożliwią zjednoczenie Niemiec i które nie doprowadzą ani do objęcia władzy przez komunistów (maksymalny cel sowiecki), ani do jednostronnego wycofania się Sowietów (maksymalny cel Zachodu). Oto ich zestawienie:

a) Pozycja Sowietów we wschodniej Europie musi wykruszyć się do tego stopnia, żeby kraje wschodnio-europejskie przestały być posłusznym narzędziem w ich rękach, a Niemcy Wschodnie przekształciły się w odosobnioną kolonię sowiecką, utrzymywaną jedynie przy pomocy stacjonujących tam wojsk rosyjskich. Stany Zjednoczone i Niemcy Zachodnie dysponują na pewno możliwościami by, wywierając odpowiedni wpływ, doprowadzić do powstania tego warunku.

b) Polska i Czechosłowacja, a przynajmniej ich szeroka opinia publiczna, muszą przestać patrzeć na Niemcy jako na kraj wysuwający roszczenia terytorialne; muszą dojść do przekonania, że obecność Związku Sowieckiego w Niemczech Wschodnich jest już niepotrzebna i muszą przestać reagować posłusznie na manewry Moskwy, w których posługuje się Niemcami jako straszakiem. Tu także, Zachód może wywrzeć odpowiedni wpływ dając Europie wschodniej wyraźne gwarancje, dotyczące integralności narodowej i terytorialnej.

c) Związek Sowiecki i kraje wschodnio-europejskie muszą otrzymać gwarancję, że Niemcy Wschodnie, gdy przyłączą się do reszty kraju, nie staną się wysuniętą placówką Organizacji Paktu Atlantyckiego. Tego rodzaju obietnice Zachód może złożyć z góry. Można, na przykład, zaciągnąć zobowiązania i zawrzeć układy, że Niemcy Wschodnie będą strefą zdemilitaryzowaną przez pewien ustalony okres czasu. Rząd niemiecki rozciągnąłby władze suwerenne nad całymi Niemcami, lecz tylko obecna część zachodnia należałaby do Organizacji Paktu Atlantyckiego (przyjmując, że organizacja ta będzie jeszcze istniała); w obecnej zaś części wschodniej stacjonowałyby oddziały międzynarodowej straży pokojowej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Sowiety mogą łatwiej zgodzić się na inne jeszcze rozwiązanie; można zaproponować, że przez kilka lat pozostałyby w Niemczech Wscho-

9. Ci, którzy wypowiadają się za rozwojem potęgi Zachodu, nie biorąc pod uwagę skutków, jakie rozwój ten wywrze na Wschodzie utwierdzają nieostrożnie podział Niemiec. Vide, na przykład, Dean Acheson, „Withdrawal from Europe? An Illusion", *The New York Times Magazine*, 15 grudzień 1963. Równie niesłuszny jest pogląd przeciwny, który wypowiada George Kennan, a mianowicie, że przynajmniej chwilowo należy pogodzić się z istnieniem Niemiec Wschodnich („Polycentrism and Western Policy", *Foreign Affairs*, styczeń 1964). Oficjalna zgoda na status quo przyśpieszy nieuchronnie nieporozumienia między Niemcami a Amerykanami i pozwoli Rosjanom piec własną pieczeń i zajadać się nią później.

dnich garnizony sowieckie, mimo, że cały kraj będzie zjednoczony pod jedną i tą samą władzą polityczną (precedensem takim była Austria). Dodajmy, że pewne, ciągle istniejące, obawy Polaków i Czechów przed Niemcami stanowić będą dla Moskwy zapewnienie, że nie utworzono wzdłuż jej granic nowego *cordon sanitaire*.

d) Należy utrzymać korzyści gospodarcze, które płyną obecnie z Niemiec Wschodnich do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i do Związku Sowieckiego. Spełnienie tego warunku leży także w możliwościach Zachodu. Niemcy Wschodnie, jak już wspomnieliśmy, są głównym partnerem ekonomicznym Związku Sowieckiego i w konsekwencji reprezentują istotną pozycję gospodarczą w oczach Moskwy. By wypełnić ewentualną lukę Niemcy mogłyby zawrzeć dwustronne układy z Sowietami; gdyby zaś ich stosunki ekonomiczne z Moskwą miały się rozwinąć, będzie można je ująć w szersze ramy europejskiej współpracy gospodarczej. Zanim jednak to nastąpi musi dojść do ogólnych zmian w stosunkach gospodarczych między Wschodem i Zachodem.

4. *Należy połączyć rozwój więzów ekonomicznych z szerszymi kontaktami kulturalnymi i społecznymi.* Rozwijając wymianę handlową między Wschodem i Zachodem, Zachód winien dążyć do wyeliminowania wąskich poglądów ideologicznych kierowniczej elity komunistycznej, która stara się ograniczyć bliższe kontakty wyłącznie do dziedziny ekonomicznej, bo w ten sposób chce jednocześnie rozwiązać swe trudności gospodarcze, wzmocnić swą potęgę i utrzymać podział Europy. Gdy przywódcy komunistyczni występują publicznie z żądaniami nawiązania bliższych stosunków handlowych (łącznie z zachodnimi kredytami) z powodzeniem uważają się za apostołów międzynarodowej współpracy gospodarczej. Politycy zachodni muszą równie dobitnie i głośno podkreślać, że poprawa w stosunkach kulturalnych, liczniejsze wymiany poglądów między intelektualistami i większa swoboda opinii są w tym samym stopniu potrzebne dla stworzenia prawdziwej współpracy międzynarodowej, co wymiana handlowa. Te dwie sprawy należy zawsze łączyć ze sobą w każdym oświadczeniu Zachodu, w każdym komentarzu, czy w czasie rokowań ze Wschodem.

W ciągu ostatnich kilku lat sytuacja gospodarcza we wschodniej Europie, a w mniejszym stopniu w Związku Sowieckim, zbliżyła się do punktu krytycznego. Dlatego też kraje te pragną nawiązać bliższe stosunki ekonomiczne z Zachodem, a w pewnych wypadkach chciałyby otrzymać szerokie kredyty zachodnie. W tych warunkach wymiana handlowa między Wschodem i Zachodem staje się poważnym atutem w rękach Zachodu. Należy możliwościami tymi posłużyć się w ten sposób, by przyniosły korzyści. Ci którzy sprzeciwiają się rozszerzeniu wymiany handlowej ze Wschodem pod pretekstem, że wzmacnia ona rządy komunistyczne, nie biorą pod uwagę, że po pierwsze, handel ten rozwinie się wbrew protestom amerykańskim, a po drugie,

że wymiana handlowa i kredyty — ponieważ są tak potrzebne komunistom — mogą być pożytecznym źródłem pewnych wpływów[10].

Przywódcy komunistyczni wielokrotnie stwierdzali, że ich zdaniem końcowe zwycięstwo zapewni im ostateczna wyższość ekonomiczna ich systemu. Pomoc gospodarczą Zachodu będzie można więc usprawiedliwić tylko wtedy, gdy towarzyszyć jej będą jednocześnie pewne konsekwencje, a mianowicie: erozja komunistycznych dążeń do panowania nad światem, reformy strukturalne w komunistycznym systemie gospodarczym, rozwój bliższych kontaktów, coraz bardziej swobodna wymiana poglądów i ludzi.

Zmiany te nie nastąpią spontanicznie, lecz będą wynikiem stałych nacisków. Trudności gospodarcze wywołują na Wschodzie ostre konflikty o władzę i w konsekwencji przyczyniają się do rozluźnienia struktury komunistycznej. Najsilniejsze impulsy w kierunku liberalizacji manifestowały się zawsze w okresie kryzysów gospodarczych; tak było w Rosji podczas rządów Malenkowa i później za Chruszczowa w czasie decentralizacji ekonomicznej, na Węgrzech w czasie pierwszej fazy rządów Nagy'ego i w Czechosłowacji w okresie niedawnych reform. Kryzysy szły na rękę tym, którzy domagali się większej liberalizacji systemu; podważały zaś pozycję tych, którzy chcieli uniknąć wyboru między politycznym totalitaryzmem a reformami ekonomicznymi. Nie jest więc przypadkiem, że większość funkcjonariuszy w departamentach handlu zagranicznego w krajach komunistycznych składa się — jak stwierdzają liczni obserwatorzy — przede wszystkim z osób, które wypowiadają się za strukturalnymi reformami systemu ekonomicznego w ich państwach. Niewłaściwe podejście Zachodu do sprawy wymiany handlowej i kredytów pójdzie na rękę tym przywódcom komunistycznym, którzy pragną uniknąć jakichkolwiek istotnych zmian wewnętrznych w ich krajach[11].

Ponieważ komuniści nie uważają już, że otrzymywanie pomocy i stosunki handlowe z Zachodem są czymś zakazanym i heretyckim, Zachód musi sam dokładnie określić swe poglądy polityczne odnośnie handlu między wschodem i zachodem. Opinie konserwatywnych zresztą i zdecydowanie anty-komunistycznych sfer przemysłowo-ekonomicznych, że taki handel jest po prostu okazją do wyciągania zysków — są nie na miejscu; bo przecież z chwilą gdy otworzy się bramy na oścież, będzie co-

10. W związku z tym vide bardzo przekonywujący plan wykorzystania handlu jako broni politycznej, w Hansa J. Morgenthau, „Peace in our time?", *Commentary*, marzec 1964.

11. W 1947 roku Mołotow, odpowiadając na zaproszenie Planu Marshalla, zaproponował właśnie aby państwa komunistyczne otrzymywały pomoc indywidualnie i żeby mogły dysponować nią swobodnie. Wówczas nie można było przyjąć tej propozycji i nie ma powodów przypuszczać, że należy ją przyjąć teraz. Dla zapoznania się ze szczegółami, vide Harry B. Price, *The Marshall Plan and its Meaning*, Ithaca, 1955.

raz trudniej hamować apetyty ekonomiczne. W związku z tym należy z góry zastosować środki ostrożności, które zabezpieczą aspekty polityczne tej sprawy. Można uważać, że wymiana handlowa jest sprawą czysto ekonomiczną gdyż nawiązuje się ją spontanicznie, na zasadzie wzajemnych potrzeb i korzyści obu stron. Gdy jednak rządy zachodnie muszą podsycać sztucznie wymianę handlową, gdy na skutek stałych konfliktów ideologicznych i politycznych ulega ona spaczeniu i gdy zachodni przemysłowcy, którzy gotowi są zaofiarować kredyty Wschodowi, domagają się jednocześnie odpowiednich gwarancji od własnych rządów — wówczas tego rodzaju stosunki handlowe przestają być zagadnieniem czysto ekonomicznym. Profesor ekonomii i dyrektor rosyjskiego ośrodka badań na uniwersytecie w Harvard, Abram Bergson, w sprawozdaniu dla Komitetu dla Spraw Zagranicznych Senatu, powiedział: „Określając politykę Stanów Zjednoczonych w tej dziedzinie należy przede wszystkim opierać się na aspektach politycznych"[12].

Mówiąc najszerzej, amerykańską polityką pomocy gospodarczej dla Europy wschodniej powinny kierować dwa podstawowe założenia: gdy tylko kraj jakiś rozszerza zasięg swej niezależności od Związku Sowieckiego — powinien otrzymać nagrodę; gdy tylko kraj jakiś wprowadza do swego systemu wewnętrznego istotną zmianę w kierunku liberalizacji — powinien otrzymać nagrodę. I odwrotnie, gdy tylko zarysują się tendencje idące w przeciwnym kierunku, Stany Zjednoczone powinny wstrzymać swą pomoc, znieść specjalne przywileje, takie na przykład jak klauzula największego uprzywilejowania (sprawa ta ma ogromne znaczenie dla Europejczyków wschodnich) i bez wahania powinny podać polityczne uzasadnienie tego kroku. Ponieważ Europa wschodnia odczuwa gwałtowną potrzebę inwestycji kapitałów zagranicznych, Stany Zjednoczone, jeżeli zastosują giętką politykę w sprawie kredytów długoterminowych, będą mogły stworzyć istotne narzędzie odpowiednich nacisków.

Dlatego też wielka szkoda, że Kongres amerykański odniósł się tak niechętnie do klauzuli największego uprzywilejowania i do sprawy zastosowania do krajów komunistycznych ustawy 480. Ograniczenia ustawodawcze dotyczące polityki ekonomicznej wobec państw komunistycznych automatycznie zwężają możliwości władzy wykonawczej w pertraktacjach z nimi. Większa swoboda ruchów władzy wykonawczej ułatwi jej występowanie wobec krajów komunistycznych z żądaniami koncesji w zamian za kredyty i pomoc handlową. W sytuacji, która istnieje obecnie, komuniści, a w szczególności Związek Sowiecki, mogą wysuwać oskarżenie, że Stany Zjednoczone są odpowiedzialne za ograniczenia w wymianie handlowej, a Waszyngton, mając skrępowa-

12. Committee on Foreign Relations, U.S. Senate, *East-West Trade, A Compilation, Views of Businessmen*, Bankers and Academic Experts, listopad 1964, str. 224.

ne ręce, nie może na zarzut ten odpowiedzieć zapraszając Wschód do rokowań handlowych. Stanowi to przeszkodę w prowadzeniu skutecznej polityki zagranicznej. Poza tym fakt, że rząd amerykański uzależniony jest od Kongresu gdy chce wprowadzić negatywne sankcje ekonomiczne, uniemożliwia mu stosowanie giętkiej i przystosowanej do potrzeb chwili polityki, która jest mu nieodzowną gdy zamierza wywierać odpowiednie naciski ekonomiczne. Członkowie Kongresu powoli i z opóźnieniem przyzwyczajają się do myśli, że w świecie komunistycznym zachodzą zmiany, a tymczasem szybkość z jaką zareaguje się na te zmiany i nadarzające się okazje, ma ogromne znaczenie. Jeżeli jednak Kongres zajmuje sztywne stanowisko, to do pewnego stopnia rząd ponosi za to odpowiedzialność. Gdyby bowiem posługiwał się nie tylko pozytywnymi naciskami lecz także umiał stosować sankcje w kierunku *negatywnym*, gdy na Wschodzie zarysowywała się tendencja wsteczna, na pewno nieufność Kongresu znacznie by się zmniejszyłaby[13].

Trudno jednak uważać, że stosunki ekonomiczne są jakimś kurkiem, który można dowolnie zakręcać i odkręcać. Tego rodzaju postępowanie, stosowane przesadnie, przyniosłoby skutki odwrotne i doprowadziłoby do tego, że kraje wschodnio-europejskie uznałyby, że stosunki handlowe z Zachodem nie są pożądane. Poza tym reagowanie przy pomocy nacisków ekonomicznych na każdą niekorzystną zmianę wewnętrzną w Europie wschodniej byłoby niewskazane ze względu na jej sytuację polityczną. Bo przecież, rozwój względnie trwałych stosunków handlowych z Europą wschodnią przyniesie pewne korzyści na daleką metę, gdyż na pewno ułatwi rozszerzenie kontaktów Wschodu z Zachodem. Tym niemniej, ponieważ Stany Zjednoczone a także Europa zachodnia, mogą nie tylko utrzymywać coraz bardziej normalne stosunki handlowe, lecz także przyznać specjalne przywileje, jak na przykład, kredyty długo-terminowe lub klauzulę największego uprzywilejowania, należy co pewien czas poddawać analizie wymianę handlową z Europą wschodnią sprawdzając jej użyteczność z punktu widzenia ogólnej polityki.

W przeciwieństwie do Europy wschodniej udzielanie kredytów długo-terminowych Związkowi Sowieckiemu nie wydaje się w chwili obecnej rzeczą politycznie celową. Nie leży bowiem w politycznym interesie Zachodu popierać ekonomiczny rozwój Sowietów, lub pośrednio finansować sowiecki program pomocy gospodarczej, który zmierza do osłabienia wpływów zachodnich i do zwiększenia prestiżu Moskwy w krajach rozwijających się gospodarczo, nie mówiąc już o sowieckich dostawach broni i

13. Nie należy jednak dla wywierania presji posługiwać się nadwyżką żywności, gdyż stwarza to wrażenie, że Stany Zjednoczone wykorzystują głód ludności dla celów politycznych. W związku z tym rozsądek nakazuje Stanom Zjednoczonym aby nie dopuściły do tego żeby nadwyżki żywnościowe stały się głównym elementem pomocy dla krajów, na które pragną wywierać wpływ polityczny. Gdy raz przyzna się taką pomoc, bardzo trudno ją później odebrać. (Warto przypomnieć tutaj nasze trudności z Nasserem).

wysiłkach popierających akcję wywrotową. Argument, że „zasobny komunista jest dobrym komunistą" jest słuszny tylko pozornie i dlatego nie należy go brać poważnie. Można tylko zastanawiać się nad tym jakie stanowisko zająłby Związek Sowiecki gdyby Stany Zjednoczone, dla dalszego rozwoju ekonomicznego, potrzebowały kredytów sowieckich i jakie warunki Moskwa starałaby się wówczas narzucić Ameryce. Należy więc utrzymać ograniczenia dotyczące kredytów długo-terminowych dla Związku Sowieckiego. Pewne wyjątki będą dopuszczalne w specjalnych wypadkach, a mianowicie wtedy, gdy względy ekonomiczne na Zachodzie będą uzasadniać odchylenie od ustalonej linii politycznej, lecz wówczas prywatne przedsiębiorstwa, które na skutek specjalnych okoliczności uzyskały zezwolenie na udzielenie długoterminowych kredytów Związkowi Sowieckiemu, muszą to robić na własne ryzyko i nie będą miały prawa domagać się gwarancji rządowych.

Można na przykład odstąpić od tej ogólnej zasady gdy będzie możliwość uzyskania w zamian za pomoc pewnych ustępstw, pożądanych z politycznego punktu widzenia. Odnosi się to również do państw wschodnio-europejskich i w takim wyjątkowym wypadku można pominąć nawet fakt, że zasadnicze warunki dotyczące udzielania kredytów nie zostały spełnione. Nie należy jednak przywiązywać zbyt dużej nadziei do możliwości uzyskania istotnych ustępstw. Naszej zrozumiałej gotowości do rozszerzenia wymiany handlowej z państwami komunistycznymi nie powinny towarzyszyć przesadne i nierealne warunki polityczne. Nie oznacza to jednak, że powinniśmy zająć biegunowo skrajne stanowisko i utrzymywać, że z samej definicji handlu wynika, że jest on „neutralny" i że nie pociąga konsekwencji politycznych. Umowy handlowe, jakie ostatnio zawarły Niemcy Zachodnie i pewne kraje wschodnio-europejskie, służyć mogą za doskonały przykład, że można dążyć i uzyskać w zamian za wymianę handlową pewne drugoplanowe ustępstwa polityczne. Niemcy zachodnie były na tyle rozsądne, że nie żądały zbyt wiele; na przykład nie domagały się zerwania stosunków z reżymem Ulbrichta.

W skład tych drugoplanowych koncesji, których można domagać się w zamian za liberalną politykę handlową i kredyty zachodnie, wchodzą na przykład: zmiany w przepisach rządzących dostępem do Berlina — które wyrównałyby pewne istniejące braki, umożliwiające Sowietom samowolne stosowanie różnych szykan; wiążące układy konsularne ze wszystkimi państwami komunistycznymi; debit dla prasy zachodniej; szersza i mniej zreglamentowana wymiana kulturalna[14]; bardziej liberalne stanowisko w udzielaniu zezwoleń obywatelom państw komunistycznych na wyjazdy na Zachód.

14. Krótkie zestawienie amerykańskich ubolewań z powodu sposobu, w jaki Sowiety traktują sprawę wymiany kulturalnej, znajduje się w S. Viederman. „Political Bars Hindering US-Soviet Exchanges", *The New York Times*, 13 styczeń 1965.

Aby ułatwić te wyjazdy, Stany Zjednoczone, a w jeszcze większym stopniu państwa Europy zachodniej, powinny ze swej strony znieść ograniczenia dotyczące wiz specjalnie w stosunku do młodzieży z Europy wschodniej. Można by opracować cały program, który przewidywałby, że studenci z krajów wschodnioeuropejskich wyjeżdżający na pewien okres na Zachód nie potrzebują ubiegać się o wizy i że korzystają ze specjalnych przepisów, które zapobiegają trudnościom wywołanym brakiem dewiz w Europie wschodniej. Na przykład można rozważyć projekt, w myśl którego Europejczycy wschodni mieliby prawo wymieniać na granicy własną walutę na zamienne fundusze zachodnie; zachód zaś przeznaczyłby uzyskaną w ten sposób walutę Europy wschodniej na finansowanie wspólnych przedsięwzięć Wschodu i Zachodu, zmierzających do nawiązania bliższych kontaktów, jak: stypendia dla wybitnych studentów, fundusz dla turystów z Europy zachodniej udających się na wschód, budowa systemu wielkich dróg i kanałów wodnych i td.; wszystko to pociągnie za sobą zbawienny skutek gdyż stworzy liczne i wielostronne więzy.

Jest rzeczą ważną aby włączyć pewne elementy symboliczne o trwałym charakterze do pomocy dla krajów Europy wschodniej, która występować będzie w formie darów czy kredytów. Ten aspekt problemu zlekceważono prawie całkowicie. Niewielu Rosjan pamięta dzisiaj, że na początku lat dwudziestych misja Hoovera uratowała życie milionów Rosjan. Za kilkadziesiąt lat nie wielu Egipcjan będzie pamiętać o bezpłatnych dostawach żywności amerykańskiej, lecz zapora wybudowana przez Rosjan w Assuanie przypominać im będzie stale pomoc rosyjską. W związku z tym, pewną część udzielonej pomocy trzeba przeznaczać od czasu do czasu na przedsięwzięcia mające charakter trwałej inwestycji, budzącej ogólne zadowolenie. I tak na przykład odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie za fundusze amerykańskie (podobnie jak restauracja Wersalu, którą sfinansował Rockefeller) byłaby znakomitym dowodem zainteresowania Stanów Zjednoczonych losem Polski; ten dowód-symbol stanowiłby jaskrawy kontrast z tak niepopularnym Pałacem Kultury, który Sowiety wybudowały za czasów Stalina i który dominuje nad architektoniczną całością Warszawy. Można zrobić jeszcze więcej i zaproponować budowę całej dzielnicy nowoczesnych domów w zniszczonej wojną stolicy Polski, co, bez względu na to jaka byłaby reakcja czynników oficjalnych, wywołałoby ogromne wrażenie. Dobrze byłoby gdyby projekt taki sfinansowały wspólnie Stany Zjednoczone i Niemcy zachodnie; przyczyniłoby się to bowiem do zmniejszenia wrogich stosunków między Polską a Niemcami[15]. Czechosłowacji i Węgrom

15. Doskonałym precedensem jest budowany przez Amerykanów szpital dla dzieci w Krakowie, który ma być ukończony w 1966. Projekt ten jednak wysunęła, a po tym zrealizowała, osoba prywatna, która musiała przezwyciężać ogromne trudności po obu stronach oceanu.

(jeżeli Ameryka zacznie przychodzić im z pomocą) można by zaproponować budowę i prowadzenie szkół o typie amerykańskim, kształcących przyszłych urzędników gospodarczych, lub szkół rolniczych. Rządy komunistyczne cierpią obecnie na brak odpowiedniego personelu w tych dziedzinach, więc na pewno taka propozycja spotkałaby się z dużym zainteresowaniem. Podobne gesty Stanów Zjednoczonych i państw Europy zachodniej dokonane w innych krajach stanowiłyby symboliczny dowód, że Zachód pragnie położyć kres politycznemu i ideologicznemu podziałowi Europy.

Stypendia zachodnie przyczyniły się już w dużej mierze do zbliżenia sfer intelektualnych obu stron. Tutaj jednak trzeba koniecznie upewniać się czy Wschód nie wykorzystuje stypendiów finansowanych przez Amerykanów i umożliwiających studia w Stanach Zjednoczonych (rzecz o którą ubiegają się z wielkim zainteresowaniem kraje wschodnio-europejskie i która przynosi duży prestiż studiującym) w celu wynagradzania ludzi specjalnie lojalnych wobec reżymów komunistycznych i ich ideologii. Niebezpieczeństwo to wynika z umów, które pozostawiają całkowitą swobodę rządom komunistycznym w wyznaczaniu kandydatów na stypendia. Żaden rząd komunistyczny nie zgodzi się oczywiście na to, aby zagraniczne instytucje wynagradzały stypendiami ich przeciwników politycznych; Zachód musi jednak dokładać wszelkich starań aby systematycznie z góry wyszukiwać tych uczonych i intelektualistów, którzy odznaczają się jednocześnie zdolnościami twórczymi i uczciwością intelektualną; powinien również kłaść nacisk na to, aby zachodnie stypendia nie były przyznawane na zasadzie innych kryteriów. Niestety odchylenia od tych zasad zdarzały się od czasu do czasu wywołując demoralizujące skutki wśród intelektualistów Europy wschodniej. Ponieważ rządy komunistyczne stają się stopniowo coraz bardziej wrażliwe na opinię publiczną w ich krajach i ponieważ sfery intelektualne domagają się na pewno nawiązania ściślejszych kontaktów z Zachodem, Zachód musi bardziej energicznie podkreślać własne kryteria i oceny oraz nie ustawać w naleganiach aby bliższym kontaktom ekonomicznym towarzyszyły bliższa i swobodniejsza wymiana kulturalna.

Rola opinii publicznej w Europie wschodniej jest specjalnym zagadnieniem. Na skutek obecnej różnorodności świata komunistycznego, przywódcy komunistyczni są zmuszeni zwracać uwagę na opinię ich społeczeństw. Polityka amerykańska nie może więc ograniczać się wyłącznie do polepszenia stosunków z obecnymi rządami, lecz musi dążyć także do informowania i kształtowania opinii publicznej w krajach wschodnio-europejskich. Podróż, jaką odbył Robert Kennedy do Polski w 1964 roku, podczas której mógł nawiązać bezpośrednie kontakty ze społeczeństwem, stanowi doskonały przykład tego w jaki sposób można ustalać stosunki z ludnością. I na pewno mylą się ci, którzy twierdzą, że był to gest bez jakiegokolwiek znaczenia, który mógł jedynie skomplikować stosunki z oficjalnymi władzami. Podtrzy-

mywanie tego rodzaju stosunków jest tylko środkiem prowadzącym do pewnego celu, a nie celem samym w sobie. Pewien stopień bezpośredniej popularności jest na pewno potrzebny aby podtrzymywać i podsycać na nowo pro-zachodnie nastawienia w społeczeństwach. Przywódcy komunistyczni, a w szczególności Chruszczow, starali się zdobywać popularność w czasie swych podróży na zachód; nie ma więc powodów aby przywódcy zachodni byli bardziej powściągliwi od nich.

Uwagi te prowadzą do drażliwego, lecz istotnego problemu, a mianowicie do sprawy użyteczności Radia Wolna Europa. Rozgłośnia ta odegrała poważną rolę informując Europę wschodnią o wydarzeniach światowych i, co ważniejsze, o wydarzeniach w ich własnych krajach. Różne rewelacje, która nadawała Rozgłośnia Wolnej Europy na temat wewnętrznej polityki komunistycznej, pod wieloma względami przyśpieszyły „odwilż" w latach pięćdziesiątych. Ostatnio, Radio Wolna Europa informowało wschodnich Europejczyków o przebiegu sporu chińsko-sowieckiego i przeciwdziałało nieprzyjemnej i intensywnej kampanii komunistycznej, zmierzającej do wykazania, że Prezydent Kennedy został zamordowany przez spiskowców z prawego skrzydła, którym rzekomo nic nie groziło gdyż korzystali z protekcji rządu Stanów Zjednoczonych[16]. Już sam fakt istnienia Radia Wolna Europa utrudnia rządom komunistycznym — jeżeli nie chcą zwiększyć liczby słuchaczy tego Radia — stronnicze manipulowanie wiadomościami i ich fałszowanie[17].

Pół-oficjalny statut Radia Wolna Europa umożliwia mu swobodniejsze komentowanie wydarzeń wewnętrznych w krajach Europy wschodniej w przeciwieństwie do Rozgłośni Voice of America, która z konieczności musi w swych programach zachować ostrożniejszy i bardziej bezosobisty charakter. Ponieważ krytyczna opinia publiczna ma kapitalne znaczenie dla dalszej ewolucji rządów komunistycznych, należy zachować ów podział zadań między Radiem Wolna Europa a Voice of America. Te same zasady stosują się do różnych ról, jakie spełniają programy Radio Liberty i Voice of America, przeznaczone dla Rosji. Jest rzeczą ważną poza tym, aby programy Radia Wolna Europa wyka-

16. Rząd polski, na przykład, wbrew istniejącym w świecie zwyczajom, ułatwił w Polsce dystrybucję książki J. Buchanana: *Who killed Kennedy*, a polscy dziennikarze przebywający w Stanach Zjednoczonych karmili społeczeństwo polskie tendencyjnymi wiadomościami, które zmierzały do podbudowania teorii o spisku. Jak dalece niesmaczne były komentarze na temat zamordowania Prezydenta zawierające nawet takie uwagi że morderstwa są w Ameryce metodą stosowaną „raczej często" dla usuwania przeciwników politycznych wystarczy zapoznać się z książką M. Rakowskiego *Ameryka Wielopiętrowa*, (Warszawa, 1963). Autor był gościem w Stanach Zjedno-, czonych, a potem napisał tę książkę, która składa się „z jego wrażeń z pobytu w Ameryce".

17. By przekonać się o cynizmie Europy Wschodniej w stosunku do jej własnej prasy i radia, vide na przykład artykuł w *The New York Times*, 5 maja 1964.

zywały zrozumienie dla interesów narodowych jego słuchaczy. Na przykład rząd warszawski chciał postawić Radio Wolna Europa w kłopotliwej sytuacji wykazując, że przez długi czas programy nadawane do Polski pomijały milczeniem sprawę granicy na Odrze i Nysie. Swoboda w krytykowaniu *wewnętrznych* spraw komunistycznych przez Radio Wolna Europa i Radio Liberty mogłaby ulec ewentualnemu ograniczeniu wtedy tylko, gdy na Wschodzie zaistnieją wolne prasa i radio. Zanim to nastąpi wszelkie ograniczenie akcji tych instytucji pozbawia Zachód pożytecznego i pośredniego narzędzia, które umożliwia kształtowanie poglądów milionów Europejczyków wschodnich, a także Rosjan.

5. *Należy popierać wielostronne więzy między zachodnią i wschodnią Europą.* Skoro kontrola sowiecka rozluźnia się, skoro nacjonalizm w Europie wschodniej, nawet pod panowaniem komunistycznym, rośnie na sile, skoro podział między Wschodem i Zachodem staje się mniej jaskrawy, polityka amerykańska — aby zapobiec rozbiciu Europy wschodniej, a nawet całej Europy — powinna dążyć zdecydowanie do rozwijania wielostronnych stosunków politycznych i gospodarczych.

Bliższe i wielostronne więzy europejskie sprawią, że na wpół totalitarne reżymy wschodnio-europejskie, opierające się na izolacji, staną się zbędne; jeżeli reżymy te związą się z ogólno-europejskim kierunkiem ideologia ich ulegnie rozwodnieniu, a widoczne u niektórych tendencje do autonomicznej, narodowo-komunistycznej dyktatury technokratycznej zostaną zahamowane. Zewnętrzna niezależność, w stylu rumuńskim, połączona z na wpół stalinowską dyktaturą na wewnątrz — nie jest dostatecznym krokiem naprzód; wewnętrzna liberalizacja, w stylu węgierskim, połączona z całkowitą nieomal zależnością zewnętrzną od Związku Sowieckiego — także nie jest wystarczająca. Te dwa procesy należy ze sobą powiązać. Zachód jednak, prowadząc zimną wojnę, nie będzie mógł nic zdziałać w tym kierunku. Dlatego należy posługiwać się pomocą gospodarczą, którą trzeba manewrować w sposób konstruktywny, mając na widoku dalekosiężne cele. Gdyby w latach pięćdziesiątych dołożono większych starań aby wciągnąć Jugosławię do działalności ogólno-europejskiej, może nie dążyłaby ona teraz do zbliżenia ze światem komunistycznym.

W przyszłych stosunkach z państwami komunistycznymi, które umocniły swą pozycję narodową, należy więc kłaść specjalny nacisk na ich stopniową liberalizację wewnętrzną i na konieczność stworzenia ściślejszych wielostronnych więzów z rozwijającą się wspólnotą europejską. Odpowiedź na tego rozdaju naciski Zachodu może być podwójna: w państwach tych może uwidocznić się tendencja do osiągnięcia pewnego kompromisu z Zachodem, który zaspokoiłby pewne jego żądania; ale obok tego kraje te, aby zapobiec wchłonięciu ich przez Zachód, dokładać będą starań, by nie doszło do całkowitego zerwania z Mo-

skwą. Reakcje te przyczynią się do rozwoju pożądanych nastawień ewolucyjnych w całym tym rejonie, zarówno w kierunku autonomii jak i stopniowej liberalizacji.

W okresie gdy Moskwa rozciągała surową kontrolę nad Europą wschodnią postępowanie oparte na dwustronnym różnicowaniu było politycznie celowe, gdyż osłabiało hegemonię sowiecką. Gdy obecnie w Europie wschodniej istnieje większa różnorodność, dwustronne stosunki Zachodu z jakimś indywidualnym państwem Europy wschodniej nie osiągają już tego skutku. Na Zachodzie wielostronne stosunki ekonomiczne stały się pierwszym krokiem na długiej drodze prowadzącej do szerszych rozwiązań; tak samo w stosunkach europejskich między Wschodem i Zachodem nawiązanie wielostronnych kontaktów ekonomicznych może utorować drogę późniejszemu porozumieniu politycznemu. Pomoc gospodarcza dla krajów Europy wschodniej musi z konieczności rozpocząć się od układów dwustronnych, które towarzyszyć będą rozwojowi innych stosunków. Tym niemniej, trzeba wyraźnie podkreślić, że pomoc w rozwoju gospodarczym indywidualnych państw Europy wschodniej, oparta wyłącznie na umowach dwustronnych, nie leży w interesie ani Europy wschodniej, ani całej Europy, gdyż nie rozwiąże specyficznych problemów gospodarczych i podstawowych zagadnień politycznych dzielących ten kontynent.

Wypadałoby teraz zastanowić się nad sprawą stworzenia specjalnego funduszu, który gwarantowałby wielostronne przedsięwzięcia ekonomiczne między Wschodem i Zachodem. Węgry, na przykład, interesowały się bardzo możliwością realizacji projektów przemysłowych do spółki z partnerami zachodnimi. Stworzenie specjalnego funduszu dla finansowania tego rodzaju projektów ułatwiłoby nawiązanie wielostronnych stosunków ekonomicznych. Udział Amerykanów miałby tutaj duże znaczenie. W miarę możliwości, wielostronne instytucje zachodnio-europejskie powinny zapewnić sobie usługi specjalistów wschodnio-europejskich, którzy przebywają teraz (w dużej liczbie) w Europie zachodniej, aby wyszkolić kadry wschodnio-europejskich „Europejskich technokratów". Równocześnie, należałoby zaproponować państwom wschodnio-europejskim aby zezwoliły nadliczbowym siłom roboczym uczestniczenie w europejskim rynku pracy. W niektórych krajach wschodnio-europejskich daje się odczuwać bezrobocie (ukrywane zresztą starannie), podczas gdy Francja[18], Szwajcaria i Niemcy potrzebują sił roboczych i sprowadzają je z bardzo daleka. Większa płynność w zakresie rynku pracy między Wschodem i Zachodem przyniosłaby wszystkim tylko korzyści i zmniejszyłaby istniejące w Europie podziały. Wpływ,

18. Mimo braku oficjalnego potwierdzenia — istnieją podstawy do przypuszczeń że Francja i Polska zaczęły zawierać ograniczone umowy w celu wpuszczenia do Francji nadwyżki polskich sił roboczych; w ten sposób odżyje tradycyjny napływ Polaków do Francji, który został przerwany po drugiej wojnie światowej.

jaki Europa zachodnia wywarłaby na wielu tysiącach Europejczyków wschodnich, pociągnąłby z czasem poważne skutki społeczne i ideologiczne na Wschodzie.

Pewne państwa wschodnio-europejskie rozpoczęły między sobą ograniczoną współpracę regionalną, wybiegającą poza ramy Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, która obejmuje raczej kraje o określonej strukturze ideologicznej, łącznie z Mongolią. Zachód powinien również popierać podejmowane w tym kierunku próby. Regionalna, ekonomiczna współpraca krajów wschodnio-europejskich przyczyniłaby się do złagodzenia narodowych antypatii, bardzo jeszcze silnych w tym rejonie, i prowadziłaby nieuchronnie do osłabienia politycznej kontroli sowieckiej. Jak dotąd państwa Europy wschodniej nie skorzystały z ułatwień Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Inne kraje rozwijające się gospodarczo wyciągnęły poważne korzyści z tej pomocy, której udziela się, w przeciwieństwie do wielu układów dwustronnych, na zasadzie długoterminowej. Szeroka reklama ułatwień, których mogłyby dostarczyć Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Monetarny przychodząc z pomocą regionalnej współpracy ekonomicznej w Europie wschodniej, skłoni rządy komunistyczne do ewentualnego nawiązania kontaktów z tymi instytucjami oraz zwiększy naciski społeczeństwa wschodnio-europejskiego aby tę współpracę regionalną rozwijać[19].

Zachodnie wielostronne organizacje ekonomiczne powinny przeanalizować z punktu widzenia politycznego charakter stosunków ekonomicznych między Zachodem i Wschodem.

Wspólny Rynek nie posiada stałego organu zajmującego się planowaniem politycznym. Należy ebz najmniejszej zwłoki i zanim Wspólny Rynek opracuje jakąś wspólną politykę handlową, powołać do życia tego rodzaju urząd, który by przeprowadzał analizę dalekobieżnych skutków politycznych, jakie wywrze w Europie wschodniej rozwój gospodarczy Europy zachodniej[20]. Praca tego urzędu polegająca na powiązaniu ewentualnej wspólnej polityki handlowej z określonymi celami politycz-

19. W znakomitym artykule „Kredyty Banku Świata", *Kultura* (Paryż), 10/204 (1964), W.A. Zbyszewski, od którego zapożyczam wyżej wymienioną myśl, omawia poważne kredyty długo-terminowe, które otrzymała Hiszpania aby zmodernizować sieć kolejową i Indie aby rozwinąć swą gospodarkę; sugeruje on, żeby Polska, Czechosłowacja, Węgry i Rumunia wystąpiły ze wspólną propozycją o przyznanie im, dla ułatwienia rozwoju gospodarczego, pomocy, której dostarczyłyby Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Monetarny. Sugestia ta zasługuje na bliższe zbadanie.

20. Na przykład zarządzenie z 24 stycznia 1963 Europejskiej Organizacji dla Gospodarki i Rozwoju ogranicza import wschodnich produktów rolnych do 12 procent przeciętnej, maksymalnej cyfry z 1960-1961; zgodnie z zarządzeniem z 1 lipca 1962 obciąża się poza tym specjalnymi opłatami pewne artykuły rolne. Skutki tych zarządzeń odbiły się boleśniej na Europie wschodniej niż na Rosji (ze względu na zasadniczą rolę, jaką odgrywa w tych krajach eksport produktów rolnych), wywołując negatywne konsekwencje polityczne. Na przykład wywóz jaj z Polski do Włoch spadł

nymi, może mieć ogromne znaczenie. Ponieważ Stany Zjednoczone nie są członkiem Wspólnego Rynku mogą tym łatwiej zachęcać Brukselę aby rozważyła możliwość stworzenia takiego organu*.

Z drugiej strony państwa komunistyczne będą musiały zrezygnować z czasem ze swego wrogiego nastawienia, wynikającego z ideologii, do zachodnich wielostronnych organizacji gospodarczych; trzeba mieć nadzieję, że dojdzie do tego w miarę jak rozwijać się będą stosunki gospodarcze między Wschodem i Zachodem. By popierać tego rodzaju ewolucję, państwa zachodnie, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, powinny ciągle nalegać na Europę wschodnią aby przyłączyła się do Międzynarodowego porozumienia Taryfowego i Handlowego[21]; powinny też, na płaszczyźnie dyplomatycznej, uznać oficjalnie Wspólny Rynek jako ponadnarodową instytucję zachodnią. Gdyby państwa komunistyczne akredytowały swych ambasadorów przy Wspólnym Rynku, miałoby to ogromne znaczenie ideologiczne, gdyż byłoby to równoznaczne ze zmianą w stanowisku doktrynalnym. Z praktycznego punktu widzenia oznaczałoby to, że w pewnych sprawach państwa komunistyczne mogłyby prowadzić bezpośrednie rokowania ze Wspólnym Rynkiem zamiast podejmować pośrednie rozmowy z poszczególnymi państwami członkowskimi, jak to zdarza się obecnie. Powstałyby w ten sposób bliższe kontakty z główną ponad-narodową organizacją europejską i państwa komunistyczne weszłyby na drogę, która prowadzi do rozwinięcia stosunków z Europą[22]. Krok wstępny w tej sprawie mogłaby zrobić jakaś instytucja neutralna, na przykład Fundacja Forda; organizowała już ona liczne konferencje między Wschodem i Zachodem i mogłaby w danym wypadku zająć się przygotowaniem specjalnych zebrań poświęconych Wspólnemu Rynkowi, w których braliby udział ekonomiści z Europy wschodniej i Związku Sowieckiego.

---

w 1964 roku do 13% poziomu z 1961-1963; do Niemiec zachodnich do 10% poziomu z 1959-1961. Vide M. Dyner, „Wywóz produktów rolnych do Wspólnego Rynku", *Życie Gospodarcze*, 25 październik 1964.

* Propozycja ta, wysunięta przez mnie we wrześniu ub. roku, jest w toku wprowadzania w życie.

21. Tym niemniej w myśl przepisów Międzynarodowego Porozumienia Taryfowego i Handlowego, Stany Zjednoczone musiałyby przyznać państwom komunistycznym klauzulę największego uprzywilejowania, co zakazują zwykle wewnętrzne ustawy amerykańskie. (Zrobiono wcześniej odstępstwo w wypadku Czechosłowacji, która po 1948 roku była nieczynnym członkiem Międzynarodowego Porozumienia Taryfowego i Handlowego, lecz jest rzeczą wątpliwą aby można było stosować w przyszłości podobne odchylenia od przyjętych ustaw). Oświetla to trudności, na jakie natrafiają postulaty giętkiej polityki w zetknięciu z ograniczeniami ustawodawczymi.

22. Ponieważ Europejska Wspólnota Gospodarcza jest organem ponadnarodowym, a Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej nim nie jest, dyplomatyczne uznanie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej przez państwa komunistyczne nie pociągnie za sobą uznania Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej przez Zachód. Te dwa organizmy nie są bowiem formalnie i strukturalnie równoznaczne.

Bardziej giętka i mniej doktrynalna postawa komunistów wobec zachodnich organizacji wielostronnych mogłaby utorować drogę innym decyzjom, które przyniosłyby korzyści ekonomiczne państwom komunistycznym i przysłużyłyby się sprawie zjednoczenia Europy. Duże ułatwienie w wielostronnej wymianie handlowej, którą utrudnia obecnie samowolny i nieobliczalny sposób ustalania cen przez komunistów, przyniosłaby decyzja państw komunistycznych aby przyjąć ceny światowe za podstawę systemu ustalania cen. Należy rozpatrzeć możliwość zawarcia specjalnych umów, które pozwoliłyby państwom komunistycznym nawiązać pewną współpracę z Europejską Organizacją dla Gospodarki i Rozwoju, lub które zapraszałyby je przynajmniej do uczestniczenia w tych fazach pracy, których dotyczą. To ewentualne stowarzyszenie się Europy wschodniej z Europejską Organizacją dla Gospodarki i Rozwoju przyniosłoby następujące korzyści: 1) państwa Europy wschodniej brałyby udział we wstępnych i prywatnych dyskusjach na temat decyzji, które mają zamiar powziąć niektóre państwa członkowskie a które dotyczą krajów nie będących członkami Europejskiej Organizacji dla Gospodarki i Rozwoju. W ten sposób państwa te uczestniczyłyby pośrednio w opracowywaniu decyzji gospodarczych podejmowanych przez wielkie mocarstwa; 2) państwa Europy Wschodniej mogłyby gromadzić pewien zasób informacji, tak ekonomicznych jak i technicznych które mogłyby się im przydać w ich planowaniu i rozwoju gospodarczym; 3) państwa te mogłyby korzystać z pewnej ograniczonej pomocy technicznej, której udziela Europejska Organizacja dla Gospodarki i Rozwoju krajom niedorozwiniętym gospodarczo. Chcąc uzyskać pomoc techniczną pewne państwa członkowskie Europejskiej Organizacji dla Gospodarki i Rozwoju domagały się, aby zaklasyfikować je do kategorii krajów mniej rozwiniętych gospodarczo[23]. Udział Europy wschodniej w działalności Europejskiej Organizacji dla Gospodarki i Rozwoju będzie symbolem zwycięstwa zachodnich koncepcji dotyczących wielostronnych europejskich stosunków gospodarczych i jednocześnie przyniesie korzyści ekonomiczne krajom wschodnio-europejskim.

Rozwój wielostronnych stosunków gospodarczych między Wschodem i Zachodem otworzy stopniowo nowe możliwości w dziedzinie dużo bardziej drażliwej, a mianowicie w dziedzinie po-

23. Finlandia, która ze względów politycznych musi postępować bardzo ostrożnie, aby nie irytować Związku Sowieckiego, posiada obserwatorów w Europejskiej Organizacji dla Gospodarki i Rozwoju i za ich pośrednictwem bierze udział w obradach dotyczących jej podstawowych gałęzi przemysłowych. Jugosławia, która ostatnio nawiązała stosunki z Radą Wzajemnej Pomocy Gospodarczej uczestniczy teraz w Europejskiej Organizacji dla Gospodarki i Rozwoju w sprawach polityki ekonomicznej, w zagadnieniach naukowych i technologicznych, w problemach związanych z rolnictwem, rybołóstwem, pomocą techniczną i wydajnością oraz uczestniczy w obradach dotyczących innych spraw za pośrednictwem swych obserwatorów. (Vide OECD, bez daty, Paryż). Finlandia i Jugosławia tworzą pożyteczne precedensy dla innych państw wschodnio-europejskich.

litycznej. Zmniejszy znakomicie obawy wschodnio-europejskiej elity kierowniczej, że Zachód zamierza wciągnąć i absorbować kolejno poszczególne państwa Europy wschodniej. Przeciwdziałać będzie odnowie państw nacjonalistycznych, historycznie zacofanych i pochłoniętych wyłącznie sprawami wewnętrznymi. W miarę postępów w kontaktach osobistych, gospodarczych i kulturalnych, będzie można zastanowić się z kolei nad podjęciem bardziej oficjalnych kroków na płaszczyźnie politycznej. Można by na przykład wybadać możliwość powołania do życia stałego komitetu, złożonego z wybitnych przedstawicieli Europy wschodniej i zachodniej, z udziałem również Rosjan i Amerykanów, który co pewien czas przeprowadzałby analizę i dyskusje na temat stosunków między Wschodem i Zachodem. Tego rodzaju oficjalny komitet, stworzony na wzór różnych komisji, które utorowały drogę Europie zachodniej w kierunku zjednoczenia, miałby dużą przewagę nad zwoływanymi ad hoc dwustronnymi czy wielostronnymi konferencjami między Wschodem i Zachodem, gdyż mógłby przekształcić się stopniowo w stałą instytucję, posiadającą personel zawodowy i która byłaby w rzeczywistości pierwszym zarodkiem funkcjonującego organizmu ogólnoeuropejskiego. Patrząc dalej w przyszłość można rozważyć również możliwość zwoływania okresowych ogólnoeuropejskich konferencji szefów rządów. Tu także uczestnictwo Amerykanów i Rosjan byłoby pożądane: można by je formalnie uzasadnić faktem, że jedno z tych państw należy do Organizacji Paktu Atlantyckiego, a drugie do Organizacji Paktu Warszawskiego. Udział tych państw jest konieczny gdyż utrzyma polityczną równowagę sił i będzie przeciwdziałać wrażeniu, że zapewniając partycypację Europie wschodniej i wykluczając jednocześnie Związek Sowiecki dąży się do zerwania stosunków między Europą wschodnią i Moskwą; to samo odnosi się do sprawy udziału Ameryki i wrażenia, że odsunięcie Stanów Zjednoczonych jest wynikiem tendencji zmierzającej do naruszenia jej więzów z Europą zachodnią. Zebrania takie, poświęcone wymianie poglądów, nie doprowadzą na początku do wielkich osiągnięć. Z czasem jednak mogą stać się terenem dyskutowania wspólnych, ogólnoeuropejskich problemów i, co ważniejsze, miejscem, gdzie rozwijać się będzie poczucie wspólnoty.

Związek Sowiecki będzie oczywiście starał się wykorzystać każde forum wielostronne aby wzmocnić sytuację Niemiec Wschodnich. Można się jednak spodziewać że z biegiem czasu i w miarę postępów, które zapewni omawiana przez nas linia polityczna, żadne z państw wschodnio-europejskich w tej sprawie nie poprze Moskwy całkowicie i bezwarunkowo. Dla pewnych państw pokusa aby brać udział w ogólnoeuropejskiej działalności będzie silniejsza niż obawy wywołane wykluczeniem z niej Niemiec Wschodnich i będą się starać tylko znaleźć jakiś odpowiedni pretekst, uzasadniający to wykluczenie.

Rozwój wielostronnych więzów *wewnątrz* Europy wschodniej będzie także krokiem naprzód w kierunku stworzenia szer-

szej wspólnoty europejskiej. Ponieważ tragiczne wydarzenia historyczne w Europie wschodniej wywoływały podziały wewnętrzne, Stany Zjednoczone, które w dalszym ciągu cieszą się wielkim prestiżem w społeczeństwach wschodnio-europejskich[24], mogłyby zapisać na swoje konto historyczne ogromną zasługę, gdyby zaczęły popierać utworzenie konfederacji wschodnio-europejskiej; taka konfederacja byłaby elementem współzawodniczącym z podobną linią rozwoju w Europie zachodniej. Na przestrzeni historii wszystkim zagranicznym próbom „zorganizowania" Europy wschodniej towarzyszyły wrogie zamiary podporządkowania sobie tego obszaru. Nikt jednak w Europie wschodniej nie będzie podejrzewał, że Stany Zjednoczone mają jakieś aspiracje do hegemonii jeżeli przy jakiejś nadarzającej się, symbolicznej okazji Prezydent Stanów Zjednoczonych jasno da wyraz nadziejom Ameryki, że Europa wschodnia wzniesie się ponad tradycyjne podziały i zacznie odgrywać bardziej kierowniczą rolę w kształtowaniu przyszłych losów Europy. Rozluźnienie kontroli sowieckiej i słabnące przywiązanie do ideologii wśród kierowniczej elity wschodnio-europejskiej wytwarzają pewną pustkę, którą można by zapełnić nową ideą, wiążącą się ściśle z ogromnymi, lecz często niewypowiadanymi aspiracjami młodszego pokolenia, które pragnie przezwyciężyć stare podziały. Jeżeli pustka ta utrzyma się i jeżeli elity komunistyczne będą przybierać coraz bardziej „nacjonalistyczny" charakter, to wtedy powstanie niebezpieczeństwo odrodzenia się dawnych antagonizmów, które będą mogły być łatwo wykorzystane zarówno przez wewnętrzne jak i zewnętrzne siły.

Tego rodzaju deklaracja amerykańska byłaby szczególnie na czasie, gdyż wielu wschodnich Europejczyków (łącznie z czynnikami oficjalnymi) zaczyna obawiać się, że nowa stabilizacja w stosunkach amerykańsko-sowieckich może sprawić, że w polityce międzynarodowej Europa wschodnia zejdzie do roli podwórka — to znaczy będzie terenem wykorzystywanym od czasu do czasu przez Stany Zjednoczone aby wywierać odpowiednie naciski na Związek Sowiecki, lecz pozostawionym w zasadzie swym własnym sprawom i zdanym na łaskę potężnych sąsiadów, z Niemcami łącznie. Dlatego też konstruktywna deklaracja określająca nadzieje amerykańskie dotyczące przyszłych losów Europy wschodniej będzie wybiegała daleko poza ramy zwykłego manewru propagandowego. Jeżeli nawet spotka się na początku z zarzutem

24. Podczas gdy w innych stronach świata siła przyciągająca Stanów Zjednoczonych zaczęła zmniejszać się, w Europie wschodniej ludność w dalszym ciągu idealizuje Amerykę, widząc w niej kraj przyszłości; nastawienie to wzmacniają więzy osobiste z milionami Amerykanów pochodzenia wschodnio-europejskiego. Sympatycznym dowodem uczuć, jakie żywi młodzież, były wyniki ankiety, przeprowadzonej w Warszawie w czasie komunistycznych uroczystości młodzieżowych, związanych z Dniem Majowym: na pytanie gdzie ta młodzież chciałaby wyjechać gdyby zniesiono wszystkiem ograniczenia, odpowiadano jednomyślnie „do Ameryki". Vide Z. Bauman, *Kariera*, Warszawa 1960, str. 98.

prasy komunistycznej, że jest to mieszanie się do spraw wewnętrznych innych krajów, to jednak na pewno popchnie w odpowiednim kierunku wielu wschodnich Europejczyków, których niepokoi przyszłość ich krajów, lecz którzy nie znajdują nikogo, kto mógłby im podsunąć jakąś nową koncepcję, będącą konstruktywną alternatywą w stosunku do obecnej sytuacji.

Od konfliktu do współpracy

Obecne odprężenie rosyjsko-amerykańskie stwarza odpowiednie warunki, które dają Stanom Zjednoczonym konstruktywne możliwości. Rokowania dotyczące większości układów między Wschodem i Zachodem toczyły się, jak dotąd, w okresach napięcia i kryzysów[25]. Ponieważ lwią część kryzysów wywoływały wysiłki sowieckie zmierzające do wprowadzenia zmiany w status quo, inicjatywa spoczywała zwykle w rękach Moskwy. Układy (z wyjątkiem Traktatu austriackiego i Traktatu w sprawie zakazu doświadczeń atomowych) sprowadzały się po prostu do przywrócenia sytuacji poprzedniej. W obecnej fazie odprężenia, która nastąpiła po aferze kubańskiej, Zachód dysponuje bardziej sprzyjającymi okolicznościami, które umożliwiają mu rozwiązanie podstawowych zagadnień w stosunkach między Wschodem i Zachodem. Podejmując taką inicjatywę Stany Zjednoczone rozszerzyłyby w polityce amerykańskiej perspektywy europejskie i zdopingowałyby pozytywnie Wschód do podjęcia bliższych stosunków z Zachodem. Inicjatywa ta powinna mieć charakter gospodarczy, gdyż sprawy ekonomiczne są najdotkliwszym problemem Europy wschodniej, zaś możliwość współpracy z Zachodem na tym odcinku nie budzi w Europie wschodniej ideologicznych oporów.

Prezydent, przemawiając w imieniu Stanów Zjednoczonych, powinien więc przesłać państwom europejskim, łącznie z Rosją, propozycję aby wspólnie z Ameryką opracowały ogólno-europejski plan rozwoju gospodarczego. Plan ten, wznosząc się ponad obecne podziały europejskie, zmierzałby do zmniejszenia różnic w poziomach życia poszczególnych krajów europejskich, do zredukowania politycznego i ekonomicznego znaczenia istniejących granic, do poparcia wymiany handlowej i kontaktów osobistych między Wschodem i Zachodem, tworząc i rozwijając ogólnoeuropejski system współpracy. Propozycja ta byłaby ukoronowaniem przeszłych wysiłków amerykańskich, zmierzających do stworzenia jedności w Europie zachodniej, do bliższych kontaktów między Wschodem i Zachodem i do nawiązania na tym tle trwałych

25. A. Dallin, *The Soviet and Arms Control*, specjalne sprawozdanie opracowane dla U.S. Arms Control and Disarmament Agency w 1963-64, str. 190.

stosunków między Niemcami a Europą wschodnią. W proponowanym planie finansowy udział Ameryki byłby uzależniony od podobnego współuczestnictwa Europy zachodniej, które byłoby pewnego rodzaju uzupełnieniem. Europejska Wspólnota Gospodarcza mogłaby występować tutaj jako całość tworząc specjalny fundusz dla sfinansowania wymiany handlowej między Wschodem i Zachodem i wspólnych europejskich projektów inwestycyjnych, lub rozszerzając zadania i zasięg Funduszu Rozwoju Gospodarczego i Europejskiego Banku Inwestycyjnego. Nowe układy handlowe ze Wschodem zawarte w ramach organizowanego przez Amerykanów szerszego planu, dotyczącego współpracy gospodarczej między Wschodem i Zachodem, przyśpieszyłyby także proces zjednoczenia w Europie zachodniej.

Tego rodzaju przedsięwzięcie mogłoby z pożytkiem wykorzystać ekonomiczną siłę Zachodu, ekonomiczne naciski na Wschodzie i wzrastające zainteresowanie ideą europejską w Europie wschodniej, gdzie siła atrakcyjna ideologii komunistycznej słabnie nieustannie. Istnieją podstawy do przypuszczenia, że zachodni Europejczycy byliby skłonni współdziałać aktywnie przy tworzeniu takiego kolektywnego przedsięwzięcia. Na przykład ankieta, przeprowadzona w 1962 roku wykazała, że ogromna większość zachodnich Europejczyków odnosiła się pozytywnie do projektu użycia pewnych podatków państwowych na poparcie rozwoju biedniejszych rejonów Europy (mała mniejszość wypowiedziała się przeciwko podobnemu projektowi, który dotyczył Afryki[26]). Rozmiary finansowego udziału Niemiec zachodnich w organizmach międzynarodowych związanych z rozwojem gospodarczym są najlepszym dowodem, że Europa zachodnia może zmobilizować ogromne kapitały. Udziały niemieckie wynoszą: 1,050 milionów dolarów w kapitale zakładowym Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju, 200 milionów dolarów w Funduszu Rozwoju Gospodarczego w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, 300 milionów dolarów w Europejskim Banku Inwestycyjnym. Gdyby wspomniany plan dysponował tymi udziałami oraz uczestnictwem finansowym innych państw Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych, to wrażenie jakie wywarłby zarówno w Europie zachodniej jak i wschodniej byłoby kolosalne.

Plan opierałby się na przesłankach, że zjednoczenie Niemiec przeprowadzi się etapami i że Wschód wyrazi zgodę na zasadę, że z czasem odbudowa Europy pociągnie za sobą zjednoczenie Niemiec. Wschód dużo łatwiej pogodzi się z ogólnym planem europejskiej współpracy gospodarczej, który zapewni wielostronny udział Zachodu i który umożliwi przyłączenie się do niego zarówno Rosji jak i Europy wschodniej, niż z dwustronnymi próbami Niemiec zachodnich aby „kupić" Niemcy wschodnie w zamian za kredyty udzielane Rosji; w swoim czasie projekty takie wysuwała prasa Niemiec zachodnich a Wschód od-

26. Vide „Public Opinion and the European Community", *Journal of Common Market Studies*, listopad 1963, str. 115.

rzucał je wielokrotnie[27]. Bezpośrednie stosunki między Niemcami i Rosją wywołają obawy i sprzeciwy w Europie wschodniej, nie mówiąc już o niepokoju na Zachodzie, który będzie dopatrywać się w nich nowego Rapallo. Tylko rozwiązanie problemu Niemiec w ramach szerszej współpracy między Wschodem i Zachodem może dać gwarancję, że zjednoczenie nie doprowadzi do jakiegoś rozbicia po tej czy tamtej stronie.

Związek Sowiecki na pewno będzie starał się doprowadzić, przy pomocy tego planu, do legalizacji statutu Niemiec wschodnich i będzie nalegał, aby uczestniczyły one formalnie w każdym ogólnoeuropejskim przedsięwzięciu. Jeżeli jednak Zachód podejmie kroki, o których już mówiliśmy, a które dostarczą wschodnim Europejczykom odpowiednich zapewnień w sprawie Niemiec, to nie jest wcale rzeczą pewną, że Związek Sowiecki będzie mógł liczyć w swej akcji na solidne poparcie państw wschodnio-europejskich. Bo myśl współpracy z Europą budzić będzie znacznie większy entuzjazm w społeczeństwach wschodnio-europejskich niż obrona statutu Niemiec wschodnich. Możliwości ekonomiczne, które powstaną dzięki planowi będą na pewno bardzo pociągające dla wyczerpanych sytuacją ekonomiczną Europejczyków wschodnich. Charakter gospodarczy propozycji zmniejszy podejrzenia elity politycznej. Rządy państw komunistycznych, które przywiązują coraz większą wagę do własnego dobrobytu, mogą więc odnieść się pozytywnie do formuły wykluczającej udział Niemiec Wschodnich z uzasadnieniem, że reżym Ulbrichta wyciąga już korzyści z dwustronnych umów gospodarczych z Niemcami zachodnimi.

Tego rodzaju wielostronna współpraca gospodarcza, która będzie bez precedensu i która, jeżeli dojdzie do skutku, rozwijać się będzie przez szereg lat, stworzy prędzej czy później odpowiednie warunki umożliwiające pokojowe rozwiązanie istotnych problemów europejskich zarówno politycznych jak związanych z bezpieczeństwem. W nowej atmosferze może znajdzie się rozwiązanie dla najtrudniejszych zagadnień, tj. kontroli zbrojeń; osiągnie się może porozumienie w sprawie zamrożenia broni atomowej; a może także wybada się ponownie możliwości zawarcia różnych regionalnych układów bezpieczeństwa. W obecnej, wrogiej atmosferze, spowodowanej konfliktem, każda ze stron z konieczności podejrzewa, że projektowany plan bezpieczeństwa służy do zamaskowania jakiś ukrytych zamiarów przeciwnika.

Związek Sowiecki może oczywiście odrzucić projekt takiej współpracy; lub, co jest bardziej prawdopodobne, zajmie stanowisko dwuznaczne i będzie starał się przesunąć punkt ciężkości propozycji na bezpośrednią pomoc indywidualnym państwom komunistycznym, co przeinaczyłoby całkowicie zasadniczy cel tej

27. *Die Welt*, 3 lipiec, 1964; *Der Stern*, 23 sierpień 1964; *International Affairs* (Moskwa) No 6, 1964; str. 17; *Życie Warszawy*, 5-6 wrzesień 1964; *Neues Deutschland*, 7 listopada 1964.

inicjatywy. Projekt ten jednak przyciągnie kilka przynajmniej państw wschodnio-europejskich, a na całym tym obszarze społeczeństwa nalegać będą aby w nim uczestniczyć. Nie ma też żadnej pewności, że za odmową Związku Sowieckiego pójdą odmowy krajów wschodnioeuropejskich, jak to miało miejsce z Planem Marshalla. Nie można też zakładać, że Sowiety będą odrzucać plan ten w nieskończoność.

Zastanawiając się nad możliwymi reakcjami Moskwy należy wziąć pod uwagę fakt, że przeciwwagą dla ogólnego prądu ewolucyjnego Rosji w kierunku bardziej europejskim jest wzrastający nacjonalizm a nawet szowinizm rosyjski, oraz potężne interesy biurokratycznej dyktatury technokratycznej, która prawdopodobnie dominować będzie w dalszym ciągu nad politycznym życiem sowieckim. Jest rzeczą zupełnie możliwą, że chcąc podmurować swą władzę, elita kierownicza będzie zaostrzać współzawodnictwo światowe ze Stanami Zjednoczonymi, opierając się na pragnieniach wielu Rosjan, aby stać się pierwszą potęgą na świecie. Sowiety mogą więc odnieść się negatywnie do udziału w jakimkolwiek planie, który doprowadzi do ewentualnego zjednoczenia Niemiec i do zredukowania rosyjskiej kontroli nad Europą wschodnią. Polityka amerykańska musi więc liczyć się zarówno z możliwością pozytywnej ewolucji w Sowietach, jak i z tym, że w Moskwie utrzymają się wrogie nastawienia.

Inicjatywa amerykańska, którą proponujemy i która dotyczy ogólno-europejskiej współpracy gospodarczej, bierze właśnie pod uwagę obie te możliwości. Jeżeli zgodnie z naszymi przewidywaniami dojdzie w Sowietach do pozytywnej ewolucji, to propozycja amerykańska umożliwi Związkowi Sowieckiemu i Europie wschodniej wejście na drogę wielkich rozwiązań i porozumienia z Zachodem. Jeżeli w Sowietach utrzymają się wrogie nastawienia, propozycja podważać będzie kontrolę sowiecką w Europie wschodniej. Zwiększy ona bowiem cenę, którą płacą Sowiety za swe panowanie, gdyż Europejczycy wschodni dysponować będą nowymi możliwościami nacisków; w zamian za odrzucenie inicjatywy zachodniej będą mogli domagać się od Sowietów zwiększonej pomocy gospodarczej. W obu więc wypadkach i przy tak odmiennych założeniach dotyczących ewentualnego rozwoju sytuacji wewnętrznej w Związku Sowieckim, propozycja przyniesie pozytywne skutki.

Sam fakt złożenia takiej propozycji przyniesie Stanom Zjednoczonym korzyści polityczne. W najgorszym wypadku, stworzy on uczciwą i racjonalną linię polityczną w sprawie zjednoczenia Niemiec. Z chwilą złożenia propozycji, stanie się ona obiektywną siłą, zupełnie tak samo jak to miało miejsce z odważnym planem rozbrojeniowym Chruszczowa, który, mimo, że nigdy nie został wprowadzony w życie, nadał pewien pozytywny rozpęd sowieckiej polityce zagranicznej. Inicjatywa może zmobilizować Zachód i przyciągnąć Wschód, bez względu na to czy zostanie oficjalnie przyjęta lub odrzucona. Jej pozytywne aspekty stworzą w każdym razie pewne różnice opinii w Moskwie

i mogą pomóc umiarkowanym siłom w społeczeństwie sowieckim.

Czytelnik dostrzegł na pewno historyczne podobieństwa między tą propozycją a początkowym projektem Planu Marshalla. Plan ten ukazał w sposób dotąd niespotykany ogrom siły politycznej, jaką tworzy inicjatywa o dalekim zasięgu, którą podejmuje się w odpowiednim czasie. Harry Price, który jest jego kronikarzem pisze o tym w sposób wymowny:

> Plan Marshalla był dowodem, że wolne narody mogą w walce między Wschodem i Zachodem uchwycić inicjatywę w ręce, jeżeli stworzy się cele, które przyciągają społeczeństwa szeroko i potężnie i jeżeli osiągnięciu tych celów przeznaczy się odpowiedni zapas inteligencji, energii i zasobów.
>
> Początkiem Planu była pewna idea. Była to idea, która odpowiadała ogólnie odczuwanym pragnieniom i która rozpaliła wyobraźnię i nadzieje milionów. Jego koncepcja i opracowanie były aktem twórczym. Lecz jego nadzwyczajne znaczenie polegało mniej na tym, że był w swoim rodzaju jedyny, ale na tym, że był tak historycznie na czasie, że stał się częścią istniejących prądów myśli i uczuć... By wprowadzić stosunki między ludźmi do nowej epoki — epoki, w której na skutek przedsięwzięć opartych na współpracy, oswobodzone energie mogą zapanować nad siłami nastawionymi na obronę i zniszczenie — potrzeba nie jednej czy dwu idei, lecz całego zespołu nowych koncepcji. Wśród lekcji, których dostarcza nam Plan Marshalla, jest między innymi i ta: aby jakaś idea, słuszna na terenie przemysłowym, stała się skuteczna na polu międzynarodowym, musi odnosić się do sytuacji, która do tego dojrzała[28].

Price opisuje obrazowo beznadziejną sytuację w Europie w 1947[29]. Plan Marshalla narodził się z zawodu i niepowodzeń konferencji moskiewskiej, a celem jego był „szeroki i potężny wysiłek". Dzisiaj, gdy mnożą się bronie atomowe, rośnie nacjonalizm w Europie zachodniej, zmniejszają się wpływy Stanów Zjednoczonych na kontynencie europejskim, nabiera na sile rozczarowanie w Niemczech zachodnich, a na Wschodzie, coraz bardziej podzielonym, ukazują się różne nowe możliwości — powstaje ponownie potrzeba odważnej i twórczej idei oraz dojrzewają historyczne okoliczności, konieczne dla jej realizacji.

Tak długo jak Zachód jest militarnie silny i jasno określa swe cele, nie powinniśmy żywić żadnych obaw, gdy składamy światu komunistycznemu szczerą propozycję współpracy gospodarczej, która nie zmierza ani do wzmocnienia, ani do osłabienia

---

28. H.B. Price *The Marhall Plan and Its Meaning*, Ithaca, New York, 1955, str. 412, 407.
29. Ibid., str. 24-36.

tych, którzy zrobili z siebie naszych przeciwników, lecz do silniejszego zespolenia nas wszystkich w celu uniemożliwienia prowadzenia wojen. Nawet w najczarniejszym okresie lat czterdziestych sekcja planowania politycznego w Departamencie Stanu uważała — i jakże słusznie — że „wysiłki amerykańskie w pomocy dla Europy nie powinny iść w kierunku zwalczania komunizmu jako takiego, lecz w kierunku odbudowy zdrowej sytuacji gospodarczej i przywrócenia żywotności społeczeństwom europejskim"[30]. Takie właśnie wysiłki uzyskały poparcie amerykańskiej wspólnoty gospodarczej[31] i jest więcej niż prawdopodobne, że w bardziej optymistycznych latach sześćdziesiątych, a w szczególności po wyborach amerykańskich w 1964 roku, będą mogły one liczyć na to poparcie.

Mylą się ci, którzy mówią, że Nowy Świat nie ma już misji do spełnienia w Starym Świecie i że Europa, przywiązana do Ameryki, będzie „bez duszy i bez korzeni". Ale tylko Ameryka może udowodnić, że ludzie ci mylą się. Idea Wspólnoty Atlantyckiej była twórczą i skuteczną reakcją na wyzwanie rosyjskie. Lecz charakter wyzwania zmienił się. Idea Atlantycka nie stanowi już właściwej odpowiedzi na fakty, które powstały na skutek osłabienia bloku sowieckiego i na fakt, że Europa poszukuje własnego oblicza. Proponowana inicjatywa przysłuży się stworzeniu szerszego zespołu warunków dla dalszej współpracy amerykańsko-europejskiej, zapobiegając jednocześnie możliwości że tendencja do zjednoczenia europejskiego będzie połączona z dążeniem Europy do uniezależnienia się od Stanów Zjednoczonych. Szersza koncepcja wspólnoty, obejmującej cztery główne człony: Amerykę i Rosję, jako uczestników położonych na dwóch peryferiach, oraz Europę zachodnią i Europę wschodnią, jako dwie części tworzące wewnętrzny ośrodek (które z czasem zespolą się może jeszcze ściślej), rozwinie przed naszymi oczami bardziej konstruktywny i bardziej politycznie pociągający obraz przyszłości, niż niepewna współpraca Zachodu, z konieczności oparta na trwającym podziale Europy.

Tego rodzaju szeroka koncepcja, w której Wspólnota Atlantycka mogłaby być jedną z części składowych, ma wszelkie dane aby związać Stany Zjednoczone z przyszłymi losami Europy, zapobiec rozwojowi wąskich nacjonalizmów w Europie, prze-

30. Ibid, str. 22.

31. By zapoznać się z poglądami amerykańskimi na sprawę czy należy dopuścić Związek Sowiecki i Europę wschodnią do Planu Marshalla, vide Joseph Barber, *The Marshall Plan as American Policy, A Report on the Views of Community Leaders in Twenty-One Cities*, Council on Foreign Relations, New York City, 1948, str. 19-20, 33 i 53. O koncepcjach politycznych, które kryły się w Planie Marshalla mówi M. Beloff, *The United States and the Unity of Europe*, New York City, 1963, a w szczególności jego sprawozdanie z memoriału, który opracowali w Departamencie Stanu wczesnym latem 1947 roku Charles Kindleberger, Harold B. Cleveland i Ben T. Moore (str. 21-26) i w którym omawiali polityczną stronę sprawy włączenia Europy wschodniej i Niemiec do Planu Marshalla.

ciwdziałać utrzymywaniu się wrogo nastawionych do świata zachodniego komunizmów narodowych oraz stworzyć nowe warunki polityczne, które umożliwiłyby wreszcie usunięcie obciążeń pozostawionych w spadku przez drugą wojnę światową. Ameryka nie może wyznaczyć sobie zadania bardziej szlachetnego i będącego bardziej na czasie, niż dążenie do położenia kresu podziałowi Europy.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Dziennik podróży na północ

Hong Kong — środa. Przylot, szybkie formalności, jazda do hotelu. Po kilku minutach pędzę na miasto. Hong Kong to największy i chyba najtańszy dom towarowy świata. Można tu kupić zegarki szwajcarskie taniej niż w Szwajcarii, aparaty japońskie taniej niż w Tokio, tudzież perły i transistory. Cena inna w każdym sklepie, więc zakupy są poważną operacją.

Do niedawna u nas, w Australii, używało się europejskich terminów dla określenia Azji — *Daleki Wschód* na przykład. Teraz mówimy *Bliska Północ* a nawet najbardziej zagorzali tradycjonaliści przestali nazywać Wyspy Brytyjskie nostalgicznym *home.*

Trzy dni w Hong Kongu — to bardzo dużo. Krawiec czy szewc szyją na zamówienie w dwa dni, więc jest pełno czasu, by się rozejrzeć, i by popróbować smakołyków chińskich. A jest się czym rozkoszować, bo pomimo znakomitych restauracji chińskich w San Francisco i Nowym Jorku, a nawet w Londynie i Paryżu, kuchnią chińską można naprawdę rozkoszować się jedynie na ziemi chińskiej. A ziemia Hong Kongu jest na pewno chińska, mimo, iż powiewa nad nami sztandar brytyjski, *Union Jack.*

Z tym jest oczywiście wielka heca. Biedaczysko Chruszczow miał całkowitą słuszność, kiedy podkpiwał z Mao Tse-tunga, że tak się jakoś ociąga z odebraniem Hong Kongu imperialistom.

Miasto to, w którym mieszka niemal cztery miliony Chińczyków, rządzone jest przez drobną garstkę Anglików. Porządek w mieście utrzymuje 950 policjantów, a w rezerwie jest, batalion wojska angielskiego. (Policjanci są to Chińczycy — podobno z Północy, gdzie Południowi Chińczycy, którzy zamieszkują Hong Kong, są znienawidzeni). I to wszystko. W admi-

nistracji najważniejsze stanowiska obsadzone są przez Anglików. Reszta miasta — Związki Zawodowe, organizacje społeczne i tp. kontrolowane są przez Czerwonych, od których zależy też miasto, jeśli chodzi o żywność i nawet o wodę. A jednak w zeszłym roku otwarto 4-5 wielkich hoteli, a ruch budowlany w ogóle jest trudny do opisania. A więc czyżby wszyscy bogacze lokalni i zagraniczni, topiący na wyścigi pieniądze w Hong Kongu, powariowali, gdy twierdzą, że miasto to jest najbezpieczniejszym miejscem w Azji i to przynajmniej na następne 20 lat?

Hong Kong — czwartek. Pytanie to zadałem jednemu z amerykańskich obserwatorów, który po ukończeniu studiów orientalistycznych na uniwersytecie amerykańskim spędza obecnie okres bardzo czynnej pracy badawczej w Hong Kongu. Jest tych badaczy tutaj cała masa i powszechnie uważa się, iż Stany Zjednoczone poinformowane są znakomicie o tym, co się dzieje w Czerwonych Chinach. Nie znaczy to oczywiście, iż wyciągają lub kiedykolwiek wyciągną właściwe wnioski z tych pracowicie zbieranych informacji, ale to już nie jest wina badaczy...

Mój rozmówca mieszka na wzgórzu, w połowie drogi na szczyt góry. Widok na port i miasto rzeczywiście fascynujący, obraz roztaczany przez mego rozmówcę fascynuje mnie jeszcze bardziej.

„Nasze dokładne badania wykazują, że Czerwone Chiny wyciągają z Hong Kongu dewiz na przynajmniej pół miliarda dolarów amerykańskich rocznie, co jest ich najpoważniejszym źródłem walut obcych, za to kupują u was zboże i wełnę. Wpływy te otrzymują w formie zapłaty za żywność i wodę, przesyłki tutejszej ludności do rodzin i td.". Przeszliśmy do Chin Czerwonych. Mój rozmówca rozgadał się. „Złości mnie to wychwalanie postępu gospodarczego Chin. Na przykład w produkcji stali od roku 1956 do 1963 Chińczycy posunęli się od 5,5 miliona ton do 8 milionów. W tym samym czasie Japończycy podskoczyli od 8 milionów do 35 milionów, a w bieżącym roku biją dalej wszystkie rekordy produkcji. Z żywnością jest nieco lepiej, niż było, ale co rok przybywa nowych 15 milionów ust do nakarmienia. Nie sądzę, by poprawa mogła dogonić ten przyrost naturalny".

Zapytany o stosunki sowiecko-chińskie po usunięciu Chruszczowa, mój gospodarz wyraził sąd, iż do poprawy dojść nie może, ale że pewne uspokojenie propagandy może nastąpić. Chińczycy, przy całej swej krwiożerczej propagandzie, uprawiają bardzo ostrożną politykę. Z tego punktu widzenia rakiety na Kubie byłyby u Chińczyków nie do pomyślenia.

Zadaję najważniejsze może pytanie:

„Opinia Zachodu jest urabiana w kierunku 'przeczekania' Mao, że się tak wyrażę. Mówi się, iż następne pokolenie przywódców komunistycznych będzie bardziej ugodowe, bardziej oportunistyczne, czy rewizjonistyczne".

„To nieprawda. Niema na to żadnych dowodów, jest ich natomiast pełno na poparcie tezy odwrotnej. Mamy dane sądzić, iż 200 czołowych komunistów chińskich następnego pokolenia jest odlanych z tego samego kruszcu co Mao Tse-tung".

Wracamy do rozmowy o tym niezwykłym mieście, w którym się znajdujemy.

Mój rozmówca wspomina o swobodnym ruchu pogranicznym między Hong Kongiem, a prowincją kantońską Chin Czerwonych. Naturalnie — żaden inteligent, ani mieszkaniec dalej położonych prowincji nie ośmieli się poprosić o przepustkę. Natomiast szary ludek jeździ tam i z powrotem. Szczególnie na święta.

Zjeżdżając ze stromej góry kolejką zębatą „trawię" naszą rozmowę. Przypomina mi się określenie Hong Kongu, pochodzące od profesora ekonomii na tutejszym Uniwersytecie, jako „ostatniej twierdzy Adama Smitha". Jeżeli tak jest, to możnaby powiedzieć o wielkim teoretyku liberalnej gospodarki, że „Umarł Maciek, umarł... a jeszcze się rusza".

Obiad chiński — bardzo tani — w luksusowej sali restauracyjnej na 16-ym piętrze luksusowego hotelu *Ambasador* (kapitały filipińskie). Widok w nocy na piękne oświetlone miasto i zatokę nie do opisania. Jedzenie też.

Hong Kong — piątek. Odbieranie zamówionych rzeczy, dalsze zakupy. Po odwiedzeniu 10 sklepów kupuję w jedenastym. Na pewno wpadłem, bo można było i lepiej i taniej, ale gdzie??? Okazuje się, iż największe i najbardziej luksusowe sklepy są tu najtańsze i najsolidniejsze. Tyle tylko, że nie ma przyjemności targowania się. Od razu podają niższe ceny, Na przykład krawatv z jedwabiu syjamskiego. Małe sklepy mają mały wybór i liczą od 8,50 do 10 dolarów hong kongskich (5.75 za dolara amerykańskiego). W dużym sklepie wybór wielki ale za to liczą 7 dolarów. Podobno można było znaleźć jeszcze tańsze źródło.

Taipei — sobota. Pogoda piękna. Na Formozie jesień, więc niezbyt gorąco, choć zbyt dużo wilgoci w powietrzu. Z okien samolotu widać głęboką zieleń tej wyspy, którą już Portugalczycy nazwali *Ilha Formosa* (piękna wyspa). Chińska nazwa Taiwan (wyspa tarasów) mniej dokładnie oddaje urok tego kraju.

Mój przewodnik, pan Feng jest człowiekiem o wielkim uroku osobistym. W wieku lat 39 przeszedł ze stanowiska Komandora Marynarki Wojennej do służby w Ministerstwie Informacji. Jest idealnym przewodnikiem. Nie usiłuje narzucić opinii, przemycić propagandy. Proszony o ułatwienie spotkania z wybitnym politykiem, pozostającym w niełasce, załatwił natychmiast. Gdy idę na rozmowy nieoficjalne, znika i nigdy nie pyta, o czym się mówiło. Bardzo mu jestem za to wdzięczny.

Pierwsze wizyty „protokolarne". Pan Ku Cheng-kang jest między innymi prezesem Anty-komunistycznej Ligi Narodów Azjatyckich. Udaje, iż nie rozumie po angielsku. Wielki spryciarz, ale mu nie wierzę, że nie rozumie.

Opowiada mi o pracy „na kraj", w której jest zaangażowany. Odbywa się ona za pomocą a) ruchu podziemnego; b) zrzucania ulotek z samolotów i balonów; c) paczek z żywnością i odzieżą; d) radia i e) desantów grup wypadowych.

Postanawiam przyjrzeć się tym odcinkom akcji z bliska.

Po południu zaczynamy od radia — też oczywiście „na kraj". Jak wszędzie indziej na Formozie, pokazują mi wielkie tablice pełne ilustracji i wykresów. Nie zawsze to się udaje, ale zapału jest wiele. W Wydziale Radiowym ciekawe były wykresy zasięgu stacji, w stałej walce ze stacjami zagłuszającymi (inny wykres). Stacje te mają poważny problem nadawania w dziesięciu językach i narzeczach a ponadto rozróżniać muszą dwa rodzaje słuchaczy, do których chcą trafić: zwykłych obywateli i członków komunistycznych kadr partyjnych, na których opiera się cały aparat administracyjny kraju.

Wieczorem ciekawe spotkanie z weteranem korespondentów amerykańskich, który towarzyszy Chińczykom od Czungkingu do Taipei, to znaczy przynajmniej od 22 lat. Jest on chodzącą encyklopedią ludzi i zdarzeń na tym terenie. Jest rzeczowy i bardzo spokojny, mimo, iż pije niemało whisky.

Uważa on, iż Rząd Czang Kai-szeka popełnił wiele błędów po zwycięskim zakończeniu wojny z Japonią. Byłoby jednak szczytem ignorancji i niesprawiedliwości twierdzić, iż te błędy jedynie przyczyniły się do klęski. Błędy Marshalla, Trumana i Roosevelta były przynajmniej tak ważkie i tak kapitalne; i były decydujące. Na dowód tego wspomina, iż gen. Marshall płakał, gdy rozmawiał o tym okresie swej działalności. Marshall był wojskowym, a nie politykiem — mógł się przyznać do błędu.

Republika Chińska nie należy do międzynarodowej konwencji autorskiej. Na Formozie ukazuje się więc wiele książek angielskich, drukowanych z klisz fotograficznych za ułamek ceny egzemplarza oryginalnego. Pierwszą taką książką którą ku-

piłem, były *Pamiętniki* Generała Douglasa MacArtura. Uważam, iż jest to niestety najbardziej odpowiedni przewodnik po krajach, które drogo zapłaciły, i dalej płacą za niekończące się błędy polityki amerykańskiej w Azji. Mimo wielu usterek, jest to niezwykle ciekawa książka człowieka, który wiele przewidział, rzetelnie ostrzegał i wiele zrobił, by sytuację naprawić.

Przeniósłszy się na Formozę, Rząd Chiński wziął sobie wiele nauczek bardzo do serca. (Znacznie bardziej, niż wielu naszych polityków po wrześniu). Skutecznie ukrócono korupcję, usprawniono administrację i politykę gospodarczą, usanowano (używam tego słowa w znaczeniu pierwotnym, nie ironicznym) rolnictwo.

Ponadto Rząd usprawnił gotowość wojska, bardzo skutecznie rozbudował wywiad na kraj, z czego Amerykanie chętnie korzystają, i wprowadził ostre przepisy bezpieczeństwa publicznego. Na papierze nie są one ostrzejsze, niż normalne przepisy bezpieczeństwa kraju, znajdującego się w stanie wojny, ale wielu moich informatorów kwestionowało metody wykonywania tych przepisów.

Wolność prasy jest względna. Zakładanie nowych pism jest utrudnione „brakiem papieru", ale jawnej cenzury niema. Jest natomiast niepisany zakaz poruszania trzech spraw: a) krytyka osoby Prezydenta Czang Kai-szeka; b) poddawanie w wątpliwość zasady anty-komunizmu i c) poddawanie w wątpliwość najwyższego celu Rządu — rychłego powrotu do kraju lub szans przeprowadzenia tego zamiaru (a to jest zupełnie „druga sprawa").

Z bardzo pobieżnych kilkodniowych obserwacji przypuszczam, iż istnieje zgoda w społeczeństwie co do punktu b), i poważna większość co do a). Natomiast odnośnie punktu c) jest bardzo różnie.

Taipei — niedziela. Przed wyjazdem na prowincję zdążyłem „złapać" wizytę w Muzeum, w którym wystawiono kilkadziesiąt najciekawszych eksponatów Muzeum Narodowego. Przed ucieczką na Formozę Rząd Chiński zabrał ze sobą 240.000 eksponatów, z których najciekawsze pokazuje się co pewien czas w stolicy. Reszta schowana jest w Taichung, gdzie też pokazują niewielką próbkę wspaniałej całości.

Widziałem wspaniałe odlewy z brązu (XV w. przed Chr.), wyroby z kości słoniowej, nefrytu we wszystkich kolorach, widziałem piękną ceramikę i porcelanę chińską (pierwsza na świecie), widziałem i podziwiałem malarstwo chińskie i patrzałem nierozumiejącymi oczyma na arcydzieła kaligrafii chińskiej. Nie

rozumiem, dlaczego niektóre utwory kaligrafii są bardzo wzruszające i pobudzają widzów do łez; rozumiem natomiast podziw dla malarstwa chińskiego, malarstwa dziwnej subtelności.

Pociąg jest niespodzianką. Wagony czyste i nowoczesne, obsługa sprawna. Przy każdym fotelu przymocowana jest szklanka na zieloną herbatę, którą stale dolewają, a którą tak lubię.

Przysiada się do mnie amerykański profesor-botanik, wykładający czasowo na jednym z tutejszych uniwersytetów i doradzający Rządowi w dziedzinie sadzenia roślin i drzew. Lubi swą pracę wśród Chińczyków. Lubi Chińczyków.

On wprowadza mnie po raz pierwszy w problemy, związane z pewnym napięciem między ludnością miejscową, a przybyszami z Chin po roku 1949. Stosunek ilościowy jest 9 milionów — 3 miliony. Przybysze obsadzili najważniejsze posady i są przez Formozan uważani — do pewnego stopnia — za intruzów. Formozanie nadal uważają się za gospodarzy tego kraju. Napięcia „na oko" nie widać, ale na przykład o ile studenci-uciekinierzy na ogół starają się o posady w Ameryce, studenci Formozanie raczej wracają do kraju.

Różnicy stosunku tych grup wobec Rządu komunistycznego niema.

Przyjeżdżamy do Taichung, skąd jedziemy autem w góry. Piękna ta wycieczka kończy się nad brzegami jeziora Słońca i Księżyca *(Summoon Lake)* położonego na wysokości ponad 1000 metrów nad poziomem morza. Przeprawiam się na drugi brzeg, gdzie znajduje się pokazowe osiedle prawdziwych tubylców Formozy — górali, których na wyspie jest ponad 200.000. Są oni pochodzenia malajskiego, ale są już teraz dobrze pomieszani z Chińczykami. Przed najbardziej okazałym domem osiedla zjawia się były „król" (obecnie „szef") tubylców o miłym nazwisku Mao. W przeciwieństwie do swego mniej miłego imiennika szef Mao jest wierzącym katolikiem.

Taichung — poniedziałek. Odwiedziny w siedzibie Rządu wyspy Taiwan (w Taipei znajduje się siedziba Rządu Chin — Prezydenta Czang'a). Tam mam otrzymać informacje o rozwoju gospodarczym i społecznym wyspy. Odbywa się to w osobliwy sposób — siedzimy w towarzystwie dygnitarza, który nie mówi po angielsku, i dwóch tłumaczy. Przed nami poruszają się tablice i wykresy, a równocześnie rozbrzmiewa dźwięk taśmy magnetofonowej, recytującej ten sam tekst. Po tym spektaklu otrzymujemy broszurkę, w której odtworzone są wszystkie tablice i wydrukowany jest tekst taśmy, słowo po słowie...

Można sobie żartować z tego — trochę obcesowego — sposobu informowania ludzi, ale nie ma wątpliwości, iż jest się czym

pochwalić w wielu istotnych dziedzinach życia społecznego i gospodarczego. Rolnictwo, przemysł, transport, szkolnictwo od powszechnego do wyższego, służba zdrowia — postęp na tych polach sprawił, iż po 15 latach rządów Czang Kai-szeka Formoza osiągnęła najwyższy poziom życia w Azji po Japonii i Izraelu (o ile nasze pojęcie Izraela można pogodzić z jego położeniem geograficznym). Rezerwy dewizowe Formozy przekraczają w tej chwili rezerwy Italii. Nic więc dziwnego, iż rezygnacja z pomocy gospodarczej amerykańskiej, która nastąpiła ostatecznie w roku 1964, przeszła bez większego bólu.

Krótka wizyta na Uniwersytecie Tung Hai, utrzymywanym przez misje protestanckie. Architektonicznie jest to cacko — zmodernizowany styl chiński z okresu Dżingis chana.

Po powrocie do stolicy spotkanie z ekonomistą amerykańskim, zawodowo śledzącym rozwój gospodarczy kraju. Jest on bardziej entuzjastyczny od samych Chińczyków. Twierdzi on, iż ciężko zarobione dewizy nie są trwonione na artykuły luksusowe, że panuje pewne zakłopotanie, jak te dewizy najlepiej zużytkować. Ponadto podkreślił on ciekawe konsekwencje wzbogacenia się rolników, zwykle Formozan. Sytuacja zaczyna się powoli odwracać i gros zarobków wpływać zaczyna do kas Formozan, a przybysze z Chin siedzą na chudo płatnych posadkach i zadowolić się muszą posiadaniem władzy.

Formozanie doszli już do luksusów i wielu z nich kształci dzieci w Ameryce, a urlopy spędza z nimi na Riwierze.

Powoduje to też głębokie zmiany stosunków między tymi dwiema grupami ludności; po raz pierwszy istnieje szansa utrwalenia systemu i oparcia go na mocnej i trwałej podbudowie społeczno-gospodarczej. Może także wywołać nawrót do korupcji.

Na pewno jednak stępia niechęć Formozan do „obcej" władzy, bo skoro władza ta przyniosła taki dobrobyt, to lepiej jej nie zmieniać.

Wieczorem kaczka po pekińsku w Grand Hotelu. Najlepszy chyba przysmak na świecie skonsumowany w najpiękniejszym chyba hotelu. Po uczcie zostały tylko kości, bo skórka jest samodzielnym daniem.

Taipei — wtorek. Ranne spotkanie z młodymi agronomami z Łącznej Komisji Odbudowy Rolnej traktowałem, jako rutynę. Jakże byłem w błędzie.

Łączna Komisja zawdzięcza swą nazwę czynnemu udziałowi uczonych amerykańskich i funduszów amerykańskich. Komisja ta rozplanowała reformę rolną, doprowadziła do kilkakrotnego zwiększenia wydajności ziemi, wprowadziła nowe płody, a obecnie pla-

nuje zużytkowanie ziemi nieurodzajnej, a przede wszystkim złóż górskich. Ja, który nawet we własnym ogródku nie potrafię piętnastu minut popracować (tak mi są obce te sprawy), zaraziłem się entuzjazmem tych młodych ludzi i parę godzin siedziałem z nimi słuchając ich opowiadania.

Reforma rolna jest niemal zakończona. Ponad 80% ziemi jest nią objętych, a spłata otrzymanej ziemi skończyła się mn.w. w roku 1962. Ponieważ zaś produkcja z hektara wzrosła kilkakrotnie i nowe — bardzo dochodowe — płody przynoszą chłopom dodatkowe dochody, uznać można, iż spłata gruntu nic właściwie chłopów nie kosztowała. Natomiast byli obszarnicy otrzymali obligacje państwowe, które mogli zainwestować w przemyśle.

Jednym z ciekawych przykładów inowacji w rolnictwie jest historia grzybków typu francuskich *champignons*[1]. Pierwsze eksperymenty rozpoczęły się w roku 1957, a w roku 1963 przyniosły one Formozie ponad 16 milionów dolarów walut. Podobne plany są w zaawansowanym stadium z bananami, a w przygotowaniu ze szparagami.

Łączna Komisja używa funduszów amerykańskich, powstałych ze sprzedaży darowanych produktów amerykańskich. Przypuśćmy, iż Gomułka zmądrzał i zgodził się, by drobną cząstką należnych Ameryce złotych polskich rozporządzała Łączna Komisja w składzie 1 Amerykanina i 2 Polaków, korzystająca z całkowitej autonomii i zajmująca się jedynie teoretycznym i praktycznym usprawnieniem rolnictwa... Jaka by to była różnica...

Tapei — środa. Moi gospodarze nie umieścili w programie mego pobytu wizyty na wyspie Quemoy — po chińsku Kinmen — ale bardzo się ucieszyli, gdy się o to upomniałem. Nie jest to bardzo niebezpieczne, nie mniej istnieje pewien element ryzyka, więc władze tego nie proponują, a nawet biorą cyrograf, zwalniający ich od odpowiedzialności cywilnej „w razie broń Boże".

Na wycieczki wybiera się zwykle dni parzyste, gdyż ostrzeliwanie przez Czerwonych ma miejsce jedynie w dni nieparzyste.

Nasza wojskowa Dakota leci bardzo nisko, by uniknąć radaru i MIG'ów nieprzyjaciela; ja ich napewno nie widziałem. Pogoda piękna, jest chłodno i świeżo, gdy lądujemy na zaimprowizowanym lotnisku w Kinmen. Mam przydzielonego oficera z łazikiem i tłumacza do oficera. W szybkim tempie rozpoczynamy objazd wyspy zaczynając od punktu, najbliżej położonego do pozycji Czerwonych. 2100 metrów. Widać przeciwny brzeg gołym

1. Pieczarki.

okiem i dochodzi głos, więc obie strony obrzucają się propagandą z wielkich głośników. Wszystkie urządzenia wojskowe na wyspie są wykute w skale — łącznie z salą kinową na 1000 miejsc. Z przystanku wojny psychologicznej wypuszczam balony z ulotkami, odwiedzam radiostacje, stanowiska dział, kwatery załogi, by zakończyć pierwszą połowę dnia w kasynie oficerskim (również w skale), gdzie jestem gościem generała dowodzącego Kinmen. Śniadanie znakomite, wódka lokalna — niegorsza, powiedziałbym nawet, że mocniejsza i gładsza od naszej.

Pijemy tą wódką toast za zdrowie Prezydenta Republiki, za gości (każdy do każdego) i za każde danie. Szczególnie uroczysty toast należy się „żółtej rybie", bo to rzadki smakołyk. Po śniadaniu wręczenie pamiątki wizyty (odłamek szrapnela, który spadł na wyspę w czasie intensywnych bombardowań), fotografie i odjazd do miasteczka, które żyje normalnym, dostatnim i spokojnym życiem i nie wydaje się zbyt dotknięte oblężeniem.

Mówi się, że rząd amerykański wielokrotnie próbował nakłonić Generalissimusa Czanga, by wyspę Kinmen i przyległe wysepki porzucił. Obecnie jednak opinia wojskowa amerykańska zdaje się być bardzo zadowolona, iż Czang się uparł.

Powrót odbył się równie spokojnie, jak wyjazd.

Tapei — czwartek. Wizyta u wybitnego polityka chińskiego, obecnie w niełasce. Mało razy w życiu dane mi było rozmawiać z człowiekiem takiego kalibru, wiedzy i kultury.

Był przybity, miał wiele żalu do władcy. Gdy go jednak zapytałem, jak powinni działać przyjaciele Chin, nawet tacy, którzy podzielają jego zastrzeżenia, odpowiedział bez chwili wahania: „Przeciwstawiać się ze wszystkich sił uznaniu Czerwonych Chin".

Jest on zdania, że bomba chińska jest znacznie bardziej zaawansowana niż się to w pierwszej chwili zdawało. Mimo, iż oblicza poparcie Mao w Chinach na 10%, mój rozmówca jest na krótką metę bardzo pesymistyczny: „Za życia moich dzieci jeszcze sprawy się ułożą, ale za mego — nie".

Zna on osobiście Mao Tse-tunga, Liu Shao-chi i Czu En-lai. Uważa ich za ludzi przebiegłych, ale za wielkich ignorantów.

I on też jest przekonany, że w wypadku większej awantury w Azji Chiny Czerwone nie przyszłyby na pomoc Północnemu Wietnamowi, a już na pewno Sowiety — Chinom.

Spotkanie załatwione było przez Rządowe Biuro Informacyjne na moją prośbę. Zanim tak się stało nikt nie wierzył, iż uda mi się owego polityka zobaczyć.

Śniadanie z grupą malarzy i poetów. Pierwszy, którego poznałem, to młody malarz — Hu Chi-chung. Wspominam mu o pa-

ru obrazach chińskich malarzy, które bardzo mi się spodobały na wystawie w Sydney, a on w śmiech. Okazuje się, iż to on je malował.

Było też trzech pisarzy i poetów z grupy „dzikich". Odrzucili oni tradycyjne kanony pisarstwa, a nawet języka chińskiego. Mają szalone powodzenie, nagrody literackie, wiele uznania i bardzo mało pieniędzy. Z wyjątkiem stwierdzenia, że są antykomunistami, nie chcą oni mówić o polityce. Widać, iż wielkie ideały ich zawiodły i że to ich jeszcze boli.

Jeden z nich bardzo się ze mną zaprzyjaźnił. Przyniósł mi nawet na lotnisko pierwszy egzemplarz swej nowej powieści z dedykacją. Cóż, kiedy to chińszczyzna...

Ten mój nowy przyjaciel, Feng Feng, ma lat 29 i jest samoukiem. Niedawno przełożył swą nowelkę na *basic English* (język zawierający bardzo małą ilość słów) i mimo tak ograniczonych środków zdobył wyróżnienie wydawcy europejskiego, który włączył ją do antologii najlepszych nowel roku. Poza tym nauczył się kompozycji i skomponował symfonię opartą na motywach folkloru chińskiego, ale w układzie na zachodnią orkiestrę. Do tego pracuje zarobkowo w redakcji gazety codziennej. Twierdzi, iż mu bardzo mało snu potrzeba.

Generał Yeh Hsiang-chih jest ważną figurą, jest szefem Drugiego Oddziału Sztabu oraz równoległego 2-go Wydziału Kuomintangu, partii rządzącej. Kieruje więc całą robotą „na kraj".

Jest zadowolony z rezultatów sieci wywiadowczej, a szczególnie z tego, iż straty w wyniku wsyp są stosunkowo nieznaczne. Personel odnawiany jest różnie — między innymi za pomocą desantów i zrzutów.

Urządza się również desanty grupowe typu komando. O tych niewiele jest w prasie. Można jednak przyjąć za stwierdzone, iż zasięgiem swym komando to obejmuje całe wybrzeże Chin aż po Tsingtao — 1000 kilometrów na północ od Formozy.

Po rozmowie, nieodzowna inspekcja wykresów i eksponatów Drugiego Oddziału, dokumentów przywiezionych przez komando oraz paczek rozdawanych ludności miejscowej. Widziałem nawet włócznie, w które podobno uzbrojona jest milicja w bardziej odległych miejscowościach. (Milicja stanowi pierwsze linie obrony wybrzeża. Wojsko regularne rozmieszczone dalej od wybrzeża, jest znacznie lepiej uzbrojone).

Na moje pytanie o reakcji ludności miejscowej na desanty, generał Yeh przyznaje, iż przed paru jeszcze laty reakcja była bardzo wroga. Ostatnio jednak uległa znacznej poprawie, przy czym, jak dodaje z uśmiechem, paczki musiały też pomóc.

Wiceminister Spraw Zagranicznych Chu Fu-sung. Człowiek

obdarzony dużą inteligencją i wdziękiem. Wygłasza tezę oficjalną spokojnie i rzeczowo:

„Nasze lądowanie w Chinach jest jedyną szansą uratowania Azji przed zalewem komunistycznym, szczególnie teraz — gdy Mao ma już bombkę, a niebawem będzie miał cały arsenał. Nasze desanty dowodzą, jak słabo bronione jest wybrzeże i jak łatwo tam wylądować. Aby się utrzymać, potrzebujemy pomocy materiałowej ze strony Ameryki".

Wyrażam wątpliwość, czy mogą na tę pomoc liczyć. Minister na pewno moje wątpliwości podziela, ale się do tego nie przyznaje. „Jeżeli tej pomocy nie będzie, biada Azji i światu" — kończy rozmowę.

Wieczorami jestem wolny od oficjalnych spotkań, więc mogę spotkać osoby mniej zadowolone z rzeczywistości formozańskiej. Kilka najważniejszych zarzutów:

a) nasi przywódcy, to stalinowcy na wywrót. Nie ma istotnych różnic między nimi a Mao;

b) obsesja rychłego powrotu kosztuje nas szalone pieniądze, które można by lepiej zużyć na inwestycje przemysłowe i zwalczanie bezrobocia w miastach;

c) w przeważnej mierze wyskoki policyjne są wynikiem głupoty, często nieporozumienia. Mamy tak dobrą sprawę — dlaczego nie potrafimy używać godniejszych środków w jej obronie?

Seul — sobota. Drzwi kabiny samolotu otworzyły się. Wdarł się prąd bardzo zimnego powietrza. Jestem w Seulu, stolicy Korei, a według oficjalnej nazwy — Republiki Koreańskiej.

Powietrze orzeźwiające, szczególnie po Hong Kongu i Formozie, gdzie nawet jesień była duszna i wilgotna. Podchodzi do mnie mój przewodnik, Im Young Soon (Im to jest nazwisko). W tym wypadku nie było tak źle, ale Koreańczycy nie mieli widocznie wielkiej inwencji do nazwisk, bo na jednym seminarium naliczyłem 4 — Yi, 3 — Pak, 2 — Kim i 2 — Kang. Należy więc bardzo uważać na imiona.

Seul jest ładnie położony wśród gór, z górą w samym środku. Niestety, 100-dniowa okupacja komunistyczna i działania wojenne zniszczyły miasto niemal zupełnie. Obecnie ruin nie widać, dużo porządnych domów zbudowano, ale jest przeraźliwie dużo do zrobienia. A ludności jest trzy i pół miliona i wciąż przybywa.

Mój przewodnik Im jest studentem ostatniego roku nauk politycznych na jednym z 9-ciu uniwersytetów w Seulu. Jest on dobrym przykładem ilustrującym wiele odcinków życia ko-

reańskiego. Jest jednym z czworga dzieci małego przedsiębiorcy elektrotechnicznego. Troje rodzeństwa jest już na Uniwersytecie, a najmłodsza siostra podąży w ich ślady. Ten nieokiełznany pęd na wyższe uczelnie (i to szczególnie na wydziały humanistyczne) jest znamienny dla wielu krajów Azji. Co jest jeszcze bardziej znamienne — i smutne, to to, że ci studenci mają bardzo słabe szanse zdobycia godziwej pracy po ukończeniu studiów. O płacy już nie mówię, skoro pełny profesor Uniwersytetu zarabia od 40 do 50 dolarów miesięcznie. Ich poziom, wykształcenie i błyskotliwość inteligencji są zadziwiające.

Ale wróćmy do Ima. Słabą swą angielszczyzną opowiada mi o studiach. Poza przedmiotami podstawowymi dla wstępnego stadium studiów, Im musi zdać egzaminy z trzydziestu trzech przedmiotów w ciągu czterech lat. Kocha swe studia, zaabsorbowany lekturą klasyków filozofii politycznej. Opowiada mi, iż odrzucił marksizm po dokładnym przestudiowaniu i przemyśleniu. Uwielbia jednak Hegla. Marzy o karierze akademickiej. Nigdy by nie wyjechał za granicę, bo — jak sam podkreśla z oczywistą szczerością — kocha swój kraj i chce dla niego pracować.

W czasie obiadu w tradycyjnej restauracji koreańskiej, siadamy na podłodze. Robi mi się trochę niewyraźnie. bo trudno siedzieć — tak gorąco. Okazuje się, że to *Ondol,* koreański system „centralnego ogrzewania", polegający na sieci przewodów powietrznych pod domem, do których dociera gorące powietrze z ogniska, palonego w jednym miejscu. Tanio i skutecznie. Obecnie ten system przystosowany został także do domów o wielu kondygnacjach.

Naokoło stołu rozmowa toczy się w czterech językach: angielski i koreański, a także doskonały francuski i niemiecki. Była nawet przy stole osoba znająca język włoski, ale nie miała nikogo do konwersacji. Po francusku rozmawiam ze znanym architektem, który pracował wiele lat z Le Corbusier'em. Po niemiecku zagadują mnie dwaj profesorowie koreańscy, którzy doktoryzowali się w Heidelbergu.

Gospodarze są dla mnie szczególnie serdeczni. Podkreślają równoległość pewnych okresów w dziejach Polski i Korei. Ich stosunek do Japonii bardzo przypomina stosunek Polaków do Niemców. Równie podobne są usiłowania znormalizowania tych stosunków ze strony grup niewielkich, ale wpływowych.

Jedzenie koreańskie jest — zdaje się — mieszaniną kuchni japońskiej i chińskiej z małą domieszką dań własnych. Szkoda, że jest ta domieszka i szkoda, że za mało wpływów kuchni chińskiej. Mało jest dań rzeczywiście dobrych.

Po obiedzie jedziemy do domu znanej śpiewaczki i jej dziennikarza-męża. Dojazd do dzielnicy nowych domów po małych

wąskich i krętych uliczkach. Gdy wyraziłem zdziwienie, dowiaduję się, że w czasie jednego z przewrotów parę osób zaczęło budować na jezdni. Po przewrocie zapłacili grzywnę, ale domy zostały.

Dom mały, nowoczesny. Jeden pokój urządzony po koreańsku — bez krzeseł. Reszta — w stylu zachodnim. Ta część domu ogrzewana jest zwykłym piecem. Dużo ładnych rzeczy w mieszkaniu. Ceramika, odlewy z brązu, kaligrafia, obrazy. Zwraca uwagę zainteresowanie gości tymi przedmiotami. Jeden z gości, wybitny kolekcjoner, którego język rozwiązał się zupełnie pod wpływem wina ryżowego (na mnie nie podziałało zupełnie), zaczyna ferować wyroki. „Ten wazon ma 300 lat, ale ten jest fałszerstwem". Sądząc z braku reakcji gospodarzy — nie mieli argumentów.

Około 10.30 wieczorem towarzystwo zaczyna zerkać na zegarki. Okazuje się, że od kilkunastu lat obowiązuje tu godzina policyjna od 12-ej w nocy do 4-ej rano. Koreańczycy tak się do tego przyzwyczaili, iż nie ma wielkiej presji w kierunku zniesienia tej godziny. Ze strony żon koreańskich jest nawet opozycja.

Seul — niedziela. Zwiedzamy miasto. Im jest nieubłagany. Po trzech pałacach, dwóch muzeach, jednym wielkim parku przestałem wchłaniać wrażenia. Było mi już wszystko jedno, byle skończyć.

Sztuka koreańska ma dużo wspólnego ze sztuką chińską, nie dorównuje jej jednak pod względem rozmaitości i subtelnego wyrafinowania. Ceramika jest bardzo ciekawa.

Wieczorem uroczysty obiad w restauracji *Chongungak* (przezroczysta chmura). Prezydent jednego uniwersytetu, dziekan innego. Towarzystwo podobne do poprzedniego wieczoru, ale lokal całkiem inny. Jesteśmy w lokalu *Kaeseng,* co po koreańsku oznacza „gejsze".

Towarzystwo tych pięknych dziewcząt, wśród których była też jedna mieszanka wyjątkowej urody, bardzo uprzyjemniło kolację. Powiedziano mi jednak potem, iż obecne pokolenie koreańskich *Kaeseng* nie dorównuje poziomem konwersacji ich japońskim koleżankom. Zachowanie wszystkich nader skromne, zaprzeczające zgoła popularnej interpretacji słowa gejsza.

Seul — poniedziałek. Po spełnieniu przyjemnych obowiązków turystycznych i towarzyskich, trzeba się wziąć do roboty.

Kilka wizyt na różnych uniwersytetach. Zabudowania imponujące; poziom ludzi również. Kilka słów o błędnym kole sytuacji uniwersyteckiej. 70% studentów skoncentrowanych jest na wy-

działach humanistycznym, prawa, nauk politycznych. Rząd chciałby ten stosunek odwrócić. Cóż z tego, kiedy chwilowo przemysł nie jest dosyć rozbudowany, by móc wchłonąć absolwentów wydziałów politechnicznych i nauk ścisłych. I tak źle, i tak niedobrze, a tymczasem masy studentów i absolwentów rosną, a wraz z nimi wzrastają frustracje.

Wieczorem mam krótką prelekcję o australijskiej polityce zagranicznej. Poziom pytań zadziwiający (o ile w tym stadium pobytu może mnie coś w Korei zadziwić).

Potem wycieczka na sławny *Walker Hill* (wzgórze gen. Walkera, jednego z najdzielniejszych obrońców Korei w latach pięćdziesiątych). Jest to kompleks urządzeń turystycznych zbudowanych przez rząd celem zdobycia dewiz od turystów, szczególnie od turystów w mundurach Wuja Sama. Czy to się udaje, nie wiem. Faktem jest, iż ten cały kompleks jest ładnie i gustownie zbudowany i urządzony, że poszczególne budynki noszą „zachęcające" nazwy: Douglas (Mac Arthur), Matthew (Ridgway) i Maxwell (Taylor). Z początku było kasyno gry dla Amerykanów, a Koreańczyków nie wpuszczano. Obecnie są Koreańczycy, a nie ma kasyna.

Walker Hill położone jest około pół godziny od miasta. Żeby więc wrócić na czas do domu trzeba wyjechać po dziesiątej. Jak można prowadzić nocny lokal z godziną policyjną? Tu nawet Koreańczycy tańczący *flamenco* bez kastanietów nic nie pomogą.

Do *Walker Hill* towarzyszyli mi dwaj inteligentni młodzi Koreańczycy. Jeden był dyplomatą, a drugi dziennikarzem. Obaj nie bez dumy opowiadali o poważnych — ich zdaniem — osiągnięciach kraju.

Podział Korei na dwie części był jednym z mądrzejszych posunięć dyplomacji amerykańskiej w okresie powojennym. Cały niemal przemysł, cały prąd, prawie wszystkie pokłady węgla i metali znajdują się na północy. Jedna kreska na papierze podzieliła ten biedny kraj i mieszkańcy Południowej Korei musieli zaczynać od początku — szczególnie w r. 1947, gdy Północna Korea złamała umowę międzynarodową i wstrzymała dostawę prądu do części południowej. Teraz jest prąd, buduje się domy, rozpoczyna industrializację. Czy dość szybko?

Na to pytanie są różne odpowiedzi. Zwolennicy rządu przyznają, iż postęp jest powolny, ale stały. Liberalna opozycja przeczy temu. Jest postęp, ale tak powolny, że właściwie cofamy się wstecz. Słowem, jak to mawiał Witos: „jest źle i będzie jeszcze gorzej". Obserwatorzy neutralni przyjmują, że postęp daje się zauważyć. Zgadzają się, iż nie jest on dostateczny. Nikt

nie chce się zaangażować w stwierdzeniu, czy postęp jest dostateczny, by nadrobić utracony czas i przyrost ludności.

Faktem jest, iż rząd pochodzi z puczu wojskowego, iż przywódca jego niczym (zdaniem opozycji) nigdy się nie wyróżnił i że nawet (zdaniem tychże) nie ma on dość rozróżnienia, by odróżnić neutralistów w swoim otoczeniu. Niemniej prawdą jest, iż sprawa ewentualnego połączenia obu części Korei jest niezmiernie paląca i że klucz do niej mają twardzi prochińscy komuniści koreańscy. A porównanie obu zon w Korei nie może wypaść tak przekonywująco, jak podobne porównanie zon w Niemczech.

Seul — wtorek. Spotkanie z zespołem *Sassange,* czasopisma polityczno-literackiego o nakładzie 45.000 egzemplarzy. Wydawca Chang Chunha jest człowiekiem nieustraszonym. Nie ugiął się pod ciężkim naciskiem administracyjnym. Sprzedał swój dom i auto i walczy nadal. Nic też dziwnego, iż jest on laureatem nagrody im. Magyaysaya, tragicznie zmarłego prezydenta Filipin, która nadawana jest za najwybitniejsze osiągnięcia w walce o wolność i postęp Azji.

W czasie paru minut spędzonych w Centrali Związków Zawodowych dowiaduję się, że i do nich dobrał się już rząd koreański i że sytuacja dojrzewa do strajku generalnego. Represje rządowe są bardzo prawdopodobne, ale twarze przywódców związkowych nie wyglądały na twarze ludzi, którzy się poddadzą bez walki. Związki Zawodowe są też gwałtownie antykomunistyczne.

Centralny Urząd Statystyczny. Najnowsze maszyny IBM sprawdzane są przez małe dziewczynki na małych drewnianych liczydełkach.

Manila — środa. W Manili wszystko jest inne. Przede wszystkim jest bardzo — ale to bardzo — gorąco i to mimo „suchej" pory roku. Wielkie auta amerykańskie zamiast łazików, dostatnio wyglądający ludzie i gęsty ruch kołowy. Nawet odprawa celna odbyła się inaczej, bo oczekujący na mnie znajomy postanowił zjeść ze mną kolację tegoż wieczoru i przeprowadzić mnie szybko przez cło. Asystent jego złapał moje papiery, przedłożył je wszędzie poza kolejką, przy czym każdej czynności towarzyszyło dotknięcie — jakby posmarowanie — dłoni. Jak się szybko dowiedziałem, było to symboliczne dla Manili. Biorą, biorą, biorą — to refren wszystkich rozmów z Filipińczykami. Niezależnie od początku rozmowy, tak się ona musi skończyć. Kto bierze? Wszyscy, tj. przede wszystkim politycy. Polityka w tym kraju, to najlepszy sposób dojścia do majątku i to nie tylko

dlatego, że posłowie i senatorowie mają najwyższe uposażenia na świecie. Nic się tu nie odbywa bez lekkiego posmarunku. A że kraj wolny, więc się o tym i mówi i pisze.

Manila — czwartek. Prawdziwy amerykański *Thanksgiving Dinner.* 10-kilowy indyk i ceremonie związane z jego spożyciem.

Wizyta kilku poetów i pisarzy. Jeden z poetów doczekał się drugiego wydania swych wierszy. Niezależnie od nakładu — sukces wielki. Wszyscy rozmawiają głównie o polityce — typowy kompleks „fajdanitis poslinis". Popołudniu spotkanie z grupą młodych absolwentów tutejszych uniwersytetów. Przy okazji dowiaduję się, iż na wyższych uczelniach samej Manili studiuje ćwierć miliona studentów. Mimo znakomitych kwalifikacji, profesorowie na wszystkich prawie uczelniach płaceni są od godziny wykładów i siłą rzeczy muszą mieć po parę posad.

Rozmowa przyjemna i ciekawa. Pierwsze pytanie — jak wszędzie w Manili — dotyczy nie wpuszczania do Australii żółtych lub czarnych emigrantów, co jest znane jako *White Australia policy* (polityka białej Australii).

Z kolei ja proszę o informacje o ich kraju. I znowu litania o politykach i ich przekupstwie.

Gospodyni zebrania, profesor Constantino, wygłosiła kilka słów. Chciała mnie zapewnić, iż towarzystwo było doborowe, gdyż cechowała je wspólna cecha — uczciwość...

Młodzież, wychowywaną na jednym z kilku uniwersytetów katolickich, cechuje większy ferwor moralny, szczególnie zamiar zwalczania przekupstwa. Natomiast Państwowy Uniwersytet Filipiński — najlepszy w kraju — ma nastawienie bardziej pragmatyczne.

Po pogadance podwieczorek o dźwięcznej nazwie *merienda.* Na pożegnanie dwie młodziutkie absolwentki odśpiewują na moją cześć *Waltzing Mathilda* — jakby to był australijski hymn narodowy,a ja dygnitarzem australijskim.

Manila — piątek. Tego dnia moi tutejsi gospodarze odegrali się za wszystkich prelegentów, których ja podejmuję w Australii. Ja ich eksploatuję, aż wreszcie dobrali się do mnie. Trzy odczyty w ciągu jednego dnia i to w tym klimacie. Widocznie Australia jest teraz w modzie, bo na jeden odczyt przyjechali przedstawiciele Sztabu Generalnego, a na drugim (Uniwersytet ma 51 tys. studentów i wykłady odbywają się od 7-ej rano do 11-ej w nocy) było paruset studentów nauk politycznych. Pytania inteligentne. Wszędzie *„White Australia Policy".* Wszędzie *merienda.*

Jedna z tych pogadanek miała miejsce w Kolegium Św. Pa-

wła, szkole żeńskiej katolickiej, gdzie dziewczynki studiują od freblówki do magisterium uniwersyteckiego. Po odczycie *merienda,* a potem nieśmiałe zaproszenie na przedstawienie szkolne operetki *Sound of Music.* Obiecuję przyjść.

Po trzecim odczycie rozmowa z moimi gospodarzami o ich kraju. Nano, redaktor dziennika w języku angielskim, opowiada o paradoksach kraju.

Przede wszystkim mieszanina ras. Baza jest malajska. Domieszki: Hindusi, Japończycy, Chińczycy, Hiszpanie, Arabowie i Amerykanie. Język główny — Tagalog i wiele narzeczy. Ale kłopot w tym, że Tagalog mówiony stał się żargonem anglo-hispano-tagalog. Tagalog pisany nie ma tych naleciałości, ale jest zbyt ubogi, by dać pożywkę literaturze. Język hiszpański utrzymuje się w nazwiskach, ale znika z użycia. Zostaje więc język angielski, którym Filipińczycy władają doskonale, ale z wyraźnym obcym akcentem.

Nacjonalizm i antyamerykanizm? Owszem, zdarzają się, przyznaje mój przyjaciel. Ale nikt tego bardzo na serio nie bierze. (Nie chciałem w tym miejscu zapytać, czy cokolwiek bierze się na serio na Filipinach).

W swoim czasie, w najgorszym okresie IV-ej Republiki, Francuzi wymyślili dowcip, że sytuacja jest beznadziejna, ale nie jest poważna. Chyba jest to najlepsze określenie sytuacji na Filipinach.

Manila — sobota. Niezwykle inteligentny absolwent Uniwersytetu Filipińskiego (a zatem cyniczny nieco pragmatyk) odbiera mnie z hotelu, by mnie zawieźć na Konwencję Partii Liberalnej. Konwencja wybrać ma kandydatów na prezydenta i wiceprezydenta Filipin oraz listę senatorów. Z góry wiadomo, iż obecny prezydent zostanie ponownie obrany kandydatem swej partii, nie wiadomo jednak co będzie z wiceprezydentem i senatorami. Nie wiadomo też, kto może być brany pod uwagę, gdyż wszyscy politycy zmieniają przynależność partyjną, jak koszule. A w kraju tropikalnym koszule zmienia się często.

Konwencja małpuje zwyczaje konwencji amerykańskich z dodatkiem łacińskiego patosu. Na sali (5000 osób) duszno i gorąco, więc wachlujemy się wachlarzami dostarczonymi przez kandydatów. Uderza duży procent ulotek, podkreślających wiek i program kandydata, zamiast — jak dotychczas — jego zalety osobiste. To ma podobno oznaczać łagodny bunt młodych. Coraz więcej ludzi opuszcza uniwersytety (przede wszystkim katolickie) w przeświadczeniu, iż coś należy zrobić, by ten piękny i bogaty kraj pchnąć na drogę rozwoju, do którego ma wszelkie, obiektywne warunki. Albowiem chwilowo nie może on

dać zatrudnienia, odzieży i wyżywienia dostatecznej ilości swych obywateli. Tragedii unika się głównie dzięki idealnemu klimatowi i łatwym warunkom życia oraz dzięki systemowi wzajemnej pomocy rodzinie, do której należą wszyscy chrzestni, ich bracia i córki i tp.

Pytam o reformę rolną. „Ustawa uchwalona już dawno" — a potem śmiech.

Budowa mieszkań? Śmiech.

Industrializacja? Śmiech.

A równocześnie w zatoce Manilskiej (o minutę łódką od głównego bulwaru) piraci zaatakowali i obrabowali zakotwiczone okręty, a wieczorami cudzoziemcom nie radzą jeździć taksówkami, bo rabują. O ile się bierze taksówkę z hotelu, portier notuje numer. Najelegantsza dzielnica willowa — Forbes Park — ma własną policję i wszystkie drogi wylotowe barykadowane na noc.

Z Konwencji wychodzimy zabłoceni. („Widzi pan — mówi mój przewodnik — tak się wygląda przy jakimkolwiek kontakcie z naszą polityką").

Znowu spotkanie z grupą młodych „reformatorów". Na każdym z tych zebrań obecny jest kapelan, przeważnie młody ksiądz amerykański.

W Sydney przepuściłem występy zespołu tancerzy *Bayanihan,* co udało mi się teraz naprawić. Jest to zespół nie zawodowy, złożony ze studentów. Robi niezwykłe wrażenie zarówno doskonałością wykonania jak i szerokim wachlarzem programu. W krótkim przeciągu czasu pokazała nam ta młoda grupa 12 różnych tańców. Od arabskiego tańca na melodię przypominającą „Na perskim jarmarku", aż do klasycznych tańców hiszpańskich, tańczonych w długich sukniach — przesunęła się niezapomniana różnorodność kolorów, dźwięków i wrażeń.

Zaraz po *meriendzie* jazda na szkolne przedstawienie. To „szkolne przedstawienie" urządzone było w sali na 1200 osób. Było to ostatnie z serii sześciu wieczorów, przy czym na poprzednich było jeszcze paręset widzów stojących. Reżyseruje ksiądz amerykański (co za strata dla Broadwayu). Obsada — 80 dziewcząt i chłopców z pobliskiego kolegium katolickiego (za specjalną dyspensą kardynała prymasa).

Stroje, dekoracje, gra i głosy — znakomite. Ilustracja muzyczna — miejska orkiestra symfoniczna. Dyryguje amerykański attaché kulturalny.

Ostatnie odwiedziny w biurach „Operacji Braterstwo". Jest to pięknie pomyślane przedsięwzięcie idealistycznych Filipińczyków, którzy wysłali parę ekspedycji lekarskich i innych, celem niesienia pomocy dotkniętym klęską wojny obszarom Laosu i

Wietnamu. Szpitale, pomoc techniczna, nauczanie nowoczesnych metod rolniczych, wszystko i potrzebne i bardzo celowe, ale nie tylko za granicą. Toteż ucieszyłem się, gdy mnie zapewniono, iż pierwsze placówki tej operacji zaczynają powstawać na Filipinach. Na pewno mogą pomóc nieszczęsnym ofiarom korupcji i bałaganu i na pewno jest ku temu najwyższy czas.

Najwyższy czas, by ten piękny kraj wydostać z marazmu, by zabudować leżące odłogiem ziemie w centrum Manili, by nakarmić głodnych i zatrudnić bezrobotnych. I żeby sami Filipińczycy przestali się śmiać ze swego losu.

Sydney — środa. Powrót do domu. Z lądującego samolotu widać już z daleka białą wstęgę plaż i wątrobiany kolor dachówek — ten pomnik australijskiego poczucia estetyki.

Ryszard KRYGIER

W bieżącym miesiącu ukaże się

TOM CX BIBLIOTEKI "KULTURY"

Michał K. PAWLIKOWSKI

WOJNA I SEZON

„Wojna i sezon" jest dalszym ciągiem „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego" — powieści, która w latach 1959-1960 była czymś w rodzaju best-sellera emigracyjnego. Tamta „powieść" zamknęła się dniem 1 sierpnia 1914, ta — obejmuje okres od początku pierwszej wojny do dnia 18 września 1939 roku. Obie książki mają charakter gawędy. Jest jednak między nimi zasadnicza różnica. O ile „Dzieciństwo i młodość" obraca się przede wszystkim dokoła przeżyć *Tadzia*, o tyle „Wojna i sezon" jest „małą historią" małych i wielkich zdarzeń widzianych oczami i z podwórka *Tadeusza*. Postać „bohatera" schodzi przy tym na dalszy plan. Chwilami autor zdaje się zupełnie zapominać o jego istnieniu. Lata pierwszej wojny i rewolucji rosyjskiej przechodzą w „sezon" czyli okres „pieredyszki" w całej niemal Europie między dwiema wojnami.

Str. 308 Cena egz. 15 F (22/6; $ 3,25)

Wojaż

Wezwanie przyszło o świcie. Już zarezerwowano dla mnie kajutę drugiej klasy na szwedzkim motorowcu, który odpływał tego wieczoru z Plymouth. Miałem więc niewiele czasu by się spakować, pożegnać znajomych, załatwić niezbędne sprawy i zdążyć do portu na 9 wieczorem.

Podróż miała trwać kilka tygodni. U jej kresu czekało mnie nowe życie. Sprzedałem i rozdałem wszystko, co tylko mogłem tak, aby nagromadzić jak najwięcej grosza, aby podróżować z jak najlżejszym bagażem, wreszcie, aby rozpocząć inne życie na nowym kontynencie pozbawiony wszelkich więzów z krajem ojczystym.

Na licytacji pozbyłem się najróżniejszych rzeczy. Znalazł się amator mahoniowej szafy z lustrem, błyskawicznie poszły dwie pary nankinowych spodni i komplet dzieł Tomasza Browne. Antykwariat londyński zakupił mój zbiór plakatów i programów prowincjonalnych *music-hallów*. Pewien jegomość w cylindrze dał dwa dukaty za laskę Izajasza proroka, grupa turystów sowieckich ofiarowała kieszonkowego Lenina za srebrną pudderniczkę Karola II.

Mój dziennik podróży po wyżynach Szkocji i wyspach przybrzeżnych oddałem Towarzystwu Geograficznemu.

Stos pacierzowy zapisałem wydziałowi medycznemu w Grenobli.

Akteona rozszarpywanego przez psów wymieniłem na podręczny aparat radiowy marki Josziba Excelsior TRX 37 A: coraz dotkliwiej dokucza mi samotność.

Niepokoiło mnie trochę, że rejs rozpoczynał się przed północą. Będę już spał, choć może obudzi mnie warkot maszyn i drżenie całego kadłuba statku. Tak czy inaczej, oddalimy się od

lądu w ciemnościach i nie zostanie mi w pamięci zwolna zacierający się skalisty miejscami brzeg. Nawet gdybym stał na pokładzie, światła miasta, portu i latarni morskiej nie wysondują z krajobrazu cech indywidualnych. Przeciwnie, szablonowy widok świateł i światełek migających w wodzie odbierze przesuwającej się przed oczami panoramie jej niepowtarzalną strukturę. Nie będę miał poczucia, że opuszczam znane mi i drogie strony.

Start nocny miał jednak dodatnią stronę. Gdy się rano przebudzę, będziemy już na pełnym morzu, kontrast z krajobrazem poprzedniego dnia będzie absolutny i przeszłość sprzed kilku godzin wyda się snem. Będę miał fizyczny dowód ogromnego zwrotu w moim życiu, na który się zdecydowałem.

W każdym razie momentu wyruszenia w podróż nie mogłem odkładać. Największą satysfakcję i przekonanie o własnej swobodzie działania daje świadomość, że raz powziętą decyzję można wprowadzić w życie natychmiast. Zwłoka może bowiem okazać się zapowiedzią zaniechania całego projektu, albo przynajmniej sygnałem ostrzegającym, że gdy wreszcie decyzja zapadnie, będzie za późno na jej wykonanie. Zamiast być wyrazem naszej woli, naszej żądzy kształtowania własnego losu, spóźniona podróż staje się kaprysem, jeśli nie wprost żmudnym narzuconym obowiązkiem, którego pełnienie z każdą chwilą coraz bardziej nas irytuje.

◆

Po kilku dniach podróży, na Morzu Śródziemnym w pobliżu Pantellerii, gdy miało się pod wieczór, zostałem zawezwany do kajuty kapitana. Wysoki brodaty blondyn siedział wyciągnięty w fotelu; w ręku trzymał kieliszek whisky. Wskazał mi głową drugi fotel stojący w pobliżu i przygotowany dla mnie trunek. Usiadłem. Wypiłem.

— Obserwuję pana od jakiegoś czasu. Zainteresował mnie pan, Mr Nashe. Pozwoliłem sobie nawet zapoznać się z pewnymi szczegółami pańskiej biografii.

Patrzę na niego zaniepokojony.

— Proszę się niczego nie obawiać. Proszę mi w ogóle wybaczyć, że śmiem panu zakłócać podróż. Mam nadzieję, że czuje się pan z nami dobrze?

— Oczywiście, naturalnie.

◆

Poznałem architekta z pochodzenia Polaka, wychowanka je-

dnej z naszych wyższych uczelni. Odwiedził niedawno Polskę, a teraz emigruje do Australii. Rozmawialiśmy długo. Mimo, że urodził się wśród nas, rodzice wpoili w niego miłość i szacunek dla jego „rodzinnego"(!) kraju. Pierwszy kontakt z Polską zmusił go do sprecyzowania swych poglądów i lojalności, nakłonił w istocie do powzięcia jakiejś nieodwołalnej decyzji i dokonania ostatecznego wyboru.

Wybrał Australię. Będąc w sytuacji, w której naciski społeczne i rodzinne zdążały do wydobycia z niego deklaratywnego wypowiedzenia się po tej lub po tamtej stronie, wybrał drogę trzecią, tu bowiem wybór zależał tylko od niego samego.

MacKowski opowiadał mi, że mimo silnych więzi uczuciowych, był tam obcym. Szukał kraju o jasno nakreślonym charakterze odpowiadającym podaniom rodzinnym, a ujrzał chaotyczny denerwujący melanż. Oprócz strojów ludowych i pałaców kultury, które wprowadzały element ładu i jednolitości, nie znalazł nic, co by temu państwu nadawało specyficzne, narodowe piętno i wyraźne oblicze. Na przemian zdawało mu się, że jest w jakimś zubożałym zakątku Niemiec, wystawowo-turystycznym cypelku ZSSR, zaniedbanej prowincji monarchii austro-węgierskiej lub w okupowanej przez Polaków Bułgarii.

— Przypadkowy zbiór ludzi, miast, krajobrazów, wzorów architektonicznych i modeli ideologicznych — zakończył gorzko.

Cóż mogłem mu powiedzieć? Jak to dobrze, że my tu w Wolnym Świecie nie musimy się takimi sprawami martwić.

◆

Ile dni trwa ta podróż? Przepłynęliśmy Cieśninę Gibraltarską, minęliśmy Tangier, Pantellerię, Maltę. W Port-Saidzie kupiłem torbę skórzaną z wizerunkami piramid. Kilka dni i nocy bawiliśmy na Morzu Czerwonym. O zachodzie słońca przybyliśmy do Zanzibaru. Trwaliśmy samotni w pustce Oceanu Spokojnego. A dalej co? Pierwszy raz w życiu poczułem się wolny od rutyny dni. Miałem teraz czas na medytacje, na myśli które — —

◆

Obiecuję sobie zasadniczą rozmowę z kapitanem. Przygotowuję dobór tematów, pożytecznych frazesów i opinii, lapidarnych a dowcipnych sformułowań. Dziś mamy wiatr z północy. Co to oznacza? W dzieciństwie chciałem być astronomem. Teraz, mając nad sobą przeczyste niebo, żałuję, że nie potrafię rozróżnić tych gwiazdozbiorów i mgławic. *Monsieur le Capitain, mon Capitain, croyez-vous que le bon Dieu existe?* Czy pan czytuje dzie-

ła Conrada? Nie? Tak... tak... rozumiem, nie potrzebna jest panu taka lektura. Tajfuny, burze, bunty matrosów, namiętna miłość Malajek i Chinek, o tych sprawach nie potrzebuje pan czytać. A problemy moralne? Oczywiście nie jest pan Słowianinem, więc obojętny jest pan, *Herr Kapitän*, wobec tych wynurzeń sumienia, tych agonii i głębin desperacji, męk spowodowanych trudnym wyborem, którym ulega taki McCovsky.

Co to za instrument? Busola? Naprawdę? Ha ha ha! ja myślałem, że to musi być taki sekstant do mierzenia płci. Zazdroszczę ci, kapitanie. Jesteś panem sytuacji, masz w ręku władzę. Jesteś poskromicielem żywiołów. Choć stoisz samotny na swoim mostku, trwasz tam z wyboru.

Kapitanie, jesteś człowiekiem inteligentnym i przystojnym. Wyobrażam sobie, że kobiety z miejsca ulegają twoim członkom. Możesz pieścić ich świeżo rozkwitłe ciała.

Kapitanie, czy ty też lubisz błądzić ulicami nieznanego miasta? Czy odczuwasz wzruszenie, gdy budzisz się rano w nieznanej zupełnie miejscowości? Oto przyjechałeś do hotelu późnym wieczorem. Wcześnie rano budzą cię dziwne dźwięki i głosy. Odmykasz żaluzje. Światełka, które migotały poprzedniego wieczoru, okazują się setnym piętrem drapacza chmur. Albo reklamą na ogromnych szczudłach. Albo szczytowym punktem kolejki linowej.

Pukam i wchodzę do kajuty-apartamentu kapitana.

On mówi: Aha!

Ja mówię: Aha!

On mówi: Hm!

Ja mówię: Hm?

On milczy.

Ja mówię: tr — — — — —k b — — wr — —t— —ch! A— —TR— — —GY?

On milczy.

Ja wychodzę.

Gdzieś na Oceanie, kilkadziesiąt mil na południe od Cejlonu, uświadamiam sobie pełne znaczenie słów *człowiek jest śmiertelny*. Dotychczas widywałem siebie osieracanego przez przyjaciół, którzy mnie odumierali. Teraz, po raz pierwszy, w skwarze tropikalnego południa, zdałem sobie sprawę, że obserwacja ta odnosi się też do mnie.

Jeżeli jest to równoznaczne z utratą świadomości na wieczność, nie ma sensu zastanawiać się dłużej. Jeżeli jednak tak nie jest? Jeżeli czeka nas nowy wspaniały świat? Ale jaki sens ma świadomość trwająca bez końca? Myśl ta mnie przeraża. Tradycyjny obraz życia pozagrobowego upaja wspaniałością i przejmuje

dreszczem strachu, ale ja mam przeczucie (piję właśnie daïquiri) że zadziwieni zostaniemy banalnością tego pośmiertnego istnienia, które okaże się obciążone bagażem śmieszniejszym jeszcze niż nasz żywot doczesny.

Na pokładzie jest młody człowiek, który opowiada wszystkim, że jest poetą. Nazywa się Jacques-André Priaulx. Bardzo siebie i swą twórczość ceni. Kilkakrotnie już czytał mi swoje wiersze i domagał się przychylnej krytyki. Francuski znam słabo a jego wiersze odbiegają od klasycznych kanonów prostoty, więc zadanie miałem bardzo trudne. Twierdzi, że jest bardzo sławny w swojej ojczyźnie, że muza nawiedziła go, gdy był jeszcze spermą w łonie swojej matki (ale może się przesłyszałem). Zamierza zaimponować Australijczykom, którzy namiętnie łakną kultury i gotowi są za nią płacić. Nie lubię poetów.

Wieczorem znów wzywa mnie kapitan.

— Drogi Przyjacielu — zwraca się do mnie gdy wchodzę — musimy zakończyć rozpoczętą onegdaj rozmowę. Nie znaleźliśmy wtedy wspólnego języka. Być może uda się nam dziś. Ja kiedyś wierzyłem w przeróżne rzeczy, ale teraz już nie. Ty jeszcze ciągle wierzysz. Pałasz nadzieją. Sprzedałeś dom, pozbyłeś się wartościowych pamiątek, zbiorów i dzieł sztuki. Samotny wybrałeś się w podróż odkrywczą. Zaryzykowałeś całym swym mieniem. Dlatego nie możesz oczekiwać sympatii od człowieka, który kurczowo trzyma się byle koła ratunkowego z nawyku i strachu a nie z przekonania i wiary.

Płyniesz więc z nami do Australii. Może tam w *bush*'u spotka cię jakiś Ned Kelly, a może sam zostaniesz nowym jego wcieleniem. To nawet nie byłoby najgorsze: życie psychicznie wyzwolonego rabusia, męczeńska śmierć i niczym nieuzasadniona świetlana sława pośmiertna. Ale czy w tym celu warto było pozbywać się *Akteona?*

Nie zwyciężysz. Będziesz musiał skapitulować, tak jak inni przed tobą. Zostaniesz albo burżujem albo komunistą, co zresztą na jedno dziś wychodzi. Będziesz uprawiał taki czy inny ogródek. Będziesz producentem albo konsumentem. Ktoś zechce ciebie ochrzcić. Ktoś zaproponuje ci udział w wytwórni sztucznych batików. Tam podobno zaczyna rozwijać się kultura. Młodzi ludzie dadzą ci do czytania wiersze, będą cię wypytywać o rolę sztuki w świecie współczesnym.

Nie przeraża cię to wszystko? Chcesz więc wiedzieć, co masz robić? Zdajesz się na mnie?

Dziś w nocy będziemy mijać Bilboa-Süd. Okręty tam normalnie nie zawijają. Nie jest to propozycja komercjalna dla większych linii okrętowych. Portu tam właściwie nie ma. Jest tylko mała przystań dla kutrów i dżonek. Staniemy na pełnym morzu

i spuścimy szalupę. Morze będzie spokojne, powietrze nocne orzeźwiająco chłodne, ale nie mroźne.

Więc decydujesz się? Świetnie. Tylko mi nie dziękuj. Nie ma o czym mówić. Jeszcze zwrócimy ci część kosztów podróży!

◆

Dziś przy kolacji poznałem Miss Ballantyne. Jest nauczycielką języków. Pochodzi z Northampton. Studiowała w Hull i w Londynie. Stale nosi okulary słoneczne. Emigruje do New South Wales.

— Dla nas młodych nie ma w Anglii miejsca — wyjaśnia —mam 36 lat. Tam (wskazuje za siebie na północ) szkolnictwo niszczone jest przez snobizm klasowy oraz powszechny brak szacunku i zrozumienia dla osiągnięć umysłu. Ograniczają się do cricketu i amatorskiego babrania się w grece i łacinie.

— Ależ droga pani — mówię jej — niech pani tak nie narzeka. Ile różnych tak zwanych krajów demokratycznych, w których równouprawnienie uzyskano kosztem przelewu krwi, zazdrości nam naszej elitarności, naszych tradycji rodowych, klasowych i naukowych.

— Mr Nashe — odpowiada ona pobłażliwie — jest Pan nieznośnym sentymentalistą. Tu chodzi o światłe i sprawiedliwe wykształcenie i wychowanie młodego pokolenia, a pan rozwodzi się o tradycjach i skostniałych obyczajach! A zresztą, co pan robi w drodze do Australii?

— Muszę panią poznać z architektem McCluskym, który zwiedził kraje komunistyczne i jest przerażony szarzyzną ich równości. Tam ludzie wzdychają do tych zróżnicowań, które zdobywa się talentem, pieniądzem, dobrym wykształceniem.

— Ten pański przyjaciel mało widział, albo też nie jest zdolny przeanalizować tego, co zaobserwował. Tam właśnie tworzy się potężny system klasowy, o jakim Marxowi się nie śniło! Przy nim i nasze snobizmy bledną!

Wchodzi Priaulx, więc szybko odsuwam lewą dłoń od prawego uda Miss Ballantyne i zmieniam temat.

◆

Budzi mnie steward. Jest dobrze po północy. Maszyny idą na zwolnionych obrotach. Wychodzę z kajuty na pokład. Noc jest ciepła i gwieździsta. Zza horyzontu wysunął się ogromny księżyc. Jesteśmy dość blisko wybrzeża, które jednak rysuje się tylko ciemnym konturem. Tu i ówdzie połyskują nikłe światełka.

— Bilboa-Süd — oznajmia stewart i kieruje się z moją wa-

lizką ku burcie. Okręt płynie coraz wolniej. Nagły wstrząs i szum śrub wirujących w przeciwnym kierunku. Teraz nie czuć w ogóle ruchu. Dwóch majtków spuszcza drabinkę linową i łódkę.

Schodzę do łódki z majtkiem, który chwyta wiosła i odrywa ją od burty w kierunku brzegu. Po kilkunastu minutach dziób grzęźnie w ulegliwym piasku Bilboa-Süd.

— Proszę paszport — zwraca się do mnie majtek Seamus Greville-Pyke.

Podaję mu paszport, który stempluje i wręcza z powrotem z uśmiechem pełnym gracji. Następnie odwraca się za siebie i krzyczy: *„Taxi! taxi schnell! prestissimo!"*.

Krzyk wsiąka w gąbkę mroku.

— Zaraz tu powinien być.

Seamus wyrzuca walizkę na piasek. Jest to znak, że mogę już wysiąść. Salutuje, spycha czółno, wskakuje zgrabnie do środka i wiosłuje energicznie w kierunku ponurego łona okrętu.

Teraz już wiem, że Bilboa nie istnieje. A raczej, że nie jest ważne, czy istnieje czy nie. Siedzę na walizce na pustym brzegu. Te nikłe światełka gdzieś w głębi lądu i kontur wybrzeża przypominają mi okolice Plymouth. Być może jednak jest to Nowy Jork, w którym przewody elektryczne przestały funkcjonować. A jednak wiem, że tam gdzieś w głębi jest, na przykład, „rodzinne" miasto Maxofskiego, że jest i moje miasto. Ale to nie jest ważne.

Taksówka nie przyjechała. Zmęczony czekaniem położyłem się na piasku i natychmiast zasnąłem. Obudziłem się o świcie. Oczy miałem utkwione w niebo. Nie chciałem odwracać głowy. Zacisnąłem nawet powieki.

Dlaczego jestem tu na gorącym wybrzeżu Bilboa-Süd i nie mam nawet odwagi przyjrzeć się miejscowości i krajowi, do którego płynąłem tyle dni i nocy? Dlaczego istnieję tu na piaskach Bilboa-Süd w drugiej połowie XX wieku? Nie jestem Cromwellem, nie jestem Newtonem, nie jestem Owidiuszem ani Kleopatrą ani Cecylią Metellą. Nie jestem też jednym z tych, którzy malowali bizony w grotach Lascaux. Nie jestem Młodzieńcem z Rękawiczką, który pozował Tycjanowi ani podlotkiem, którego podglądał Fragonard. Nie uczestniczyłem w kulcie orfickim, nie umierałem na krzyżu, nie biłem się pod Zamą, nie jestem tym trzecim z lewej na fotografii drużyny footballowej, znalezionej w papierach pośmiertnych pani J. de B—, zmarłej w r. 1917.

Więc leżę na piasku. Oczy mam zamknięte. W przeciwieństwie do wszystkich uczonych starożytności, świadomość moja obejmuje rachunek różniczkowy, zasadę nieoznaczoności, łodzie podwodne, prawo ciężkości. Leżąc tu na piasku, obok walizki z nalepkami *Not wanted on voyage, défense de cracher*, „...czcie

się!", wypełniam rolę, której nikt inny ani musi ani będzie musiał wypełniać.

Zwolniony od obowiązku leżenia tu w niewygodnej pozycji, Cezar mógł przekroczyć Rubikon, Locke napisać listy o tolerancji, Hammarskjöld przewodniczyć Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ja też się liczę, wykonuję funkcję, nikt inny już nie będzie musiał podróżować tu do Bilboa i czekać na taksówkę w tej krępującej i nieco śmiesznej pozycji. Ta niepowtarzalna sytuacja określa i uzasadnia mój byt. Czuję nareszcie realność, której brakowało mi dotychczas.

Na okręcie, nieskończona ilość kajut, skomplikowana struktura pokładów, niezrozumiałe przepisy, anonimowe twarze na leżakach, wszystko to ujawniało niespecyficzność, rozciągłość, gumowatość, porowatość i ambiwalentną elastyczność mojej egzystencji. Tu jestem stworzony i wyzwolony poprzez świadomie wybraną rolę w historii wszechświata.

Adam CZERNIAWSKI

W bieżącym miesiącu ukaże się

TOM CXI BIBLIOTEKI "KULTURY"

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

INNY ŚWIAT

• Książka Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o łagrach sowieckich *Inny Świat* ukazała się w przekładzie na angielski (dwa wydania w Anglii, wydanie normalne i kieszonkowe w USA), niemiecki, hiszpański, włoski (drugie wydanie włoskie w przygotowaniu), szwedzki, japoński, chiński i arabski. Pierwsze wydanie polskie z roku 1953 zostało wyczerpane.

Str. 256 Cena egz. 13.50 F (20/-; $ 3.00)

Pseudo Homera bój żabomysi

(BATRACHOMYOMACHIA)

Od tłumacza:

„Batrachomyomachię" przypisywano przez długie wieki Homerowi. Dziś wiadomo, że powstała ona o wiele później, a autora jej nie znamy. Ten poemacik heroikomiczny jest parodią „Iliady" przez swój wiersz (heksametr), styl (homerycki) i nastrój (podniosły) epopei bohaterskiej — nawet z interwencją bogów w akcji — w zastosowaniu do walki żab z myszami. Znaczenie historyczno-literackie „Batrachomyomachii" polega nie tylko na tym, że zrodziła ona utwory parodystyczne i heroikomiczne w rodzaju „Myszeidy" Krasickiego, ale i na tym, że stała się prototypem całej w ogóle literatury „zwierzęcej": bajek Ezopa, Fedra czy La Fontaine'a. „Lisa Reineckego" Goethego, „Chantecler'a" Rostanda, „Godów życia" Dygasińskiego i tylu innych. Oczywiście mam tu na myśli raczej genezę całego rodzaju literackiego, niż wpływ „Batrachomyomachii" na poszczególne utwory.

W Polsce poemat pseudo-Homerowy tłumaczył już w XVI w. Paweł Zaborowski (1588). Po tej archaicznej próbie spolszczył go dopiero w dwa wieki później nieudolny tłumacz Homera, Jacek Idzi Przybylski (1789). Gładsza, lecz niewierna była parafraza B. Kicińskiego (1813). Natomiast wiernego, ale nieartystycznego przekładu dokonał R. Palmstein (1883). Warto zwrócić uwagę, że zarówno w przekładach, jak w podręcznikach historii literatury polski tytuł „Batrachomyomachii" brzmiał tradycyjnie — a błędnie — „Żabomysza wojna".

Główną trudność przedstawia dla tłumacza zły stan dochowanego tekstu. Niektóre partie, np. opis bitwy, są tak zrujnowane, że o ich zupełnej rekonstrukcji nawet marzyć nie można. Posługiwałem się przeważnie cennym wydaniem A. Ludwicha (Lipsk 1896), musiałem jednak odstępować od ustalonego przezeń tekstu, ilekroć uczony ten w dążeniu do odtworzenia oryginału puszczał zbytnio wodze wyobraźni.

Pieśń mą zaczynam błaganiem, by Muz pląsający korowód
Zszedł z Helikonu wierzchołków i serce moje nawiedził.
Już na kolanach mych leżą tabliczki: więc modły zanoszę,
By straszliwy ów bój, zawierucha bitewna, Aresa
Dzieło krwawe przenikło do uszu wszystkich śmiertelnych.
Jak się to stało, że w walce z żabami ród mysi dokonał
Czynów tak świetnych, jak ongi synowie Ziemi, Giganci?
Oto co mówi wieść ludzka o waśni onej początku:
Razu jednego mysz pewna, umknąwszy groźnej łasicy,
W stawie pobliskim, trawiona pragnieniem, swój pyszczek [łakomy
W wodę wnurzyła z rozkoszą, napojem miłym się sycąc.
Tam ją żaba, bagienna gaduła, ujrzała i rzecze:
„Coś, przybyszu, jest zacz? Skąd przychodzisz na brzeg tego [stawu?
Kto cię zrodził? Mów prawdę mi szczerą i zmyślać nie próbuj.
Jeśli zobaczę, żeś godzien przyjaźni, powiodę cię w dom mój
I gościńcami, cennymi darami, obsypię bez miary.
Jam jest król Odmigęba, co czci zażywam powszechnej
W stawie tym, żab społeczności panując zawsze i stale.
Ojcem był mi Błotorad, co zrodził mnie ongi z Wodnicy,
Nad Eridanu falami w miłosnym z nią ległszy uścisku.
Ale i tyś, widzę, piękny i silny, przedniejszy od innych.
Berłowładnym panem być musisz i dzielnym rycerzem.
Nuże więc powiedz mi prędzej, z jakiego rodu pochodzisz".
W odpowiedzi Kąskołap do Odmigęby tak rzecze:
Jak to, więc pytasz o ród mój? Wszak dobrze on znany jest [wszystkim
Ludziom śmiertelnym i bogom wieczystym i ptakom niebieskim.
Zwę się Kąskołap, a ojcem mi jest wielkoduszny Gryzichleb,
Młynoliza zaś matką, co król ją zrodził Szynkodrap.
W chacie powiła mnie, jadłem wybornym karmiła obficie,
Orzechami, figami i wszelakimi przysmaki.
Jakże bym mógł być twym druhem? Wszak różne są nasze [natury:

Ty pożywienie masz w wodzie, zaś ja zwykłem to gryźć, co
[człowiek.
Nie przepuszczę niczemu: tu w krągłych koszykach pieczywko
Z przedniej mąki a pulchne, tam placek serowy z sezamem,
Owdzie płat szynki, to znów przyrządzona na biało wątróbka,
Ser świeży z mleka czy piernik wyborny (i bogów to przysmak),
Słowem — co tylko na ucztach podają ludziom kucharze,
Rozlicznymi przyprawy ubrawszy dania w naczyniach.
[Nie unikałem ja nigdy straszliwej wrzawy wojennej,*)
Ale prostom szedł w bój, w walczących pierwsze szeregi.
Nie znam trwogi przed ludźmi, choć wielkie cielska
[dźwigają:
Nieraz wśliznąwszy się w łóżko, w koniuszek palca lub w
[piętę
Człeka ugryzę, że słodki sen nań spłynąć nie może,
Ni się uśmierzyć chce ból, jak długo kąsam biedaka.
Jednak boję się srodze i na kraj świata bym uciekł
Przed wrogami, co życie mi trują: jastrzębiem, łasicą
Oraz łapką bolesną, gdzie śmierć zdradliwie się czai;
Zwłaszcza łasicy się lękam, co jest z tych trzech najgroźniejsza:
Zaszyj się w mysią dziurę — i w dziurze cię ona wyszpera.]
Ja się nie żywię rzodkiewką, kapustą czy też dyniami,
Nie jem czosnku młodego ani nie gryzę pietruszki:
Wszystko to wasze specjały, którzy mieszkacie w kałużach."

Na te słowa z uśmiechem odrzecze król Odmigęba:
„Zbytnio cię wzbija w pychę twój brzuch, przybyszu. Wszak
[u nas
Również niemało jest dziwów zarówno na ziemi, jak w stawie;
Bowiem dwoistą naturą obdarzył żaby Kronida:
Mogą skakać po ziemi i w wodzie skrywać swe ciało;
Oba żywioły są nasze i w obu mamy domostwa.
Jeśli je pragniesz zobaczyć i poznać, to nic łatwiejszego:
Wleź mi na plecy a trzymaj się mocno i nie zleć mi czasem,
Byś szczęśliwie, ochotnie zawitał do domu mojego."

Tak powiedział i grzbietu nadstawił, a tamten nań
[wskoczył,
Łapek łagodnym oplotem za jędrną objąwszy go szyję.
Nie tak skoro niósł słodkie miłości brzemię na grzbiecie
Byk, gdy płynął z Europą przez morskie odmęty na Kretę,
Jak ta żaba, co mysz wiodła w dom swój, na plecy ją wziąwszy,
Płynąc zaś rozczapierzała swe żółte członki w wód jaśni.

---

*) Ujęte w nawias wiersze są albo późniejszą intrepolacją albo też znajdowały się pierwotnie w innej części poematu.

Cieszył się zrazu Kąskołap, gdy widział w pobliżu przystanie,
Na Odmigębie żeglując wesoło. Skoro aliści
Nurt otoczył go groźny, zapłakał rzewnie nieborak,
Darmo szaleństwo jął sobie wyrzucać a włosy wyrywać;
Nogi podkurczył, do brzucha je cisnąc, a serce mu w piersiach
Biło okrutnie: do ziemi, do brzegu przybić już pragnął;
Teraz zaś jęczał żałośnie, zmrożony lękiem i trwogą.
Ogon spuścił do wody, prowadząc go na kształt wiosła,
I do bogów jął modły zanosić, by wnet wylądował.

Nagle ujrzeli obydwaj ze zgrozą okropne zjawisko:
Wąż! — wynurzył szyję, co prosto nad stawem sterczała!
Nura dał Odmigęba, gdy zoczył go; wcale nie zważał,
Że towarzysza swojego na pastwę zguby porzuca;
W stawu zagłębił się tonie i czarnej śmierci uniknął.
Opuszczona zaś mysz równocześnie na wznak wpadła w wodę,
Łapki kurcząc ze strachu i piszcząc w śmiertelnej godzinie;
Pójdzie pod wodę, to znów, przebierając łapkami, wypłynie;
Lecz przeznaczenia zgubnego nie sposób było uniknąć:
Sierść, przepojona wilgocią, ciągnęła na dno mysz biedną.
Ginąc tedy wśród fal, w te słowa przemówił Kąskołap:

„Nie ukryjesz podstępnie swej zbrodni, zły Odmigębo,
Któryś mnie strącił z grzbietu, niby rozbitka ze skały.
Podły zdrajco, nie byłbyś na suchej pokonał mię ziemi,
Ani w zapasach ni w walce na pięści ni w biegu; tyś wolał
Zwieść mnie, by wrzucić do wody; lecz czuwa bóg — sędzia [surowy:
Karę poniesiesz od mysich zastępów i zguby nie ujdziesz."

Tak powiedział i w stawu odmętach wraz ducha wyzionął.
Zoczył go jednak Miskoliż, siedzący na miękkim wybrzeżu.
Śmierć przyjaciela ujrzawszy, wśród jęków boleści okrutnej
Puścił się pędem, by myszom obwieścić żałobną wiadomość.
Gdy usłyszały, co zaszło, straszliwy gniew je ogarnął;
Każą tedy heroldom wiec zwołać o świcie do domu
Gryzichleba, którego syn, nieszczęsny Kąskołap,
Płynął umarły po stawie na wznak, i to nie przy wybrzeżu,
Ale na pełnych wodach unosił się trup nieboraka.
Kiedy więc śpiesznie przybyli o wschodzie słońca, Gryzichleb
Pierwszy wstał, rozżalony o syna, i te wyrzekł słowa:

„O przyjaciele, choć na mnie jednego spadł cios ten [straszliwy,
Dzieło żab, to przecie na wszystkich was przyszedł czas próby.
Teraz jam godzien litości, bo trzech już synów straciłem:
Pierwszy zginął w drapieżnych pazurach przeklętej łasicy,
Która u mysiej go dziury samego wylotu chwyciła.

Drugi, nieszczęsny, zawdzięcza swą zgubę złym ludziom bez [serca,
Co go zgładzili podstępem, nieznanym dotychczas: przynętą
Z drzewa, co łapką się zowie a myszom niesie zagładę.
Trzecie zaś dziecko, moje i matki troskliwej kochanie,
Oto mi król Odmigęba na głębie zawiódłszy, utopił...
Nuże, zbroje wkładajcie ozdobne i dalej — na wroga!"
Tak przemówił i myszy zachęcił: poczęły się zbroić;
Ares, wojny zażegacz, obudził w nich srogą ochotę.
Najpierw nagolennice włożyły: na pół rozłupawszy
Bobu ziarnka zielone, okryły nimi golenie
(Bób taki nocą gromadzą, ażeby nie brakło im jadła).
Wszystkie miały pancerze ze skórek, zdartych z łasiczek:
Na źdźbłach słomy rozpiąwszy te skóry, naszyły je zmyślnie.
Lampki wypukłość środkowa służyła za tarcz. Jako włócznia,
Długa szpilka sterczała, spiżowa broń Aresowa.
Hełm z łupiny orzecha okrywał skronie rycerzy.
Tak tedy myszy stanęły pod bronią. Gdy je zoczyły
Żaby, z odmętu się wód wynurzyły i w jedno się miejsce
Wraz udały na wiec, by o wojnie radzić złowrogiej.
Kiedy głowiły się, co to za wrzawa i skąd ta ruchawka,
Zjawił się herold z berłem, Drążyser, syn Garkoskrobka
Wielkodusznego; okrutny zew wojny przynosząc, tak rzecze:
„Żaby! Myszy mnie tu wyprawiły w groźnym poselstwie,
Bym was wezwał pod broń! Do boju szykować się macie!
Śmierć Kąskołapa widziały, którego wasz król, Odmigęba,
Przywiódł do zguby w głębinach. Więc nuże, stawajcie do [walki,
Jeśli jeszcze wśród żab rycerze przedni się znajdą!"
Tak oświadczył Drążyser; zaś żaby waleczne struchlały
Słysząc mysie orędzie i jęły szemrać na króla.
Wówczas król Odmigęba, powstawszy, tak począł mówić:
„O przyjaciele, nie ja uśmierciłem tę mysz, ni jej zgonu
Świadkiem nawet nie byłem. Zapewne igrając nad stawem
Chciała nas naśladować i pływać jak my: utonęła.
I oto teraz ci podli oszczerce to na mnie zwalają.
Dalej więc, radźmy, co czynić, by myszy zdradliwe w pień [wyciąć.
Oto jest moja rada i ta mi zda się najlepsza:
Zbroję bitewną przywdziejmy i stańmy wszyscy po społu
Na wyniosłości nad stawem, gdzie brzeg jest stromym [urwiskiem.
Skoro ich wojsko wypadnie i ruszy na nas do szturmu,
Wówczas każdego, kto tylko się zbliży, za szyszak ułapim
I do stawu prościutko strącimy ich wraz z Drążyserem.

Tak wytopimy ich wojsko, co pływać nie umie i wzniesiem
Pomnik zwycięstwa radośnie, by świadczył o mysiej zagładzie".

Tak przemówił i żaby zachęcił: poczęły się zbroić,
Ślazu listkami okryły golenie, na piersiach zaś każdej
Pancerz z bocwiny zielenił się; z liści kapusty puklerze
Wykroiły misternie; w prawicach — długie oszczepy
Z trzcin zaostrzonych; na głowach — szyszaki z ślimaczych
[skorupek.
Tak uzbrojone stanęły na stawu wybrzeżu wysokim,
Potrząsając włóczniami i płonąc wojenną ochotą.
Dzeus zaś, bogów zwoławszy w niebiosach usianych
[gwiazdami,
Wojska pokazał im tłum, szeregi chrobrych rycerzy
Mnogich i rosłych, a każdy z nich długą dźwigał kopiję:
Tak Centaurów zastępy albo Gigantów kroczyły.
Dzeus tedy spytał z uśmiechem, kto z bogów żaby chce
[wesprzeć,
Kto zaś myszy, gdy będą w opałach. I rzekł do Ateny:
„Córko moja, ty myszom niechybnie pośpieszysz na
[pomoc,
Im, co tak lubią harcować po twojej świątyni gromadnie,
Dokąd je zwabia woń palonego tłuszczu i jadło."
Tak powiedział Kronida, a Pallas odrzecze w te słowa:
„Wcale ja, ojcze, nie myślę ratować, gdy będzie w opałach,
Rodu mysiego, gdyż moc wyrządził mi złego: wszak on to
Zawsze niszczy mi wieńce i z lamp oliwę wypija.
Lecz oto czym mi najsrożej dojadły te myszy bezecne:
Szatę pogryzły mi, którą z cieniuchnej wełny utkałam!
Wpadłam w szpony lichwiarzy, bo krawiec-łatacz nalegał,
Chcąc pieniądze swe ściągnąć; więc gniewem zawrzało me
[serce.
Bowiem już na przędziwo dług zaciągnęłam, a teraz
Nie mam na spłatę i procent mnie gnębi: to cios dla bogini!
Ale także i żabom nie zechcę użyczyć pomocy,
Bo wartogłowy to straszne: niedawno — pamiętam — wróciłam
Z wojny strudzona, więc chciałam pokrzepić się snem; ale
[one
Tak hałaśliwie skrzeczały, że oka zmrużyć nie mogłam:
Z bólem głowy leżałam bezsennie, aż kury zapiały.
Niech was zatem, bogowie, nie zbiera ochota ich wesprzeć,
Byście snadź ran nie odnieśli od ostrych grotów ich włóczni:
Toć w szale bitwy, zuchwalce, przed bogiem się nawet nie
[cofną!
Przeto patrzmy się z nieba i miejmy z ich boju zabawę."

Tak powiedziała Atena, a wszyscy za radą jej poszli:
W jednym miejscu po społu zebrali się tłumnie bogowie.

Właśne komary na surmach olbrzymich pobudkę wojenną,
Dmąc w nie potężnie, zagrały; zaś z nieba pioruny zagrzmiały,
Hasło do wojny złowrogiej, przez Dzeusa dane Kronidę.

Starł się najpierw Skrzeczysław z Lizentym, co w pierwszym [stał rzędzie,
W brzuch go włócznią ugodził i pchnął ją aż w samą wątrobę.
Runął Lizenty z łoskotem i pyłem zbrukał włos miękki,
Zbroja zaś na nim w upadku głuchym ozwała się chrzęstem
Potem Jamolub wymierzył oszczepu grot potężnego
W Błotomiła i wbił mu go w pierś i zwalił na ziemię;
Tego zaś czarna śmierć ogarnęła i ducha wyzionął.
Poległ także Buracjusz, gdyż w serce go żgnął Garkoskrobek.
W brzuch Rechocjana ugodził Łuszczybochenek, a tamten
Piersią uderzył o ziem i duch uleciał mu z członków.
Jęknął boleśnie Rzepacy i ostrze dzidy trzcinowej
W miękki pchnął kark Jamoluba; a ten padł martwy [natychmiast.
Ów zaś dzidę wyszarpnął mu z ciała. Skoro znów zoczył,
Że Gryzikorzeń ucieka, na brzeg wpadł za nim wyniosły,
Porwał i nawet wśród wód nie poniechał go: włócznią go [zakłuł.
Padł Gryzikorzeń bez życia na wznak, w jelita ugodzon
Tłuste, i krwią purpurową zabarwił wodne odmęty;
Wnet go fala na brzeg wyrzuciła. Tymczasem opodal
Żgnął Drążysera oszczepem Radostaw i ściągnął zeń zbroję.
Szperkopasa ujrzawszy, okrutnie się strwożył Szuwary,
Skoczył skwapliwie do stawu i tarczę porzucił w ucieczce.
Już Ryjedziurę zabija ów Bagnold, rycerz bez skazy;
Król Liżysadło zaś pada, przez Wodomiła rażony
W czoło kamieniem — i oto mózg nieszczęśnika wycieka
Nosem, a ziemia dokoła posoką jego zbroczona.
Cnego Bagnolda znów życia pozbawił bohater Miskoliż:
Dzidą weń cisnął, a temu wraz mrok otulił powieki.
Lecz zabójcę zoczywszy, za nogę go powlókł Szczypioryn
Aż do stawu, ułapił za szyję, udusił, utopił.
Stanął Liżylamp w obronie zwłok druha i pchnął Szczypioryna
W brzuch oszczepem po samą wątrobę, a ten mu przed stopy
Runął na ziemię, zaś duch w krainę Hadesu uleciał.
Na ten widok Kapuściej na Liżylampa się porwał,
Grudą błota uderzył go w czoło i prawie oślepił.
Gniewem tamten zapałał straszliwym; więc w tęgą prawicę

Głaz chwyciwszy potężny a ciężki, co ziemię przygniatał,
W nogę wroga ugodził i prawą goleń mu strzaskał.
Padł Kapuściej na wznak i w pyle legł pokonany.
Zemsty zapragnął Skrzeczecha i ruszył przeciw zwycięzcy;
Dzidą się nań zamierzywszy trzcinową, w sam brzuch go
[utrafił
I pogrążył ją w głąb; a kiedy krzepkim ramieniem
Włócznię z ciała wydzierał, wraz z nią i jelita wyszarpnął.
Druha zgon Jamokryjek znad brzegu rzeki zobaczył
I znękany na duchu jął z boju się cofać kulejąc,
Wreszcie do rowu skoczył, by lutej śmierci uniknąć.
Już i król Odmigęba otrzymał cios w koniec stopy
I na ziemię padł na wpół żywy: poraził go oto
Cny Gryzichleb i rzucił się nań, by dobić rannego.
Szczypiór wszelako, gdy ujrzał, że jego król ledwie dyszy,
Przez szeregi się przedarł i cisnął oszczep na wroga;
Lecz Gryzichleba tarczy nie przebił: utkwiło w niej ostrze.
Także szyszaka zacnego o czterech kitach nie zdołał
Strzaskać boski Majeran, idący w ślady Aresa,
On, najmężniejszy wśród żab, jedyny prawdziwy bohater.
Runął nań tłum nieprzyjaciół; więc nie mógł pola dotrzymać
Tylu potężnym herosom i skrył się w stawu głębinach.

Był pośród myszy młodzianek, waleczny jak nikt,
[Łapikruszek.
Zrodził go Skrobert, przemyślny węszychleb, wojownik bez
[skazy.
Ten, porzucając plac bitwy, polecił walczyć synowi.
Młody więc groźby jął miotać, że w pień wytraci ród żabi;
Za czym orzech rozłupał na pół i w puste łupiny
Wetknął oba kułaki, do boju na pięści się zbrojąc.
A gdy się zbliżał do wrogów, wojenną gorzejąc ochotą,
Żaby w strachu okrutnym do stawu zemknęły po społu.
Byłby też groźbę swą spełnił, bo srogą w ramieniu miał siłę,
Gdyby wszystkiego nie widział śmiertelnych rodzic i bogów.
I ulitował się Dzeus i zbawił żaby od zguby.
Głową boską potrząsnął i w te odezwał się słowa:

„Nieba, straszną to rzecz oglądają me oczy! Niemałą
Ten Łapikruszek mnie grozą przejmuje, bo oto u stawu
Odwet bierze zbójecki i mści się na żabach nieszczęsnych.
Dalej więc, niechaj tam mknie wojownicza Pallas lub Ares,
Niech go odciągną od walki, choć tęgi i chrobry to rycerz."

Tak powiedział Kronida, a Ares mu na to odrzecze:
„Ani Ateny moc ani moja, Kronido, nie starczy,
By oddalić od żab okrutną zagładę; lecz razem

Wszyscy im śpieszmy na pomoc. Albo też raczej twój pocisk,
Którym już raz wygubiłeś najsroższych z twych wrogów,
[Tytanów,
Ciśnij, Dzeusie, na myszy: dosięższesz co najdzielniejsze.
Tak-eś to ongi poraził na śmierć Kapaneusa strasznego,
Tak Enkelada olbrzyma i dzikie rzesze Gigantów."

Skończył Ares, a Dzeus pochwycił piorun ognisty.
Najpierw gromem zahuczał, aż wielki zatrząsł się Olimp,
Potem zaś rzucił piorun z zamachem; — i wypadł straszliwy
Pocisk z prawicy mocarza. Zadrżały wojska obydwa.
Ale i tak nie spoczęły zawziętych myszy zastępy:
Jeszcze mocnej tuszyły, że zniszczą rycerskie żab plemię.
Jednak z wyżyn Olimpu zmiłował się Dzeus nad żabami:
Oto w godzinie zagłady co rychlej odsiecz im posłał.

Więc zjawili się nagle ci zbawcy: na grzbietach szerokich
Pancerz błyskał, a skóra ich była jak twarda skorupa;
Zbrojni w krzywe nożyce, w sterczące macki, szczerzyli
Pyski w kształcie obcęgów; na ośmiu koślawych odnóżach
Skośnym szły krokiem te stwory kościste, a z głów zezowate
Ślepia sterczały złowrogo. Słowem — były to raki.
One więc myszom zaczęły ciąć nogi, ogony i ręce,
Nie przepuszczały też włóczniom, lecz gięły je. Biedne zaś
[myszy
Trwoga zdjęła i pola dotrzymać nie mogły: uciekły.

Właśnie szedł wieczór i wraz jednodniowa skończyła się wojna.

Przełożył z greckiego

Ignacy WIENIEWSKI

Spotkanie w Torgau

Piszemy o zjednoczeniu Niemiec jako o istotnym problemie europejskim. Prez. de Gaulle w czasie swej ostatniej konferencji prasowej poświęcił wiele uwagi temu zagadnieniu. Lecz wydaje się, że nikt już dziś nie pamięta genezy tego zjawiska.

W mojej książce niemieckiej opisując konferencję w Monachium podkreśliłem, że była to ostatnia prawdziwie europejska konferencja bez udziału Rosji i Ameryki. Niemcy były zjednoczone i uzbrojone i Hitler wyciągnął wówczas logiczny wniosek, że jeżeli Europa ma być rządzona przez Europejczyków to owymi Europejczykami muszą być Niemcy.

Narody Europy miały do wyboru albo poddać się hegemonii Niemiec, które były najsilniejszym mocarstwem na kontynencie albo przywrócić zwichniętą równowagę sił przy pomocy poza-europejskich partnerów.

Epilogiem Monachium było Torgau. W miejscowości tej, leżącej w środku Niemiec i w środku Europy spotkały się w dniu 25 kwietnia 1945 r. armie dwóch poza-europejskich potęg: Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych. Konsekwencją owego spotkania był podział Niemiec.

Patrząc na ewolucję problemu niemieckiego należy stwierdzić, że zjednoczenie Niemiec spowodowało ich podział. Europa bowiem nie jest w możności pomieścić zjednoczonych i uzbrojonych Niemiec. O zjednoczonych, atomowo uzbrojonych Niemczech w ramach niezależnej (zarówno od Rosjan jak i od Amerykanów) Europy — mogą mówić tylko ci, którzy są gotowi zaakceptować hegemonię Czwartej Rzeszy.

Czytelnik zauważy może w tym miejscu, że naród niemiecki uległ przemianom. Nie wątpię w to ani na chwilę. Wyobraźmy sobie jednak następującą sytuację. Przez ubiegłe 15 lat Polska była na łasce i niełasce nie Rosji Sowieckiej lecz demokratycznych, uzbrojonych, zjednoczonych Niemiec. Jak ukształtowałby się wówczas nasz los? Oczywiście nie byłoby Gestapo, obozów

koncentracyjnych itp. Lecz utracilibyśmy ziemie zachodnie, poznańskie, Gdańsk, Śląsk i wegetowalibyśmy w granicach zbliżonych do granic „Generalnej Gubernii". Mając stuprocentową przewagę, którą od lat w stosunku do nas dysponuje Rosja — Niemcy zrealizowaliby swój maksymalny program. W miniaturowej Polsce moglibyśmy wskrzesić przedwojenną konstytucję lecz wątpię czy moglibyśmy wskrzesić cokolwiek innego. Bylibyśmy nie państwem lecz państewkiem satelickim niezdolnym do życia.

Niemcy zjednoczone zostały siłą. Podzielone zostały również siłą. Sądzę, że poza *lunatic fringe* i „National-Demokratische Partei" — nikt dziś w Niemczech zachodnich nie wierzy w powtórne zjednoczenie Niemiec siłą.

B. kanclerz Adenauer w pierwszych dniach lutego br. udzielił wywiadu korespondentowi „New York Times". Komentując ów wywiad „New York Times" podkreślił, że sędziwy przywódca Chrześcijańskich Demokratów nie jest w stanie uwolnić się od podejrzenia, że pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem istnieje porozumienie w sprawie zachowania *status quo* w Europie.

Adenauer nie jest w tym poglądzie odosobniony. Oczywiście to jest nieporozumienie, gdyż nie ma żadnej ugody pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Ludzie natomiast — zwłaszcza starszego pokolenia — nie mogą zrozumieć, że siły militarnej nie można dziś wymieniać na efekty polityczne z równą łatwością jak ćwierć wieku temu. Ci zaś, którzy to rozumieją — choć mówią „A" wzdragają się powiedzieć „B". Jeżeli siła militarna utraciła swą pierwotną zamienialność na efekty polityczne — negocjonowanie z pozycji siły przestało być równoznaczne z negocjonowaniem siłą.

Gdzie biorą swe źródło owe podejrzenia Adenauera i wielu innych? Potencjał atomowy w sensie politycznym jest siłą statyczną, nadającą się do obrony *status quo* lecz nie do jego zmiany.

Małe wojny broniami konwencjonalnymi można prowadzić w Azji czy w Afryce, lecz nie w Europie a szczególnie nie w Niemczech, gdzie Amerykanie sąsiadują bezpośrednio z armią sowiecką. Wietnam jest nie do pomyślenia w Europie.

W przyszłości możemy mieć całą serię małych i większych wojen konwencjonalnych w Azji, w Afryce a może nawet w Ameryce Południowej — lecz w moim przekonaniu, Europa ma przed sobą dziesięciolecia „murowanego" pokoju.

Rosja jest usytuowana w Europie jak nigdy w swych dziejach. *Stalemate* atomowy, który cementuje obecną sytuację — faworyzuje Rosjan na niekorzyść Amerykanów i Niemców. Rosjanie nie mają powodu ryzykować wojny atomowej by zmienić sytuację, która jest dla nich niezmiernie korzystna. Zmiana *status quo* leży w interesie Niemców i Amerykanów a nie Rosjan i dlatego Amerykanie a nie Rosjanie musieliby podjąć ryzyko wojny atomowej gdyby chcieli radykalnie zmienić *status quo* w Europie środkowej i wschodniej. Stany Zjednoczone — ufajmy — zaryzykowałyby wojnę w obronie *status quo*. Lecz z całą pew-

nością nie zaryzykują katastrofy atomowej by *status quo* zmienić. Na powyższej analizie opieram przypuszczenie, że Europa przez długi okres czasu będzie korzystała z pokoju narzuconego równowagą atomową amerykańsko-sowiecką.

Jeżeli naszym celem, jako Europejczyków — jest przywrócić Europie niezależność — to w żadnym wypadku nie możemy wracać do układu, który w przeszłości spowodował podział Niemiec i podział Europy.

Artykuł niniejszy nie jest poświęcony wyłącznie sprawie Niemiec. Problem niemiecki służy w tym wypadku raczej do zilustrowania tezy, że na skutek specyficznych warunków potężne narody europejskie nie mogą podejmować inicjatyw, które stosują — powiedzmy — Wietnamczycy. Łatwo sobie wyobrazić wstrząs w Waszyngtonie czy w Moskwie gdyby pewnego wieczoru Niemcy zachodni zaczęli przez mur berliński przerzucać uzbrojonych partyzantów na teren NRD. W przeciwieństwie do Wietnamu Amerykanie nie tylko nie zaoferowaliby żadnej pomocy lecz niewczesnych partyzantów rozbroiliby siłą. W tej sprawie Amerykanie liczyć mogą na wzajemność ze strony Sowietów. Moskwa nie dopuści do powstania w NRD. Powstanie w NRD na poważniejszą skalę skomplikowałoby sytuację Amerykanów w Niemczech zachodnich.

Gdybym miał w jednym zdaniu ująć różnicę pomiędzy Europą 1938 a Europą 1965 — stwierdziłbym, że dziś żadne z państw europejskich nie może we własnym imieniu prowadzić wojny.

Mimo, że w Europie istnieją dziesiątki niezałatwionych problemów z dwoma Berlinami na czele — trwa pokój bo taka jest wola (i interesy!) naszych protektorów.

Nasi protektorzy gotowi są ponieść pewne ofiary w celu zachowania pokoju. Prez. Eisenhower z całą pewnością gorąco sympatyzował z powstańcami węgierskimi. Lecz poświęcił owe sympatie dla wyższej, poza-europejskiej racji stanu związanej z pokojową koegzystencją amerykańsko-sowiecką.

Europejczycy, a zwłaszcza Niemcy, nie zdają sobie na ogół sprawy, że pomiędzy Ameryką a Rosją na terenie Europy — z wyjątkiem Berlina nie ma ważniejszych kwestii spornych i obecna sytuacja ku zadowoleniu Moskwy i Waszyngtonu może trwać bez większych zmian przez następne 50 lat.

Niewątpliwie układ obecny jest bez precedensu czego wyrazem są różnorakie reakcje i postawy. Wśród Europejczyków wyodrębnić można trzy typy postaw politycznych. Do pierwszej kategorii należą „likwidatorzy", którzy głoszą konieczność likwidacji komunizmu siłą. Pod tym programem podpisują się nieliczni fanatycy i radykalni nacjonaliści. Do drugiej kategorii zaliczyć należy historycznych anachronistów. Politycy tej szkoły powołują się na tradycje, prawa historyczne itp. — zapominając, że historia o której mówią dobiegła kresu w Hiroszimie. Trzecią kategorię tworzą ewolucjoniści, którzy usiłują planować i rozumować w oparciu o obiektywne warunki.

Program „likwidatorów" reprezentujących *lunatic fringe* czy

to w wydaniu niemieckim, amerykańskim czy emigracyjnym — może być interesujący raczej dla psychiatry niż dla publicysty.

W przeciwieństwie do „likwidatorów" historyczni anachroniści są poważnymi politykami, którzy nominalnie odrzucają rozwiązanie wojenne. Odrzucają wojnę lecz nie są w możności zrezygnować z celów politycznych, które osiągnąć można tylko na drodze wojennej.

Postulat restauracji Niemiec w granicach z 1937 r. jest nie do zrealizowania bez wojny. Anachronistom historycznym wydaje się jednak, że wysuwając tego typu żądania wzmacniają swoją pozycję w przyszłych negocjacjach. Publicyści niemieccy (życzliwie nastrojeni w stosunku do Polaków) wysuwają zawsze argument, że uznanie granicy na Odrze i Nysie dziś osłabiłoby pozycję przetargową Niemiec w przyszłych negocjacjach pokojowych.

Anachronizm historyczny posiada wszystkie cechy jakże dobrze nam znanej patriotycznej niezłomności. Rezygnacja z granic 1937 r. byłaby równoznaczna nie tylko z przyznaniem się do klęski. Owa rezygnacja byłaby równoznaczna z uznaniem nieodwracalności przemian jakie dokonały się w Europie. Przebrnąć przez tego typu zapory psychologiczne można by tylko wykazując Niemcom beznadziejność „niezłomności" i równocześnie ukazując im perspektywy ewolucyjnych rozwiązań.

Historycznie anachroniści rozumują klasycznie: najpierw trzeba odbudować kraj i życie gospodarcze, a następnie, w oparciu o tę bazę — stworzyć potężną nadbudowę militarną. Niemcy uważali zawsze, że polityka zagraniczna jest ubocznym produktem siły wojskowej.

Tym razem wygląda to wszystko nieco inaczej. Niemcy są nie tylko problemem europejskim lecz również problemem dwóch poza-europejskich mocarstw, których armie spotkały się w Torgau.

Podstawowe pytanie brzmi: czy problem niemiecki będzie rozwiązany w ramach polityki europejskiej czy w ramach polityki amerykańsko-sowieckiej? W moim przekonaniu historyczni anachroniści pracują na rzecz rozwiązania amerykańsko-sowieckiego, które dla Niemców byłoby niekorzystne a dla Europy katastrofalne.

Przed wielu laty na tych łamach podkreślałem, że przyjdzie chwila kiedy żądania niemieckie będzie coraz trudniej zaspokoić. Dziś Niemcy są drugim po Ameryce przemysłowym mocarstwem zachodniego świata i można już im tylko oferować dwie rzeczy: bronie atomowe i zjednoczenie. Wszystkiego innego mają w nadmiarze.

Niemcy mogą mieć bronie atomowe za zgodą Ameryki w opozycji do Rosji lub w sojuszu z Rosją w opozycji do Stanów Zjednoczonych. Nie osiągną jednak nigdy statusu mocarstwa nuklearnego, jeżeli zarówno Waszyngton jak i Moskwa będą temu przeciwne.

Zjednoczenie Niemiec zależy wyłącznie od Rosji. Sowiety

sprzeciwiają się zjednoczeniu Niemiec również i z tego względu, że Stanom Zjednoczonym byłoby niepomiernie trudniej hamować nuklearne ambicje Niemiec zjednoczonych niż podzielonych. Niemcom nie wolno wytwarzać broni atomowych na terenie Federalnej Republiki. Lecz teoretycznie mogą produkować bronie nuklearne poza obrębem NRF, mogą być członkiem wielonarodowej nuklearnej siły zbrojnej, mogą bardziej intymnie niż dotychczas współpracować z amerykańskimi jednostkami wyposażonymi w bronie atomowe itp., itp. Niewątpliwie w tej dziedzinie istnieje cały wachlarz możliwości i Rosjane zdają sobie z tego sprawę.

Wszystkich nas cechuje „europocentryzm". Złożyły się na to stulecia tradycji i historii. Jak zauważył słusznie pewien wybitny reporter amerykański w Europie 200 lat to jest krótki okres czasu, lecz 200 mil to wielki szmat przestrzeni. W Ameryce, 200 mil to krótki spacer lecz 200 lat to cała historia.

Europa obserwowana z Moskwy czy z Waszyngtonu stanowi odcinek globalnego frontu. W danym momencie względy taktyczne mogą skłonić zarówno Rosję jak i Amerykę do szukania trwałego odprężenia na odcinku europejskim.

Dla Rosji Europa zachodnia to nie jest ani Francja ani Wielka Brytania tylko Niemcy. Sowiety nie chcą zjednoczenia Niemiec gdyż im Niemcy będą potężniejsze tym trudniej przyjdzie odmawiać im statusu mocarstwa nuklearnego. Lecz można wyobrazić sobie sytuację w której Rosjanie odwrócą problem. Zgodzą się na zjednoczenie w zamian za de-atomizację Niemiec.

Ideałem z punktu widzenia Rosji są Niemcy podzielone i atomowo rozbrojone. Alternatywą są Niemcy choćby zjednoczone lecz definitywnie odcięte od broni atomowej.

Politycy, których określiłem mianem historycznych anachronistów pracują de facto na rzecz rozwiązań jałtańskich. Wysuwając postulaty, których bez wojny nie można zrealizować panowie ci, któregoś dnia wymuszą na Waszyngtonie i Moskwie nową Jałtę.

Plany de Gaulle'a zakładają równoczesne rozwiązanie problemu Niemiec z „de-satelizacją" krajów Europy wschodniej. To jest niewątpliwie rozwiązanie europejskie i ewolucyjne. Lecz nad tym planem wisi niemiecki znak zapytania.

Zamysł de Gaulle'a stoi i upada postawą Niemiec. Nikt nie może oczekiwać od Rosji akceptacji planów francuskich jeżeli nie akceptują ich Niemcy. Teza oficjalnej polityki niemieckiej o granicach z 1937 r. nie tylko jest nie do pogodzenia z planem de Gaulle'a lecz stanowi jego zaprzeczenie. Najpierw dla planów francuskich trzeba zjednać Niemców a dopiero w następnej kolejności Rosjan.

Oceniane z perspektywy Moskwy plany de Gaulle'a są niestety rachunkiem bez gospodarza. Niemcy zgłaszają pretensje nie tylko do polskiego Wrocławia lecz i do sowieckiego Królewca. Rosjanie zdają sobie również sprawę z faktu, że de Gaulle czy jego następcy nie są w możności ani Niemcom zagrozić ani

niczego na nich wymusić. Natomiast dyktat amerykańsko-sowiecki à la Jałta Niemcy musieliby przyjąć.

Choć zabrzmi to paradoksalnie twierdzę, że dopóki Niemcy hołdują polityce historycznego anachronizmu i stawiają sobie za cel budowę IV Reichu — dla Rosji gwarantem bezpieczeństwa w Europie jest Ameryka a nie Francja. Bez zgody Ameryki Niemcy nie będą mieli nigdy broni atomowych i wbrew woli Waszyngtonu IV Reich nie powstanie.

Anachroniści niemieccy — podobnie jak anachroniści polscy nie mają żadnych planów ani żadnej polityki. O ile jednak rojenia emigracyjnych anachronistów są nieszkodliwe o tyle rojenia Bonn uniemożliwiają ewolucyjną, pokojową przebudowę Europy. Dopóki wszystkie polityczne partie niemieckie, parlament, rząd i kanclerz głoszą zgodnie tezę o granicach z 1937 r. — dopóty plan prez. de Gaulle'a czy jakikolwiek inny plan przebudowy Europy nie ma żadnych szans sukcesu.

Czy jest rzeczą możliwą przekonać Niemców, że w gruncie rzeczy marzenia o IV Reichu przynoszą sprawie niemieckiej więcej szkody niż korzyści?

Należałoby zastosować równocześnie dwie metody. Francuzi winni starać się wytłumaczyć Niemcom, że podtrzymywanie tezy o zjednoczeniu w granicach z 1937 r. wyłącza rozwiązanie europejskie. Pozostaje więc tylko rozwiązanie jałtańskie, które jeżeli da Niemcom zjednoczenie utrwali równocześnie „żelazną kurtynę" na granicy Odry i Nysy. Rozwiązanie jałtańskie oznaczałoby z całą pewnością od-atomizowanie Niemiec i wydatne ograniczenie zbrojeń konwencjonalnych.

Druga metoda winna polegać na uznaniu granicy na Odrze i Nysie przez wszystkie państwa europejskie z Francją na czele.

Londyński „The Times" z 7.1. br. stwierdził, że żaden myślący Niemiec nie może mieć wątpliwości w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Niemcy sądzą jednak, że uznanie tej granicy stanowi atut, który winien być zagrany w właściwej chwili. Uznanie tej granicy pisze „The Times" — już dawno przestało być atutem i bez jasnej decyzji w tej sprawie nie może być mowy o zjednoczeniu.

Na całym Zachodzie wszyscy podpisują się pod poglądem wyrażonym przez czołowy dziennik brytyjski lecz nikt oficjalnie nie uznał granicy na Odrze i Nysie.

Oficjalne uznanie granicy na Odrze i Nysie nie jest potrzebne Polsce, ponieważ granicy tej nic nie zagraża. Oficjalne uznanie tej granicy przez mocarstwa Zachodu *potrzebne jest Niemcom* by politykę niemiecką wyprowadzić z *fools paradise* na realne tory.

IV Reich — jak podkreślają to zachodnio-niemieccy socjologowie — nie jest programem politycznym tylko narodowym „wielkim ideałem". Owe nacjonalistyczne „wielkie ideały" spełniały w przeszłości ponurą rolę i nie można głosić, że Niemcy radykalnie się zmienili dopóki ów agresywny „idealizm" nie zostanie w całości wykorzeniony.

„The Times" w cytowanym artykule pisze, że nie można liczyć na postępy w kierunku zjednoczenia dopóki sprawa Odry i Nysy nie jest wyjaśniona. Odpowiedzialność w tym wypadku obciąża w większym stopniu mocarstwa zachodnie niż Niemcy. Gdyby wszyscy sojusznicy Niemiec uznali tą granicę — „wielki ideał" IV Reichu zmarłby naturalną śmiercią zamykając rozdział historycznego anachronizmu w polityce niemieckiej.

◆

Tak jak hegemonia hitlerowskich Niemiec była konsekwencją Monachium — tak Torgau przypieczętowało Jałtę. Okres zapoczątkowany w Torgau trwa do tej pory. Jednostki sowieckie i amerykańskie stoją twarzą w twarz w środku Europy.

Posługuję się terminem ewolucjonizm w braku lepszego określenia. Terminologię dla procesów zachodzących obecnie ukują historycy w następnym stuleciu. Jednak świadomość przemiany bez względu na termin posiada podstawowe znaczenie. Brak owej świadomości powoduje, że oscylujemy pomiędzy dwoma biegunami — *appeasementu* z jednej strony i anachronistycznych rojeń z drugiej strony. W pośrodku leży właściwy i jedyny teren naszego działania to znaczy — obiektywne warunki.

Wiele istotnych przemian w historii Europy było bezpośrednimi lub pośrednimi konsekwencjami wojen. Wojny światowe były wojnami europejskimi w obu wypadkach wywołanymi kryzysem na naszym kontynencie.

Epoka wojen europejskich należy do przeszłości. Jak wykazał Budapeszt o wojnie i pokoju w Europie decydują Waszyngton i Moskwa. Z punktu widzenia naszych protektorów sytuacja w Europie jest względnie ustabilizowana. Punkty zapalne konfliktu leżą poza Europą, przede wszystkim w Azji. Rosjanie liczą, że pomoc Zachodu tak materialna jak i „duchowa" dla „trzeciego świata" okaże się zbyt wątła i doprowadzi do kryzysów, które stworzą koniunkturę dla inicjatywy Moskwy.

Zarówno Amerykanie jak i Rosjanie rozluźniliby swą kontrolę nad kontynentem gdyby „podwójną hegemonię" — by użyć określenia de Gaulle'a — można było zastąpić czymś innym. Jeżeli Europejczycy nie wypracują alternatywy doczekamy się formalizacji Torgau. Wypracowanie i realizacja planu alternatywnego nie leżą w sferze rzeczy możliwych dopóki w Niemczech nie dokona się zasadnicza przemiana: od anachronizmu ku ewolucjonizmowi.

Owa przemiana dokonałaby się w Niemczech niepomiernie szybciej gdyby mocarstwa zachodnie w sprawie niemieckiej przemawiały jednym głosem. W gruncie rzeczy wszyscy unikają sytuacji w cztery oczy z Niemcami. Wysiłki Ameryki zmierzające do wyrównania stosunków z Francją w znacznej mierze tu biorą swe źródło.

U dna sprawa jest prosta. Jeżeli w przyszłości mamy negocjować z Rosją plan alternatywny obejmujący zjednoczenie Nie-

miec przy równoczesnym rozwiązaniu problemu wschodniej Europy — to pomiędzy Zachodem a Sowietami nie może być w Europie terytorialnych nieporozumień. Dla Rosji i dla Ameryki byłoby z korzyścią wyłączyć Europę ze sfery bezpośredniego konfliktu — lecz Sowiety nie zgodzą się nigdy na plan obejmujący Niemcy zgłaszające pretensje do terytoriów sowieckich czy polskich. Rosja jeżeli zgodzi się na plan rekonstrukcji Europy to tylko pod gwarancją, że „Nowa Europa" nie będzie anty-rosyjska. Być może za kilka lat okaże się rzeczą możliwą przekonać przywódców na Kremlu, że liberalizacja stosunków w Europie wschodniej stanowiłaby poważny krok naprzód ku Europie bardziej zharmonizowanej lecz nie anty-rosyjskiej. Lecz nikt nigdy nie przekona Rosjan, że oficjalna ideologia IV Reichu w granicach z 1937 r. jest do pogodzenia z wizją Europy, która nie byłaby anty-rosyjska.

Warunkiem wstępnym rekonstrukcji Europy, zjednoczenia Niemiec i zmiany statusu państw Europy wschodniej jest definitywne i formalne pogrzebanie ideologii IV Reichu. W moim przekonaniu to zadanie przekracza możliwości Francji. Niemcy ugną się jedynie przed zjednoczonym frontem państw zachodnich. Mówienie o „zdradzie Niemiec" przez ich obecnych sojuszników jest nonsensem. O zdradzie można by mówić tylko wówczas gdyby Amerykanie i zachodnio-europejscy sojusznicy Federalnej Republiki zobowiązali się dopomóc Niemcom do restauracji IV Reichu. Lecz nie tylko nikt się nie zobowiązał, lecz de facto wszyscy owej restauracji są przeciwni. Owo nie solidaryzowanie się z rewizjonizmem niemieckim jeżeli ma mieć wartość w ocenie krajów Europy wschodniej musi być sformalizowane.

Jeżeli tego nie dokonamy wszystkie projekty rekonstrukcji Europy zawisną w próżni. Przyszli historycy odnotują, że wygraliśmy wojnę przeciwko Niemcom lecz dzięki Niemcom przegraliśmy pokój w Europie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

ZYSK I DOGMAT

Pewna grupa sowietologów hołdujących ostrożnemu optymizmowi wychodzi z założenia, że postęp nauki jest nieodwracalny. Nie ma dla nas ani dla Sowietów powrotu do epoki sprzed Hiroszimy. Nie można zniweczyć ani fizyki atomowej, ani cybernetyki ani automatyzacji.

Ów nieodwracalny postęp nauki, a w szczególności technologii przekształca warunki gospodarcze. Chruszczow musiał odejść bo nie ogarniał już współczesnej skomplikowanej problematyki. Polska — choć jej daleko

do Związku Sowieckiego przestała być również krajem rolniczym i wkroczyła w erę przemysłową. Zarówno Chruszczow jak i Gomułka należą do kadry pionierskiej i reprezentują marksizm „startowy", marksizm okresu początkowego.

Nieporozumienia chińsko-sowieckie w znacznej mierze polegają na tym, że w Chinach „marksizm startowy" znajduje jeszcze zastosowanie, podczas gdy w Związku Sowieckim już nie wystarcza. Próby zaadoptowania marksizmu do wymogów wysoko rozwiniętej gospodarki przemysłowej Chińczykom wydają się podejrzanym rewizjonizmem.

Oczywiście w Sowietach nie może być mowy o rewizjoniźmie, bo każdej zmianie czy reformie towarzyszy oficjalna sankcja. Ortodoksję reprezentuje zawsze ten, kto jest przy władzy. Jeżeli przez „rewizjonizm" rozumieć odstępstwo od ortodoksyjnej linii — to rewizjonistą w Sowietach można zostać tylko pośmiertnie. W tym sensie „rewizjonistą" został Stalin, któremu członek sztabu Chruszczowa zarzucił poważniejsze odstępstwo od filozofii marksistowskiej w sześciu wypadkach, błędy w marksistowskiej teorii ekonomicznej również w sześciu wypadkach, cztery błędy w naukowej historii partii oraz... całkowite zlekceważenie marksistowskiej praworządności. (Przemówienie Leonida Ilijczewa z 26 grudnia 1961).

Wszyscy zgadzamy się — z wyjątkiem „lunatic fringe" — że komunizm ewoluuje. Co determinuje ową ewolucję — czy postęp technologiczno-gospodarczy czy władza ideologiczno-polityczna?

Posłuchajcie: Pogłowie bydła w Sowietach przedstawiało się następująco (w milionach sztuk): Konie w roku 1928 — 32, w r. 1934 — 15, Bydło w r. 1928 — 60, w r. 1934 — 33, Owce w r. 1928 — 97, w r. 1934 — 32.

Sądzę, że w czasie żadnej z wojen rosyjskich nie wyginęło 60 milionów owiec, 30 milionów krów i 17 milionów koni. Owa klęska gospodarcza została zdeterminowana wyłącznie aktem władzy ideologiczno-politycznej. Można się natomiast pocieszać, że ludzie wykazali większą odporność niż bydło rogate i nierogate — czystki bowiem nie pochłonęły 107 milionów ludzi.

W „Ekonomiczeskiej Gazetie" z 11.12.64. powiedziano, że „gospodarka tworzy obiektywną, materialną bazę polityki. Polityka wyrasta z ekonomii, ekonomia rozstrzyga o treści, kierunku, formach i metodach realizacji celów politycznych".

Czy istotnie tak jest?

W czasie wojny i bezpośrednio po wojnie chłopi w Związku Sowieckim, wszędzie gdzie było to możliwe powiększali swoje prywatne pola i przejmowali bydło z kołchozów ratując je od niechybnej śmierci głodowej. Ponieważ chodziło wówczas o zapewnienie dostaw żywności dla wojska i miast — partia nie tylko nie sprzeciwiała się owemu spontanicznemu procesowi uwłaszczenia chłopów, lecz przeciwnie, popierała całą operację. W Związku Sowieckim krążyły wówczas pogłoski — inspirowane prawdopodobnie przez partię — że po zwycięskiej wojnie przymusowa kolektywizacja zostanie zniesiona.

Istotnie powojenna sytuacja stwarzała wyjątkowo korzystne warunki do podjęcia radykalnej reformy systemu rolnego w Sowietach. Jednak już w r. 1946 uchwała KC narzuciła przymusową re-kolektywizację którą przeprowadzono z całą bezwzględnością.

Czy istotnie ekonomia decyduje o kierunku, formach i metodach polityki?

Według sowieckich danych statystycznych, prywatne półka chłopów stanowią nieco mniej niż 4% ogółu ziemi uprawnej. Jednak owe 4% produkują 46 procent ogólnej produkcji mięsa, 78 procent ogólnej produkcji jaj, 45 procent ogólnej produkcji jarzyn itp. itp.

Według danych Sowieckiego Instytutu Ekonomii Rolnej chłopi ze swych prywatnych poletek wydobywają 40 procent swych dochodów. Z punktu widzenia chłopa ogół skolektywizowanej powierzchni rolnej reprezentuje nie wiele więcej niż 4 procent w prywatnych rękach.

Sowiecki system rolny porównać można z induskimi krowami, których się nie zabija dla mięsa nawet w okresach głodu ponieważ są „święte".

W tym wypadku (jak i w wielu innych) nie ekonomia decyduje o kierunkach i metodach polityki lecz odwrotnie, ideologiczna polityka decyduje arbitralnie o kierunkach i metodach ekonomii.

Kolektywizacja, z punktu widzenia gospodarczego, jest nierentowna a z punktu widzenia społecznego jest krzywdząca, ponieważ stoi w jawnej sprzeczności z interesami chłopa jako producenta i społeczeństwa jako konsumenta. Więc komu potrzebna jest ta „święta krowa"? Odpowiedź na to pytanie zawiera programowa deklaracja Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego z roku 1961: „Kołchoz jest szkołą komunizmu dla chłopów".

Krótko, węzłowato i zgodnie z prawdą. Celu kolektywizacji istotnie nie można inaczej określić ponieważ kołchoz nie ma i nie może mieć innego celu. System kołchoźniczy rozpatrywany poza kontekstem ideologii komunistycznej jest bezcelowym nonsensem.

Cóż więc należy rozumieć przez „obiektywne warunki"? Dla sowieckiego chłopa nie przyroda plus gospodarka tworzą obiektywne warunki lecz ideologia plus polityka. Dogmatyka komunistyczna obrabowuje go z jego własnej ziemi.

Nie należy jednak lekceważyć cytowanej powyżej wypowiedzi w „Ekonomiczeskiej Gazetie". Hasło głoszące, że ekonomia rozstrzyga o treści i metodach polityki — było i jest „krzykiem serca" wszystkich menadżerów przemysłowych bez względu na ustrój i ideologię. Menadżerowie popierają zawsze politykę, która najpełniej służy interesom przez nich reprezentowanym.

Czy zrealizowano kiedykolwiek ideał „ekonomii rozstrzygającej o treści i metodach polityki"?

Wydaje mi się, że ów ideał zrealizowano w wysoko uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych zachodniej Europy w latach trzydziestych bieżącego stulecia. Weźmy dla przykładu historię miasta Jarrow. Na skutek decyzji prywatnych menadżerów przemysłowych Jarrow obumarło. Zamknięto stocznię, która dostarczała pracy i chleba niemal wszystkim mieszkańcom miasteczka i odmówiono zezwolenia na budowę huty stali. Demonstracje, głodowe pochody robotników, apele, akcja prasowa nie przyniosły rezultatu. Rząd odmówił interwencji ponieważ w owym czasie kapitalistyczna ekonomia decydowała w pełni o „treści i metodach polityki". Z punktu widzenia gospodarczego decyzje w sprawie Jarrow były logiczne. W kontekście czysto kapitalistycznej ekonomii jedynym decydującym czynnikiem jest zysk. Motyw zysku zadecydował zarówno o zamknięciu stoczni jak i o odmowie zezwolenia na budowę stalowni. (Miastu Jarrow poświęcona jest książ-

ka: Ellen Wilkinson „The Town that was Murdered", Gollancz, London).

Istnieje ścisła analogia pomiędzy ekonomią podporządkowaną wyłącznie motywowi zysku a ekonomią podporządkowaną wyłącznie dogmatowi ideologicznemu. Oba systemy w swych krańcowych formach nie biorą pod uwagę interesów społeczeństwa.

Dokładnie w tym samym czasie w którym dla motywu zysku zamordowano Jarrow — w Rosji Sowieckiej dla motywu ideologicznego zamordowano rolnictwo. Wieś sowiecka była Jarrow podniesionym do N-tej potęgi.

Dla człowieka, który traci pracę na skutek likwidacji stoczni, czy na skutek konfiskaty gospodarstwa rolnego — jest zupełnie obojętne czy sprawcami jego nieszczęścia są kapitaliści opętani motywem zysku czy dogmatycy opętani ideologią. Dla społeczeństwa nie jest żadną korzyścią ani żadną zmianą na lepsze gdy zysk zostaje zastąpiony dogmatem. Doświadczenia wykazały, że ci, którzy wyzyskują w imię dogmatu czynią to równie bezwzględnie jak ci, którzy wyzyskiwali niegdyś w imię prywatnego zysku.

Dziś tragedia Jarrow nie mogłaby się wydarzyć, ponieważ model ustrojowy W. Brytanii uwzględnia interesy społeczeństwa w nieporównanie większym stopniu niż 35 lat temu. W ustroju „ekonomii mieszanej" motyw zysku nie może stać w jawnej sprzeczności z interesami żadnej z grup społecznych. Kapitaliści w przeważającej mierze utracili władzę na rzecz państwa, które ponosi dziś odpowiedzialność za pełne zatrudnienie, rozwój gospodarczy i podział dochodów.

W Rosji Sowieckiej jest jeszcze ciągle możliwe poświęcać interesy licznej grupy społecznej dla dogmatu. Pozycja dogmatyków w krajach Europy wschodniej jest niepomiernie silniejsza niż pozycja kapitalistów na Zachodzie. W sensie kierowniczej władzy spadkobiercą kapitalistów jest państwo. Kto będzie spadkobiercą dogmatyków?

Gospodarka danego narodu w ostatecznym rozrachunku winna służyć interesom społeczeństwa nawet wówczas, gdy istotny interes społeczny zaspokoić można tylko za cenę odstępstwa od zasady rentowności względnie za cenę odstępstwa od litery dogmatu.

To są truizmy. Potrzebowaliśmy jednak 150 lat i dwóch rewolucji przemysłowych by dojść do pierwszego w dziejach „Welfare State", któremu daleko do doskonałości. Powyższa refleksja winna hamować nieco naszą niecierpliwość w stosunku do Rosjan, którzy w obecnej fazie ewolucji nie chcą uznać za oczywiste przesłanek, których i my zaledwie 35 lat temu nie uważaliśmy za oczywiste. A przecież owe truizmy były równie oczywiste 35 lat temu jak są dziś.

WYBORY PARTYJNE

Jednym z głównych „przywilejów" dyktatury jest możliwość reżyserowania wyborów. Ci sami ludzie wybierają tych samych ludzi i z czasem społeczeństwo zatraca zainteresowanie widowiskiem, którego rezultat jest z góry wiadomy. Tą samą procedurę powtarza się w wyborach do władz partyjnych. Partie sprawujące od lat władzę dyktatorską stoją przed trudnym dylematem: w jaki sposób przywrócić odnowicielską funkcję wybo-

rom, a równocześnie nie utracić monopolu władzy. W sensie praktycznym władzę sprawuje zwykle pewna określona grupa partyjna. W Związku Sowieckim władza spoczywa do tej pory w rękach ludzi, którzy wyszli ze stalinowskiej szkoły przywódczej. W Jugosławii komuniści, którzy byli partyzantami w oddziałach dowodzonych przez Titę — uważają, że posiadają większe tytuły do władzy niż ktokolwiek inny.

Polskiej partii komunistycznej brak jest legendy i „pierwszej kadrówki". Jej przywódcy byli uporczywie cywilami i jeżeli wierzyli w karabiny to nie w polskie. Władysław Gomułka i Franciszek Jóźwiak opuścili Warszawę ostatnim podmiejskim pociągiem jaki dotarł do Świdra. Następnego dnia (30.7.1944) Świder został zajęty przez armię sowiecką. Postanowiono jednak, że Bolesław Bierut i Franciszek Jóźwiak wrócą z Świdra do Warszawy. Lecz obaj wymienieni panowie „natknęli się na silny ogień karabinów maszynowych i musieli zawrócić". Zamiast w Warszawie, wylądowali następnego dnia w Lublinie. („Walki AL na Woli" — Dokumenty — Wyd. MON 1964).

Jakże inaczej wygląda legenda Tity choćby w zwierciadle wspomnień Fitzroy Maclean'a („Eastern Approaches").

Jest rzeczą interesującą i godną zanotowania, że właśnie w Jugosławii, gdzie pokolenie partyzanckie z Titą na czele jest jeszcze przy władzy — zerwano z tradycją dobrze nam znanych „Cudów nad Urną".

Jedno z najważniejszych postanowień nowego statutu partyjnego uchwalonego przez 8-my Kongres Ligi Komunistów Jugosławii (7-13 grudzień 1964) dotyczy zasady rotacji we wszystkich władzach partyjnych. Według nowego statutu do władz partyjnych — od Podstawowej Organizacji Partyjnej zacząwszy, a na Komitecie Centralnym skończywszy — przy każdorazowych wyborach musi wejść przynajmniej 25% nowych członków. Oznacza to, że jedna czwarta „wiarusów" musi odejść.

To jest przepis mądry, choć nie demokratyczny. Wyborcy partyjni choćby chcieli wybrać ten sam zarząd nie mogą obecnie tego uczynić. Lecz swobodę wyborcy ograniczają również specjalne przepisy i w świecie Zachodu. Nawet najwybitniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych obywatele amerykańscy nie mogą wybrać po raz trzeci.

System jugosłowiański ustanawiając przymusową odnowę władz partyjnych przy każdorazowych wyborach — otwiera drogę ewolucji. Wyborcy uzyskali bowiem możliwość stopniowego wprowadzania do władz partyjnych ludzi młodych i postępowo myślących. Zasada rotacji przeciwdziałać będzie skostnieniu partii.

W warunkach polskich przyjęcie jugosłowiańskiego modelu wyborczego stworzyłoby możliwości „awansu partyjnego" dla anty-dogmatyków. Po pewnym czasie postępowi antydogmatycy stanowiliby we władzach partyjnych silną frakcję wywierającą bezpośredni wpływ na politykę.

Jugosłowianie usiłują dopasować komunizm do wymagań nowoczesnego społeczeństwa. Czy im się to powiedzie — okaże przyszłość. W Polsce niestety — jak do tej pory — nie obserwujemy żadnych wysiłków w tym kierunku.

PREZERWATYWY A IDEOLOGIA

W poprzednim numerze „Kultury" ukazał się niezmiernie interesu-

jący artykuł Michała Chmielowca pt. „Bomby, Prezerwatywy i Żonaci Księża".

Ograniczenie urodzin, przerywanie ciąży itp. — można rozpatrywać z różnych punktów widzenia.

Robert Cook, prezydent „The U.S. Population Reference Bureau" — w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi British United Press stwierdził, że nie Indie i nie Chiny, jak się ogólnie przypuszcza, lecz północna część Południowej Ameryki stanowi najczynniejszy wulkan populacyjny świata. Ludność tej strefy licząca 121.000.000 mieszkańców pomnaża się o 3,2% w stosunku rocznym i ulegnie podwojeniu w roku 1986.

Przyczyną owej eksplozji ludnościowej jest zachwianie równowagi pomiędzy cyfrą urodzin a cyfrą zgonów. Cyfra urodzin na 1000 mieszkańców (rocznie) wynosi 41-50, podczas gdy cyfra zgonów na 1000 mieszkańców (rocznie) waha się pomiędzy 10 a 15. W rezultacie, niemal połowa ludności cytowanej strefy składa się z dzieci poniżej lat 15-tu.

Pigułki zwalczające choroby i zmniejszające wydatnie śmiertelność są przez kościół dozwolone — natomiast pigułki, które zmniejszyłyby wydatnie cyfrę urodzin są przez kościół niedozwolone.

W przeszłości, kiedy śmiertelność niemowląt wyrażała się w astronomicznych cyfrach, kiedy w stosunku do 80% chorób medycyna była bezsilna — stanowisko kościoła w sprawie zapobiegania ciąży było identyczne jak dziś, kiedy śmiertelność niemowląt spadła niemal do zera a perspektywy przeżycia na przestrzeni ostatnich 150 lat uległy niemal podwojeniu.

Robert Cook, wielki autorytet w tej dziedzinie — w cytowanym wywiadzie oświadczył, że dopóki prawidłowa równowaga pomiędzy cyframi urodzin i zgonów nie zostanie przywrócona — wszystkie plany gospodarcze i społeczne omawianych krajów są mrzonkami nie do zrealizowania.

Innymi słowy, podstawowy problem, który w danym wypadku uniemożliwia postęp gospodarczo-społeczny — w ramach ideologii katolickiej jest nie do rozwiązania. Ten sam problem w ramach ideologii marksistowskiej jest do rozwiązania.

Jeżeli wolno zabijać miliony ludzi w tzw. „słusznej wojnie", jeżeli wolno zabić człowieka w obronie własnej, czy w obronie bliźniego — o ileż bardziej logiczny wydawałby się pogląd, że wolno nie dopuścić do zawiązania się (nie istniejącego jeszcze) nowego życia w obronie już urodzonych i głodnych.

Zwalczanie głodu i niedostatku w skali światowej wymagać będzie planowania i kontroli nie tylko w sferze ekonomicznej lecz i populacyjnej. Jeżeli w tych dziedzinach krajom niedorozwiniętym a przeludnionym nie dopomoże Zachód — uczynią to komuniści, którzy nie mają skrupułów ani w wyborze metod startu przemysłowego ani w metodach gospodarowania materiałem ludzkim.

ŻYCIE I PARODIA

Ukazuje się sporo wartościowych książek, które krytyka emigracyjna kwituje pogardliwym milczeniem. Natomiast na temat mojej skromnej książki zabrali głos wszyscy od poważnych publicystów jak Pandora zacząwszy a na beztalenciach jak Wohnout skończywszy.

Pandora twierdzi, że geoideologia jest „geoiluzją". Gdyby polska geopolityka i geoideologia były rzeczywiście iluzją — z całą pewnością nie przebywalibyśmy od lat w Londynie zarówno ja, jak i mój szanowny krytyk.

Nasze zainteresowanie „rewizjonizmem" Pandora wiąże z „amerykańskim zamówieniem społecznym". Ta sama Pandora na łamach tychże samych „Wiadomości" (Nr 764) — twierdziła, że polityka „Kultury" „jest obiektywnym sukursem dla propagandy sowieckiej".

W sumie jesteśmy sukursantami propagandy sowieckiej, którzy spełniają amerykańskie zamówienia społeczne. Obawiam się, że ktoś z nas goni w piętkę.

Wszystkie rekordy pobił jednak Wohnout.

W numerze styczeń-luty br. w Kronice Angielskiej ukazał się mój felietonik pt. „Funduję Nagrodę Literacką". Redaktor „Kultury", by złagodzić „żądło satyry" — uczynił rzecz, której nigdy nie robi. Dopisał do felietonu ostatnie zdanie z którego wynika, że cała rzecz była tylko koszmarnym snem Londyńczyka.

Czytając felieton Wohnouta w londyńskim „Dzienniku Polskim" (25.2. br.) pokładałem się ze śmiechu. Oto mój rzekomy sen stał się rzeczywistością. Wohnout, bombasta wyjałowiony z humoru, lecz sam przekomiczny w swej prezesowskiej powadze — zjawił się na łamach „Dziennika" jak żywy, jakby nożyczkami wycięty z mojej parodii.

Prezes Wohnout wskoczył na scenę szopki londyńskiej i z namaszczoną powagą wszczął „zasadniczą dyskusję" na temat nagród literackich z moimi kukiełkami. W ten sposób niezrównany prezes stworzył realną ilustrację dla szopki Londyńczyka. Parodia była tak bliska rzeczywistości, że Wohnout mógł wystąpić w niej bez żadnej charakteryzacji.

Prezes-kukiełka w cytowanym felietonie wywodzi potoczyście:

—„Zanim pozwolimy Londyńczykowi wypalić po raz trzeci kulą w płot, wyjaśnijmy jak to naprawdę było z Herlingiem? Drugi punkt przeciw Londyńczykowi! Herling, rzec można, to „dziecko" literackiego Londynu. Na samym progu jego pisarskiej kariery stąd, z Londynu wyciągnęła się do niego przyjacielska dłoń. Jako jednemu z pierwszych i na pewno jednemu z najbardziej na to wyróżnienie zasługujących, właśnie Herlingowi Związek przyznał przed laty Nagrodę Młodych".

To jest dopiero prawdziwa parada parodii. Nieoceniony prezes „wyciągnął przyjacielską dłoń" do Herlinga a Związek Pisarzy „jako jednemu z najbardziej na to wyróżnienie zasługujących przyznał Nagrodę Młodych".

Zapytajmy słowami Woynouta: „Jak to naprawdę było z Herlingiem?"

Gustaw Herling-Grudziński w liście do mnie z dnia 2 marca 1965 r. pisze dosłownie:

„Wyjaśniam, że nigdy nie dostałem Nagrody Młodych Związku Pisarzy, i o ile wiem, nigdy taka nagroda nie istniała. W Londynie przyznano mi niegdyś nagrodę SPK za najlepszą książkę polską wydaną w języku *obcym*".

Zaiste trudno jest nie napisać satyry! — jak mawiali starożytni Rzymianie.

Śliczny prezes Związku Pisarzy, który nie wie jakie istnieją nagrody w Związku Pisarzy i komu zostały przyznane, względnie nie przyznane.

Owe grafomańskie wygibasy o „dziecku" literackiego Londynu i o „przyjacielskiej dłoni na progu literackiej kariery" — to nie jest nawet trafienie kulą w płot. To jest klasyczny epizod z londyńskiej szopki literackiej z prezesem w roli głównej.

W sumie, nie Herlingowi lecz Wohnoutowi brakło niestety „przyjacielskiej dłoni", która by jego płody literackie wrzuciła miłosiernie do kosza.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Ilość cudzoziemców oficjalnie zatrudnionych w Niemczech Zachodnich przekroczyła milion. Ale oprócz oficjalnie zakontraktowanych pracuje co najmniej jeszcze pięćdziesiąt tysięcy obcokrajowców nielegalnie tu sprowadzonych. Powstał nawet dość intratny nowy proceder, polegający na przywożeniu „turystów", zwłaszcza z Bliskiego Wschodu, i na pobieraniu opłat od łebka zarówno od pracodawców, jak i od „turystów", pozostających w Niemczech.

Proceder ten, mimo licznych zatargów z prawem, nieźle się rozwija. Pracodawcy chętnie opłacają taki rodzaj pośrednictwa, „turyści" czasem się trochę buntują, ale przeważnie też płacą. Sądy, policja i władze administracyjne trochę się skarżą, ale handel idzie i „turyści" na ogół dość szybko legalizują swój pobyt w Niemczech.

Na tym tle specjalnej wymowy nabierają wypowiedzi Sebastiana Haffnera, pisane latem ubiegłego roku („Stern" Nr 31 — 1964) z okazji polemiki wokół wykładów profesora Golo Manna i w obronie tez głoszonych przez tego wybitnego historyka.

„Przypuśćmy — pisze Haffner — że stał się cud i że Cztery Mocarstwa nagle zdecydowały się przywrócić Niemcom granice z 1937 roku i że Polacy bez sprzeciwu opuścili Pomorze, Śląsk i Prusy Wschodnie, dając wysiedlonym Niemcom możność dowolnego powrotu. Gdyby do tego doszło, byłaby to dla Niemiec istna katastrofa. Skończyłby się cud gospodarczy, a Republice Związkowej zadano by groźny cios i spowodowano by ogólny upadek.

Dzisiejsza gospodarka, z której żyjemy wszyscy, włącznie z wysiedleńcami, choruje na brak ludzi. By utrzymać się na poziomie, zatrudnia milion cudzoziemców. Gdyby z niej wyłączyć tylko dwa i pół miliona członków Stowarzyszeń Wysiedleńczych, stanowiłoby to nieuleczalną utratę sił. Gdyby całe siedem milionów Niemców ze wschodnich terenów powróciło do dawnych siedzib — wywołałoby to całkowite załamanie gospodarcze.

Faktem jest, że wysiedleńcy są w swych nowych siedzibach o wiele produktywniej zatrudnieni niż w dawnych. Są dla całości Niemiec, a często i dla siebie samych, zajęci o wiele korzystniej i zyskowniej niż kiedyś. Można jednak powiedzieć: bogactwo to nie wszystko. Być może, bylibyśmy szczęś-

liwsi, gdyby się nie stało, to co się stało, i gdybyśmy trochę biedniejsi siedzieli w swych dawnych pieleszach. Możliwe! Jednak „to" się stało i obecnie nie można się cofnąć do stanu poprzedniego bez spowodowania ogólnej ruiny.

Cud gospodarczy jest czymś podobnym do tygrysa, z którego — raz go dosiadłszy — nie można zsiąść. Z sytuacji, w której 57 milionów Niemców, w czym 10 milionów wysiedleńców i 3 miliony uchodźców z Zony Sowieckiej, rozbudowało tak rozwiniętą i wrażliwą gospodarkę, z sytuacji, w której wszyscy żyjemy — i to dobrze żyjemy — nie ma powrotu. Jeżeli 10 milionów zechciałoby teraz odskoczyć, by cofnąć się do 1937 roku, byłby to koniec. Dla wszystkich!

Dlatego żądanie granic z 1937 roku nie ma żadnych widoków realizacji, jest wątpliwe moralnie i pozbawione politycznego rozsądku. Niemcy bezmyślnie żądają czegoś, co byłoby dla nich istną trucizną".

Tak realistyczne rozważania, nie tylko Haffnera, drukowane w pismach o wielosettysięcznych nakładach, wywołują jeszcze sprzeciwy niezłomnych, jednak już nie powodują żądań, by autorów zamykano do kryminału, choć zaledwie trzy lata temu, krajowy minister Schellhaus z urzędowej trybuny domagał się prawa karzącego więzieniem Niemców głoszących podobne „herezje".

W ciągu tych trzech lat Schellhaus znikł z areny politycznej i tonie w zapomnieniu. Mimo to teoria uporczywego domagania się granic z 1937 roku wciąż jeszcze stanowi podstawę polityki wschodniej Niemiec Zachodnich.

◆

Ponad milion cudzoziemców, zatrudnionych w przemyśle niemieckim, zapewne stanowi także jedną z przyczyn wznowienia rokowań koncernu Kruppa z Warszawą. Rokowania te budzą po obu stronach kurtyny wielkie zainteresowanie, gdyż niewątpliwie wykraczają bardzo daleko poza ramy wyłącznie gospodarczych rozważań. Nowością w obecnych rokowaniach jest — nazwijmy to tak — uprywatnienie poczynań Kruppa. Nauczony przykrym doświadczeniem *(Kultura* nr 6/176) pełnomocnik Berthold Beitz unika teraz nawet pozorów koordynacji swych planów z oficjalną polityką w Bonn.

W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Die Zeit" Beitz podkreślił, że nie potrzebuje niczyjego błogosławieństwa. Jednocześnie z wywiadu wynika, że plany i poczynania Beitza znajdują przychylne zrozumienie za oceanem. Dla nas ciekawostką tego wywiadu jest następujący szczegół dialogu:

— *„Die Zeit"* — Oświadczył Pan, że nie życzy sobie, by projektowane zakłady produkcyjne montowano na terenach zarządzanych przez Polskę, a do których Niemcy zgłaszają swe roszczenia.

— *B. Beitz* — Otrzymałem cały szereg listów zalecających aby Krupp budował zakłady w Szczecinie, lub we Wrocławiu. My jednak pragniemy uniknąć wszystkiego, co mogłoby jedną lub drugą stronę sprowokować do błędnej interpretacji. ...Nieco dalej Beitz dodał: W pertraktacjach Polacy zaproponowali Warszawę, lub jej okolice. To miasto posiada wystarczający rezerwuar fachowych robotników i dogodne warunki życiowe dla naszych ludzi.

Dalsze losy pertraktacji nie dadzą się przewidzieć. Po wschodniej stronie wzmagają się zastrzeżenia. Po zachodniej — ów „szereg listów zalecających" też ma specyficzną wymowę, mimo bardzo samodzielnego działania firmy Krupp. Ale jedno jest pewne: tak pomyślna konstelacja personalna kontrahentów po obu stronach jest niepowtarzalnym zbiegiem sprzyjających okoliczności.

Wytrwałość, z jaką koncern usiłuje sfinalizować umowę, zdaje się potwierdzać kursującą już od lat pogłoskę, że sam Alfred Krupp von Bohlen und Halbach — po dramatycznych przeżyciach w czasie Procesu Norymberskiego — stawia sobie wyższe cele niż tylko pomnażanie swego wielomiliardowego majątku.

Czy plany Kruppa, ziszczą się choćby w jakiejś skromniejszej skali, dopiero przyszłość pokaże. Na razie widoczne jest, że dogmatyzm wschodni i bezwład polityczny mogą okazać się nieprzezwyciężalnymi przeszkodami. Nawet dla Cyrankiewicza i koncernu Kruppa.

◆

List Deutschlandfunku do redakcji „Kultury", wydrukowany w numerze 3/209, zmusza mnie do wyjaśnień.

— Czytelnicy polscy, znając od dawna intencję moich „przeglądów niemieckich" znają i uprzednie notatki tyczące Deutschlandfunku. Z pewnością zrozumieli moją styczniową wypowiedź tak, jak ją należało zrozumieć. Dla nich więc dodaję, że nic się od stycznia nie zmieniło: audycje są bardzo poprawne, czasami przeraźliwie poprawne tekstowo, ale nie odpowiadają moim optymistycznym nadziejom wyrażonym w „przeglądach" nr 10/192 i 3/197.

— Niemieckim przyjaciołom pragnę wyjaśnić, że nie odejście p. Nasarskiego, lecz treść i skutki audycji Deutschlandfunku były i są dla mnie istotne. Przypisywane mi zajmowanie się „sprawą odejścia p. Nasarskiego" jest nieporozumieniem. Audycje Deutschlandfunku zawiodły moje oczekiwania, powstałe po rozmowach ze śp. K.H. Fenske i jego następcą, po wywiadzie udzielonym „Kulturze" przez p. Viehövera i po rozmowach w polskiej redakcji Deutschlandfunku (20 stycznia r.ub.).

Powiadomienie polskich czytelników o doznanym zawodzie uważałem za obowiązek korespondenta „Kultury" i to było głównym celem mojej styczniowej notatki. Odnośnie kryzysu rządowego w Republice Związkowej — nie zmieniam wyrażonego w styczniu zdania. Natomiast, czy obecne audycje są peryferyjnym skutkiem tego kryzysu, czy marginesowym dowodem jego istnienia, to dla słuchaczy tych audycji ma małe znaczenie.

Pod adresem Deutschlandfunku oświadczam: Zadaniem moim jest informowanie czytelników „Kultury" o wszelkich przejawach, dodatnich i ujemnych, jakie spostrzegam w Niemczech w stosunku do spraw polskich.

Moja styczniowa notatka, wynikła z obserwacji polskich audycji Deutschlandfunku, z której obecnie (pierwsze dni marca) nic ująć nie mogę, właśnie w myśl „obiektywnego poinformowania czytelników" — jak tego żąda Deutschlandfunk w liście do „Kultury".

S.W. KOZŁOWSKI

" BIBLIOTEKA POLSKA "

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"
W LONDYNIE

ogłasza plan wydawniczy
i przedpłatę

NA ROK 1965

SUMA TEOLOGICZNA

TRAKTATY:

		Cena
O SPRAWNOŚCIACH (I-II, zag. 49-70). Przekład i objaśnienia o.W.F. Bednarski, O.P.	do końca kwietnia	20/-; dol. am. 3,00
O WADACH I GRZECHACH (I-II, zag. 71-89). Przekład i objaśnienia o.W.F. Bednarski, O.P.	do 31 lipca	20/-; dol. 3,00
O WIERZE I NADZIEI (II-II 1-22) Przekład i objaśnienia o. Pius Bełch, O.P.	do 30 listopada	20/-; dol. 3,00
O MIŁOŚCI (II-II, zag. 23-46). Przekład i objaśnienia ks. Andrzej Głażewski	do 31 grudnia	18/-; dol. 2,70

INNE SERIE

Zofia Bohdanowiczowa: PRZECIWIAJĄC SIĘ ŚWIESZCZOM. Tom wierszy pisanych w latach 1955-1965 ..	do 31 maja	15/-; dol. 2,25
Maria Winowska: PRAWDZIWE OBLICZE OJCA PIO. Reportaż o osobie, życiu i dziele słynnego stygmatyka włoskiego. Z ilustracjami ..	do 30 czerwca	15/; dol. 2,25
Paweł Łysek: PRZY GRANICY. Powieść regionalna z życia górali Beskidu Śląskiego	do 30 czerwca	15/-; dol. 2,25
Józef Zając: W SZKOCJI I NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE. Tom II wspomnień z ostatniej wojny ..	do 31 października	30/-; dol. 4,50
Witold Dzięcioł: JÓZEF FLAWIUSZ — HISTORYK ŻYDOWSKI. Źródłowa, ale w popularnym ujęciu monografia głośnego historyka narodu żydowskiego, potwierdzająca zapisy Ewangelistów. Książka ukazuje się w 2000 lat od utracenia przez Żydów niepodległości. Dzieło młodego historyka polskiego ze Stanów Zjedn. ..	do 31 grudnia	18/-; dol. 2,70

Wszystkie podane ceny t y l k o w przedpłacie, do dnia oznaczonego przy każdym tomie. W handlu księgarskim o jedną trzecią wyższe. Szczegółowy opis wymienionych tomów na żądanie bezpłatnie.

Wpłaty i zamówienia prosimy kierować: VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE, 12, Praed Mews, London W.2.

Cienie nad Australią

Nie spodziewałem się tak szczególnego wyróżnienia, żeby aż 9 cennych stron „Kultury" poświęcić mej osobie i redagowanemu przeze mnie prowincjonalnemu pismu emigracyjnemu. Mam na myśli artykuł p. Z. Jasińskiego („Cień Frankowskiego w Australii"), zamieszczony w nr. 11/205 (listopad 1964). Wprawdzie artykuł ten nie przynosi ani melburneńskiemu „Tygodnikowi Katolickiemu", ani mnie, jako jego redaktorowi, dobrej sławy, jednak spełni prawdopodobnie rolę przysłowiowego kija wetkniętego w mrowisko. Może to „polskiej" Australii wyjdzie na dobre — kto wie...

Wizyta dra Frankowskiego w Australii

Dużo, prawdopodobnie za dużo, zrobiono szumu dokoła australijskiej wizyty dra J. Frankowskiego, prezesa Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego — marionetkowego ugrupowania „katolickiego" w sejmie Polski Ludowej, wydawcy tygodnika „Za i przeciw" oraz niby-katolickiego „Hejnału Mariackiego", którego zadaniem jest mydlenie oczu czytelnikowi na emigracji przez stwarzanie wrażenia, jakoby Kościół katolicki w Polsce miał normalne warunki istnienia i rozwoju.

Rolę i działalność dra Frankowskiego i jego grupy naświetliłem w dużym artykule (ok. 1300 słów), który ukazał się w „Tygodniku Katolickim" w tydzień po przyjeździe dra Frankowskiego do Australii i po jego „występach" w Sydney. W trzy tygodnie później (pod koniec pobytu dra Frankowskiego w Australii) zamieściłem spisaną na gorąco obszerną relację (ok. 2000 słów) z mej rozmowy z dr. Frankowskim, gdy odwiedził redakcję „Tygodnika". Przebieg tej rozmowy oraz obszerny i udokumentowany mój komentarz do wypowiedzi dra Frankowskiego nie mo-

gły nikomu pozostawić wątpliwości, kim jest ów „działacz katolicki".

Były to jedyne publikacje-przestrogi, jakie ukazały się w tym czasie w polskiej prasie w Australii. Podkreślam to z naciskiem, bowiem p. Jasiński zbył to półtorawierszową wzmianką, utopioną w 9-stronicowym artykule, w którym stara się udowodnić, jaką to niesławną rolę odegrał „Tygodnik Katolicki" w tzw. „aferze Frankowskiego".

Dopiero w półtora miesiąca później inne pismo polskie rozpoczęło druk cyklu artykułów p. M. Iwańczaka. Artykuł-oskarżenie p. Jasińskiego sprowadza się do zarzutu, że „Tygodnik Katolicki" nie tylko „nie włączył się" do rewelacji p. Iwańczaka, ale ponadto odmówił p. Jasińskiemu opublikowania jego listu otwartego w sprawie tegoż p. Iwańczaka. Skoro już to „oskarżenie" ukazało się na łamach „Kultury", nie pozostaje mi nic innego, jak przedstawić jej czytelnikom istotny stan rzeczy.

Afera p. Iwańczaka

Publikacja artykułów p. Iwańczaka i licznych artykułów i komentarzy redakcyjnych na ten sam temat trwała blisko rok i posiadała wszelkie znamiona niezdrowej sensacji. Była to mieszanina plotek i insynuacji, półprawd i domysłów, cytowania fikcyjnych rozmów i powoływania się na anonimowych świadków, rzucania gromów i oskarżeń na nie wymienionych z nazwiska działaczy. Skutek tego rodzaju publikacji mógł być tylko jeden: Jeżeli istotnie dr Frankowski przybył do Australii z jakąkolwiek „misją", nic nie wskazuje na to, ażeby cośkolwiek wskórał; natomiast jeżeli „misją" tą miało być wprowadzenie zamieszania i dysonansów oraz spowodowanie kryzysu zaufania w łonie społeczności polskiej w Australii, a w szczególności poderwanie zaufania do polskich czynników społecznych — zadanie to z powodzeniem wywołały wspomniane wyżej publikacje, niezależnie od intencji ich autorów.

Milczenie „Tygodnika Katolickiego"

W pół roku później p. Jasiński prosił mnie o opublikowanie w „Tygodniku Katolickim" „listu otwartego do Kolegów po piórze, zrzeszonych w Związku Dziennikarzy R.P. Syndykat Australia" (p. Jasiński nie jest członkiem Związku) o zrewidowanie orzeczenia w sprawie Iwańczaka. Jako podstawę swej interwencji p. Jasiński podał: „Zadałem sobie trud przeczytania, z uwagą i skupieniem, wszystkich inkryminowanych publikacji osądzonego autora — i nie umiem dopatrzeć się w nich owego sprzeniewierzenia się etyce dziennikarskiej".

Odmówiłem p. Jasińskiemu opublikowania jego „listu otwar-

tego" z następujących powodów: 1) W sprawie orzeczenia p. Iwańczak miał prawo odwołania się do walnego zebrania Związku Dziennikarzy lub nawet do zarządu głównego Związku Dziennikarzy R.P. w Londynie — z prawa tego nie skorzystał. 2) Kwalifikowanie pod względem etycznym publikacji dziennikarza będącego członkiem Związku Dziennikarzy należy — w oparciu o prawnie powzięte w tej sprawie postanowienia — do kompetencji zarządu Związku. 3) Osoby postronne mogą mieć pod tym względem inne zdanie, ale ponieważ nie znają przebiegu rozprawy, opinia ich najczęściej nie jest oparta na rzeczowych podstawach, lecz ma podłoże emocjonalne lub nawet — opierając się na jednostronnych relacjach — subiektywne. 4) P. Jasiński miał możność przesłania swego listu bezpośrednio do zarządu Związku (co też ostatecznie uczynił). 5) Opublikowanie owego listu na łamach prasy byłoby z dużą słusznością poczytane za dalszy krok na drodze do podważania autorytetu organizacyj i instytucyj powołanych do życia przez nas samych.

Sprawa odżyła ponownie, gdy w „Tygodniku Katolickim" — przy innej okazji — ukazał się mój artykuł piętnujący niewłaściwe zachowanie się pewnego przewodniczącego zebrania który, nadużywając swego stanowiska, w oburzający sposób dyskredytował w oczach zebranych zasłużonego działacza społecznego za to tylko, że ośmielił się on mieć inne zdanie niż większość zebranych, mianowicie kategorycznie sprzeciwił się usankcjonowaniu używania podręczników i pisemek krajowych w polskich szkołach sobotnich w Australii. Nie poruszam w tej chwili meritum dyskutowanej sprawy; stając w obronie skrzywdzonego delegata, w artykule „Trzy akcenty Zjazdu Oświatowego" („Tygodnik Katolicki", 5.9.1964) napisałem:

„W ustroju demokratycznym prawo mniejszości do wygłaszania swej opinii jest zagwarantowane i musi być respektowane. Więcej: tej mniejszości nie może dziać się z tego powodu żadna krzywda!"

Powołując się na powyższe, p. Iwańczak — zresztą działając w porozumieniu z p. Jasińskim — ponownie powrócił do swego zatargu ze Związkiem Dziennikarzy. Nadesłał mi w tej sprawie list, prosząc o opublikowanie go, aby „poinformować opinię publiczną o następujących faktach". Ponieważ autentyczność wielu przytoczonych przez p. Iwańczaka „faktów" nastręczała wątpliwości, przeto przed powzięciem decyzji co do publikacji jego listu i aby nabrać przekonania, że autor istotnie został „skrzywdzony" — poprosiłem go o udzielenie kilku dodatkowych wyjaśnień. P. Iwańczak odpisał mi, że wcale nie zapraszał mnie na arbitra w tej sprawie i wszelkich wyjaśnień odmówił, motywując tym, że „treść listu podpisał własnym imieniem i nazwiskiem i za tę treść odpowiada". Ponieważ za treść publikacji w „Tygodniku Katolickim" ja również odpowiadam, przeto do ogłoszenia listu p. Iwańczaka nie doszło: p. Iwańczak list swój wycofał — przesyłając go u p r z e d n i o do „Kultury" z niezgodnym z prawdą komentarzem, jakobym odmówił publikacji.

Bilans strat

W powyższych, bardzo skondensowanych wyjaśnieniach pominąłem zupełnie tło tak wyczerpująco przez p. Jasińskiego opisanych wydarzeń. Mam nadzieję, że poniższe uwagi przyczynią się do lepszego zrozumienia spraw „australijskich" przez pozaaustralijskiego czytelnika „Kultury".

Emigracja polska w Australii nie należy do najzdrowszych. Żeby postawić jak najogólniejszą diagnozę: toczy ją rak dobrobytu. Łatwa do zdobycia zamożność kładzie się cieniem na wszyskich dziedzinach polskiej działalności. „Co mi to da?" — jest standartowym probierzem w stosunku do każdego zagadnienia. Ponieważ „nic mi nie da" należenie do polskiej organizacji — więc się od nich stroni; ponieważ „chcę wychować swego syna na Australijczyka, żeby nie miał tak trudnego życia, jakie ja miałem" — więc nie posyła się dziecka do polskiej szkoły sobotniej; „gazeta polska kosztuje szylinga, a australijska tylko 4 pensy i o ile w niej więcej wiadomości i ile więcej papieru!" — więc się gazety polskiej nie kupuje; albo jeszcze gorzej: „z Polski przysyłają mi kolorowe gazety za darmo, to po co mam płacić szylinga za to mizerne tutejsze polskie pisemko".

To jest lapidarna charakterystyka narzuconego dobrobytem i wygodą zobojętnienia wobec spraw polskich, widocznego u 85% rodaków. Tutejszy styl życia robi swoje: wieczory przy telewizji, weekendy w samochodzie — już nie ma czasu na nic innego. W tych 85% znajduje się również poważna część polskiej inteligencji, która swoimi drogami weszła w życie australijskie i zatraciła związki z polskością. Pomyśleć, że to wszystko stało się na przestrzeni kilkunastu zaledwie lat!

Pozostałe 15% — to nieliczna garstka ludzi ideowych, nieco większa działaczy społecznych, z upodobania lub z zasiedzenia czy wreszcie upolowanych drogą perswazji, oraz kilkutysięczny zastęp uczestników polskich nabożeństw, prenumeratorów polskich pism, uczestników akademii narodowych, nieczynnych członków polskich organizacji, często ofiarnych na polskie cele, ale nie zawsze płacących groszowe roczne składki.

W takich warunkach zaczęło się budować to, pożal się Boże, tutejsze zorganizowane życie polskie. Ile to kosztowało trudu, ile ślepej wiary, że to jest potrzebne, ile poświęcenia (i doraźnych strat materialnych) swego prywatnego startu życiowego, ile niepotrzebnych walk, nieodzownych przy naszych polskich temperamentach i naszych wadach i przywarach narodowych, ile niepotrzebnych intryg i rywalizacji osobistych i społecznych, ile knowań i kopania dołów i dołków, ile opadań rąk, ile zniechęceń, ile zmarnowanych wysiłków i podeptanych osiągnięć — ten tylko może należycie ocenić, kto to wszystko przetrwał, przez to wszystko przeszedł, wytrzymał, zobojętniał na policzki i ciosy rodaków i ciągnie nadal polską taczkę. W jednych ośrodkach było to wszystko bardziej jaskrawe, w innych przytłumione, nie rzucające się w oczy — ale było wszędzie.

Kto przetrwał, stał się wygą, wyjadaczem społecznym, znającym na wylot np. przebieg walnego zebrania, choć ono... odbędzie się dopiero za tydzień. Ci wyjadacze pracują z jakiegoś nakazu wewnętrznego, czasem po prostu z przyzwyczajenia, niepomni na to, że ktoś kiedyś ich nazwie „polującymi na zaszczyty", „złodziejami mienia społecznego", „zdrajcami sprawy polskiej" czy po prostu „faszystami". Jedni z nich stali się cynikami, inni własnego chowu dyktatorami, jeszcze inni trzymają się uporczywie piastowanych funkcji dla zaspokojenia ambicji, choć wiadomo, że do wykonywania powierzonych im zadań nie dorośli. „Polowanie na zaszczyty" szybko wyszło z mody, gdy okazało się, że niemal nie ma współubiegających się o nie; każdy niemal „zarząd" wybiera się pod presją, bo „robota musi iść, a jak ty funkcji nie przyjmiesz, to kogo innego na to miejsce nie ma i wszystko się zawali". Tak się to przepycha z kadencji na kadencję, w jednych organizacjach imituje się pracę, udaje się, że się coś robi — w innych, gdzie przypadkiem znaleźli się ludzie bardziej kompetentni czy ofiarni, są nawet osiągnięcia godne uznania.

Ludzie ci popełniają wiele błędów — ze zmęczenia, ze zdenerwowania, z rozgoryczenia, z braku czasu do namysłu, z braku umiejętności rozeznania i rozróżnienia, z braku przygotowania do zadań, jakie zrządzenie losu, ślepy traf czy przypadek im przydzieliły. Czy można ich za ich błędy potępiać?... Tak, ale pod warunkiem, że ma się w rezerwie innych — nawet może nie lepszych, ale innych. Nie, bo tych rezerw po prostu nie ma! Mimo walnych zebrań, absolutoriów, kadencyj — wybierani są na ogół ci sami ludzie, w praktyce: niemal dożywotnio. I jest ich ciągle zastraszająco mało, z każdym rokiem coraz mniej — co jest jednym ze źródeł błędów, zaniechań, ograniczonego działania, ciągłej improwizacji dostosowanej do chwilowych możliwości, do garnituru ludzi podejmujących się pracy na następny okres.

W konkluzji: Polonia australijska ma takie formy działania i takie osiągnięcia, na jakie ją stać. I na to nie ma lekarstwa. Nie pomogą doraźne alarmy publicystów — z próżnego i Salomon nie naleje.

„Krajowcy" i „podróżnicy"

Choć po krótce należy wspomnieć o posiłkach przybywających z kraju w ilości około półtora tysiąca ludzi rocznie. Większość z nich pozostaje na uboczu, szczególnie ci krytycznie nastawieni do reżymu i do komunizmu. Przywieźli ze sobą strach, zmęczenie i rezygnację — pragną przede wszystkim bezpieczeństwa i spokoju. Najaktywniejsi są ci, którym socrealizm wszedł w krew — oni przede wszystkim są prekursorami „nowych dróg" emigracji polskiej, sączą ciekawym i łatwowiernym słuchaczom jad dziwów o tej nowej, nieznanej, ludowej... Na ze-

braniach oni głównie monopolizują miłość ojczyzny i związki z macierzą i uważają za zaprzańców tych „niezachwianych", którzy im nie biją braw i nie wykazują entuzjazmu dla głoszonych przez nich haseł.

Sekundują im niedoświadczeni dziennikarze, wędrownicy na szlaku Polska-Australia, silący się na tzw. obiektywizm. Gdy piszą o Kościele, widzą jedynie „tłumy na nabożeństwach" i że „nikt za to ludzi nie aresztuje"... Oto typowy (autentyczny) kwiatek obiektywizmu — jeden z dziesiątków, jakie można znaleźć na łamach tutejszego pisma polskiego:

„Istnieje w Polsce dobrze rozbudowana sieć opieki społecznej i lekarskiej — jest zbiurokratyzowana, skrępowana licznymi, często nierealnymi przepisami, jest kosztowna dla państwa i niezawsze sprawna dla społeczeństwa, w wielkim stopniu opiera się na głodowych pensjach personelu służby zdrowia. Mimo wszystko, jest nieźle zorganizowana, działa na ogół sprawnie, dociera do najbardziej zacofanych i oddalonych wiosek, jest niezwykłym postępem dla bardzo poważnego odsetka ludności".

Łatwowierny czytelnik, łaknący potwierdzenia dla zasłyszanych od krajowców opowieści, nie dostrzega nonsensu wynikającego z zestawienia obu następujących po sobie przytoczonych powyżej zdań, lecz podziwia „obiektywność" autora i utwierdza się w opinii, że w Polsce Ludowej nie jest przecież tak źle.

O polskiej prasie — subiektywnie

Należy choć pobieżnie wspomnieć o prasie polskiej w Australii, jakkolwiek ze zrozumiałych względów trudno mi zabierać głos na ten temat i być obiektywnym.

Parokrotnie spotkałem się z poglądami, wypowiadanymi głównie przez zasiedziałych działaczy społecznych, że pisma polskie nie powinny być czynnikiem współbudującym rzeczywistość polską w Australii, lecz — lapidarnie określając — powinny mieć charakter „biuletynów społecznych". Wszelkie odchylenia od tej reguły uważane są bądź za „warcholstwo", bądź za tendencje do dyktatury. Nawet „zasady etyczne" nie są niektórym z tych panów obce! Niedawno jeden z nich, popierając w obecności kilku innych osób projekt kontroli nad publikacjami ukazującymi się w „Tygodniku Katolickim", z pełną powagą pouczał mnie, że moje zapewnienie o „poszukiwaniu prawdy" nie jest dla niego wystarczające, bowiem, nie każdą prawdę należy publikować"... Nikt z obecnych opinii tej się nie sprzeciwił...

W tej chwili (grudzień 1964) jedynym pismem w całej pełni niezależnym wydaje się być adelajdzka „Nasza Droga". Dla uniknięcia prawdopodobnych komentarzy pragnę stwierdzić, że duszpasterstwo polskie w Australii nigdy nie próbowało wywierać jakiegokolwiek wpływu ani na linię „Tygodnika Katolickiego", ani na treść jego publikacji. Tego rodzaju zakusy wysuwane są przez inne czynniki. Miejmy nadzieję, że w najbliższym

czasie i „Tygodnik Katolicki" (od stycznia pod zmienioną nazwą: „Tygodnik Polski") odzyska swą niezależność. Wbrew osądom p. Jasińskiego. „Tygodnik" nadal cieszy się poparciem i zaufaniem szerokich rzesz polskich w Australii, czego dowodem jest to, że na apel redakcji w sprawie zorganizowania własnej drukarni, na cel ten — w ciągu niespełna 5 miesięcy — uzbierało się ponad 2000 funtów w pożyczkach bezprocentowych i darach, które wpłynęły od setek osób.

Dużym poparciem czynników społecznych cieszy się trzecie pismo polskie, będące własnością jednej z organizacji społecznych. W tym piśmie może ukazać się pełny tekst przemówienia Gomułki, bez żadnego komentarza redakcyjnego, lub cała seria nie uzasadnionych i niewybrednych ataków osobistych (miało to miejsce przed paru laty — obecnie nastąpiła duża poprawa) — wszystko zostanie mu wybaczone, wybielone i pochwalone.

Najwyższy czynnik społeczny

Jak z tego wszystkiego można łatwo wywnioskować, oblicze polityczne emigracji polskiej w Australii zaciera się z każdym rokiem coraz bardziej. Przyczyn tego jest wiele — bodaj pierwszą i najważniejszą jest skłócenie „polskiego Londynu". Niemal równorzędną winę ponosi Prezydium Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, ograniczające do minimum swą działalność w dziedzinie politycznej, szczególnie na odcinku wewnętrznym. Ma ono dostateczny autorytet, ma konieczny mandat społeczny, ma prawo i obowiązek jak najczęstszego zajmowania stanowiska wobec wydarzeń w Kraju i przypominania o obowiązkach politycznych ciążących na emigracji — a społeczeństwo polskie w Australii ma prawo spodziewać się naświetleń i wskazówek od tegoż Prezydium, ponieważ nikt inny nie ma tytułu do takiego działania.

W większości wypadków Prezydium Rady Naczelnej zawiodło. Typowym przykładem jest osławiona wizyta dra Frankowskiego. Prezydium nie tylko nie ostrzegło społeczeństwa, nie tylko nie poinformowało go, jaką rolę polityczną odgrywa grupa dra Frankowskiego — ale ponadto popełniło w tej sprawie zasadniczy błąd, z którego wynikł cały łańcuch popełnionych następnie błędów. Równie smutnym i przekonywującym przykładem jest kompletne milczenie Prezydium w sprawie dramatycznego i odważnego wystąpienia 34 pisarzy krajowych, domagających się rozluźnienia więzów krępujących wolność słowa i myśli.

Wiadomo jest, że owo Prezydium, to mały, kilkuosobowy zespół — a w wielu działaniach po prostu jeden człowiek. Wiadomo, że nie najmłodszy, że poświęca się sprawom polskim bez reszty, że nie potrafi podołać wszystkiemu. Zgoda, ale musi umieć odróżnić rzeczy ważne od mniej ważnych. Czyż wszystkich trzeźwo myślących ludzi nie wprawił w osłupienie komunikat tegoż

Prezydium, że gdy w Sydney dojrzała sprawa utworzenia cmentarza polskiego, Związek Polski w Nowej Południowej Walii wydelegował do jej załatwienia... gen. Juliusza Kleeberga, prezesa Prezydium Rady Naczelnej!... Z przesyłanego od czasu do czasu do prasy diariusza czynności Prezydium z powodzeniem można skreślić czwartą część niepotrzebnych czynności, jak zaszczycanie lokalnych akademij lub przewodniczenie kilkuosobowym zebraniom. To marnotrawstwo czasu przynosi niepowetowaną stratę dziesiątkom tysięcy Polaków pozbawionych steru politycznego.

Aklamacja contra demokracja

Nie brak przykładów, że w polskiej pracy społecznej dzieje się źle. Z coraz większą łatwością idzie się na „zdrowy kompromis" tam, gdzie chodzi o zasady. I mnożące się, jak grzyby po deszczu, coraz częstsze objawy cynizmu. Przewodniczący nadużywając swego stanowiska postponuje delegata, który ośmielił się mieć inny pogląd, niż większość; działacz, specjalista od zagadnień młodzieżowych, pouczający redaktora, że nie jest wskazane pisanie każdej prawdy; działacz, specjalista od szkolnictwa sobotniego, oświadczył mi kiedyś: „wolę, żeby moje dziecko mówiło wiersz o Leninie po polsku, niż o Piłsudskim po angielsku"...

I tak dalej, i dalej. Wpływy specjalnie przeszkolonych lub nawet ideowych „krajowców" wzrastają z zebrania na zebranie. W sytuacjach kontrowersyjnych „trzy panie z Polski" biją „spontanicznie" brawo, podejmowane po dżentelmeńsku przez część starych „działaczy", poparte brawami ludzi niezorientowanych i i nie myślących samodzielnie — a takich zawsze jest większość! — i bojących się jak ognia wyróżnienia się, odchylenia od konformizmu. Tak oto aklamacje stały się grobem demokracji, bo nawet ludzie mający odmienne zdanie machają w końcu ręką i biją brawo wraz z innymi, aby się tylko nie wyróżniać.

Czy polska prasa zdaje egzamin?

Prasa mogłaby zdziałać wiele, ale u nas dziennikarze z prawdziwego zdarzenia parają się sprzedażą damskiej garderoby, organizowaniem wycieczek do Polski, w ogóle byznesem. Piszą nieliczni — palców jednej ręki wystarczy żeby ich policzyć. Prasie powodzi się najlepiej, gdy nie naraża się nikomu („Zgoda ze wszystkimi" — jak to zarzucił „Tygodnikowi" p. Jasiński, zapominając, że nie tak dawno pisał do mnie: „Człowieku, zastanów się, popatrz, ileś ty sobie wrogów narobił"...), a w szczególności czynnikom społecznym; wtedy redaktor czy kiwnie palcem w bucie, czy pojedzie do Europy — za wszystko jest chwalony i stawiany innym za wzór. U niektórych „odważnych" brak dzien-

nikarsko-redaktorskiego doświadczenia i umiaru powoduje, że doraźne wyskoki w najsłuszniejszej nawet sprawie mają posmak demagogii i błota, na co czytelnik na pewno zwróci uwagę i z niesmakiem odrzuca wszystko: demagogię, błoto i istotę zagadnienia. Takie wyskoki przynoszą więcej szkody niż korzyści.

Prócz tego trzeba pamiętać, że redakcje wszystkich pism polskich w Australii są jednoosobowe, że w większości wypadków borykają się z trudnościami finansowymi, bo tylko jeden redaktor dostał w prezencie pismo wraz z drukarnią (£ 1000 — to przecież za darmo), drugi ma trzecią część zadłużonej drukarni, a trzeci nie ma drukarni. Każdy z nich haruje do granic ludzkiej wytrzymałości, sam przygotowując do druku każdy numer, robiąc niezliczoną ilość korekt i makiet, projektując ogłoszenia, układając krzyżówki, odpisując na dziesiątki listów, wystawiając rachunki za ogłoszenia, przygotowując do druku pisane coraz to gorszą polszczyzną materiały, uczestnicząc w zebraniach społecznych (jeśli zostanie zaproszony, tzn. jeżeli się na niego nie gniewają) i śpiąc po parę godzin na dobę. Jeśli jest silniejszy, to nawet czasami sam pisze artykuły, a czasem nawet planuje na przyszłość. Dopóki się na dobre nie zmęczy lub rodacy go nie zamęczą.

O Jasińskim — życzliwie

Na zakończenie słów parę o Jasińskim. W tym końcowym, jemu poświęconym fragmencie moich uwag celowo opuszczam słowo „pan", bowiem — wbrew pozorom — z Jasińskim łączy mnie wieloletnia przyjaźń. Ponieważ ośmielę się zaryzykować twierdzenie, że prawdopodobnie nie ma na świecie człowieka, który prześcignął mnie w ilości opublikowanych peanów na jego cześć i słów najwyższego uznania dla jego talentu pisarskiego — przeto mam nadzieję, że Jasiński zrozumie, iż uwagi poniższe pochodzą od człowieka mu życzliwego.

Jasiński mógłby zdziałać wiele. Jak się to często ludziom utalentowanym zdarza, jest wybujałym indywidualistą, powiedziałbym nawet: egocentrykiem. Każdy temat, każdy problem tylko wtedy jest ważny, jeśli zrodzi się w jego umyśle i, drobiazgowo rozpracowany i świetnie udokumentowany, ujrzy światło dzienne w dniu przez Jasińskiego ustalonym. Jego ulubioną formą walki jest bomba wodorowa — pod warunkiem, że to on naciśnie czerwony guzik. Niestety, nie każda jego bomba wodorowa ma siłę „Pieśni o Powstaniu" czy „Pomnika na rozstajach". O kalibrze bomby publicystycznej decydują jej odbiorcy; jeżeli oni uznają ją tylko za barwny fajerwerk — od ich okrutnego wyroku nie ma odwołania, bo tylko oni decydują, czy przeznaczona dla nich bomba okazała się niewypałem.

Jasiński żyje wśród Polaków w Australii, gdzie walkę o polskość prowadzą organizacje społeczne — ale skuteczną walkę o oblicze ideowe, o światopogląd prowadzić mogą tylko ludzie pió-

ra. Walka to ciężka, bo nie tylko przeciw zobojętnieniu politycznemu, nie tylko przeciw upajaniu się oparami dobrobytu — ale często przeciw tym, którzy walczą tylko o polskość. Walka to żmudna, codzienna — nie zastąpi jej efektowny fajerwerk, który błyśnie i zgaśnie, ani nawet cenna bomba wodorowa, która może zburzyć, ale nigdy odbudować.

Teraz, kiedy prasa polska w Australii rozchodzi się jeszcze w tysiącach egzemplarzy, jest jeszcze na to czas. Za dwa, trzy, może pięć lat na pewno będzie za późno. Ludziom można coś przypomnieć, coś uprzytomnić, coś w nich zamierającego obudzić — ale przy naszych coraz bardziej znikomych środkach, za kilka lat nie uda się już mózgów i serc tych ludzi kształtować na nowo. Trzeba działać, póki jeszcze coś z dawnych zasad pamiętają.

Tutaj właśnie Jasiński zawiódł. Półtora roku temu, kiedy był jeszcze stałym współpracownikiem „Tygodnika", zwróciłem się do niego z propozycją wszczęcia wspólnie akcji uświadamiającej, kształcącej i urabiającej politycznie — akcji planowej, precyzującej oblicze światopoglądowe „Tygodnika", obliczonej na dłuższą metę — akcji mającej na celu odbudowanie tego, co chyli się ku ruinie. Niestety, Jasiński odmówił, przy czym żaden z motywów odmowy nie miał istotnego znaczenia. Zadecydował jego pisarski egocentryzm. Akcja spaliła na panewce, bo ani moje pióro nie dorównuje kalibrem pióru Jasińskiego, ani mojej cotygodniowej technicznej orki redaktorskiej nikt za mnie nie wykona.

Czy Jasiński ma prawo do rozdzierania po rejtanowsku szat nad „upadkiem moralno-politycznym" „Tygodnika Katolickiego" i nad manowcami, którymi biegnie życie Polonii australijskiej — jeżeli sam zaniechał jedynego skutecznego działania, do którego predestynowały go jego postawa ideologiczna i talent?... Jedną bombą wodorową na rok może ukontentować czytelników „Kultury" czy „Wiadomości" — ale prawdziwe, pomnikowe zadanie pracy czujnej, mrówczej, cierpliwej i stałej czeka na niego tu, w Australii.

Roman GRONOWSKI

P.S. Korzystam z okazji, aby wszystkich zainteresowanych oraz P.T. Redakcje i Administracje pism prosić o odnotowanie nowego adresu „Tygodnika":

Tygodnik Polski, 23 Clifton St., Melbourne E.1, Vic., Australia

R.G.

◆

Z braku miejsca dokończenie artykułu Witolda Kuss. sen. pt. „Polacy w Argentynie", ukaże się w następnym numerze. (REDAKCJA)

Trzecia sesja Soboru

Wracałem do Limy pełen entuzjazmu. Pobyt w Rzymie podczas trzeciej sesji Soboru Watykańskiego, a potem niezapomniane wrażenia z Kongresu Eucharystycznego w Bombaju, nastawiły mnie optymistycznie, jeśli chodzi o reakcję świata na przemiany, zachodzące w Kościele katolickim. Spodziewałem się, że po powrocie zasypie mnie grad pytań zaciekawionych przyjaciół i znajomych, że będę musiał na lewo i prawo zdawać sprawę, jako naoczny świadek; że spotykać się będę ze sporami, zastrzeżeniami, albo wyrazami zadowolenia. Tymczasem... Owszem, trochę zaciekawienia było. Ale jakże mało!

Wkrótce trzeba było pogodzić się z myślą, że Sobór nie stał się jeszcze osobistym przeżyciem ogromnej większości katolików, przynajmniej w Ameryce łacińskiej, a obawiam się, że i w niejednej innej części świata. Nie mówiąc już o nie-katolikach. A przecież nas wszystkich bezpośrednio dotyczy rezultat tego zgromadzenia, gdzie ważą się sprawy sensu istnienia indywidualnego i zbiorowego.

Dziwny to paradoks, że w dobie fantastycznego rozwoju środków masowego rozpowszechniania informacji — prasa, radio, telewizja, film — tak trudno wydaje się trafić do sumień.

Aby zwrócić uwagę czytelnika, informujący o Soborze dziennikarze wysilali się dzień w dzień na sensację, bardziej zatroskani o ciekawość dalekiego odbiorcy, niż o rzetelność relacji. Były też oczywiście wyjątki, ale z tych, co potwierdzają regułę. W rezultacie anegdota, przelotne wrażenie, szczegół nieistotny, acz efektowny, górują nad głębszym nurtem prac soborowych. Więc na taką informację skazani są ci, co nie czytają wyspecjalizowanej prasy katolickiej?

Niechże przynajmniej ten skromny artykuł, korzystając z gościnnych łamów „Kultury", przyniesie rozsianym po świecie polskim czytelnikom, odblaski istotnych przemian, jakie Sobór zapowiada w życiu Kościoła jako zbiorowości i w życiu każdego

chrześcijanina. Prędzej czy później, wybije dla każdego z nas godzina osobistego ustosunkowania się do tych przemian. Im lepiej będziemy w nich zorientowani, tym odpowiedź będzie trafniejsza.

Nie potrzebuję chyba podkreślać, że rozmiary artykułu nie pozwalają wyczerpać tematu. Obym przynajmniej potrafił naprawdę nim zainteresować. Także i tych, którym sprawy Kościoła są obce, a może i wrogie.

Trzy charakterystyczne przemiany

Zasygnalizował je znakomity teolog francuski, Ojciec Yves M. Congar, dominikanin, analizując wyniki trzeciej sesji soborowej na zebraniu włoskiego *Movimento Laureati* (Ruch Inteligencji Katolickiej).

Za pierwszą z tych przemian uważa on przestawienie głównej uwagi z zewnętrznych form organizacyjnej struktury kościelnej, na człowieka jako takiego. Nauka o łasce coraz więcej opiera się na osobistej odpowiedzialności chrześcijanina, przywiązując do niej wagę większą, niż do tego, co Congar nazywa *structures du mouvement* a co moglibyśmy określić jako „normy działania". Wiąże się z tym nawrót do tajemnic bożych, do głębszego odczucia i utożsamienia się z ukrytą formą obecności Boga w nas. Nowa konstytucja dogmatyczna o Kościele rozpoczyna się właśnie medytacją o Tajemnicy Kościoła. W przeciwstawieniu do definicji formalizujących z okresu kontrreformacji, nawraca do symboliki Nowego Testamentu, a nade wszystko do koncepcji Mistycznego Ciała Chrystusa, sformułowanej przez św. Pawła dla podkreślenia swoistej, bosko-ludzkiej istoty Kościoła jako instytucji. Kto nie potrafi wczuć się w tę koncepcję, nigdy nie będzie zdolny *sentire cum Ecclesia.*

Wiąże się z tym druga przemiana jaką sygnalizuje francuski teolog. Legalizm ustępuje miejsca „sakramentalności". Nie formalna przynależność zadecyduje o naszym miejscu w Kościele, lecz łaska sakramentalna, jakiej dostąpiliśmy. Dlatego też właściwym źródłem godności biskupiej jest nie tyle nominacja przez Ojca św., jak często mniemamy, co Sakra biskupia, którą coraz bardziej teologowie skłonni są uważać za specjalny Sakrament, dający pełnię Kapłaństwa. Sam Papież powraca do tytułu „Biskup rzymski" w liście do biskupów prawosławnych, zgromadzonych na Synodzie w Rodos. Z drugiej strony, pojęcie „Ludu Bożego" rozciąga się, według Konstytucji o Kościele, nie tylko na tych, którzy formalnie przynależą do Kościoła rzymsko-katolickiego, ale i na inne kategorie wierzących, a nawet na niektórych, co „bez własnej winy, nie znając Ewangelii Chrystusa oraz Jego Kościoła... nie doszli jeszcze do jasnego poznania Boga i usiłują prowadzić prawe życie, nie bez pomocy łaski".

Trzecią, niezwykle ważną, przemianą w Kościele jest nowe podejście do zagadnienia Prawdy. Prawda zawsze będzie tylko jedna. Ale można ją rozumieć dwojako. Można uważać ją za coś obiektywnie ustabilizowanego raz na zawsze, co daje się ująć w ostatecznie sformułowane definicje. W tej koncepcji, wiara przedstawia się bardziej jako zespół dogmatów, niż jako totalny zryw całego ludzkiego istnienia ku Bogu. Można jednak dopatrywać się prawdy także w postawie duchowej, zwróconej ku poszukiwaniu tego, co prawdziwe. Każdy z nas zdolny jest do poznania zaledwie cząstki prawdy. Stąd konieczność wzajemnej wymiany, czyli dialogu z innymi. Wiara nie może zadowolić się biernym przyjęciem formułek. Wymaga zrywu całej naszej osobowości. Jest korzeniem, z którego musi wyrastać pień naszego życia. Obie te koncepcje prawdy przejawiły się na Soborze. W miarę jednak postępowania prac soborowych, można było zauważyć, że różnica się zaciera i że podejście abstrakcyjne, „nie-historyczne" — jak je określa Michael Novak w ciekawej książce *The Open Church* — traci grunt pod nogami. Pastoralny charakter Soboru zmusza do liczenia się z rzeczywistością historyczną. Ta zwana przez Congar'a „herezja abstrakcji" nie została wprawdzie nigdy oficjalnie potępiona, lecz II Sobór watykański odwrócił się od niej w sposób zdecydowany.

Warto w związku z tym przytoczyć opinię innego z czołowych teologów, flamanda Ojca Edwarda H. Schillebeeckx, O.P. Według niego, obecny Sobór jest pierwszym w dziejach, który uznaje wyraźnie ewolucję dogmatów, kładąc nacisk na realia historyczne. Stosunek do tej sprawy stanowi bodaj główną linię podziału między większością a mniejszością Ojców soborowych. Można to było zauważyć podczas dyskusji nad tekstami o Objawieniu i nad głośnym już Schematem (tego terminu używa się dla określenia projektów poddanych pod obrady Soboru) Trzynastym, o stosunku Kościoła do świata współczesnego. „Historyczność" akcentuje się w miarę integracji wiary w człowieka jako elementu wiary w Boga. Kościół patrzy na świat ludzki coraz mniej jak na bierny obiekt działania Łaski. Widzi w nim raczej tworzywo nowych wartości. Pracując w tym świecie i dla niego, chrześcijanin przyczynia się do jego odkupienia, „wślizguje się w tajemnicę wiecznego wybawienia", jak to wyraża Schillebeeckx.

Wskazując na przemiany, zachodzące w Kościele pod wpływem Soboru, nie należy oczywiście zapominać że jakakolwiek nowa droga miałaby być obraną, zawsze stanie się to w oparciu o wolę Bożą, objawioną w Piśmie świętym.

Nowa Konstytucja o Kościele

Gdyby Sobór watykański nie uchwalił nic innego, poza tekstem Konstytucji dogmatycznej *De Ecclesia*, uroczyście promulgowanym przez Pawła VI w dniu zamknięcia Trzeciej Sesji (21.

XI. 1964), to już zasłużyłby sobie na poczesne miejsce w dziejach Kościoła. Nie tylko dlatego, że w ten sposób dokończone zostało dzieło I-go Soboru watykańskiego, brutalnie przerwane wydarzeniami 1870 roku, pozostawiając po sobie zachwianą równowagę między dokładnie sprecyzowanymi uprawnieniami Papieża a nieokreśloną dostatecznie pozycją Episkopatu. Ale, i nade wszystko, dlatego, że dopiero teraz nastąpiło pełne sformułowanie nauki Kościoła o nim samym, o jego tajemniczej istocie, o jego misji w świecie, o środkach jakimi dysponuje dla jej spełnienia i o najważniejszych elementach jego organizacji. Dopiero świadom dokładnie, czym jest sam, Kościół będzie mógł nawiązać teraz — w Schemacie 13 — skuteczny dialog ze światem.

Konstytucja to gruntowny traktat o Kościele, napisany przez najbardziej autorytatywne zgromadzenie kościelne. Przez długie lata będzie ona przedmiotem analiz, komentarzy, sprzecznych nieraz interpretacji. Ale bez jej znajomości nikomu nie wolno od dziś wydawać sądów o katolicyźmie naszych dni. Cała katechetyka, od elementarnej aż po studia w Seminariach duchownych i Fakultetach Teologii, musi ulec gruntownej rewizji w duchu *De Ecclesia.*

Nie mogę tu dać nawet przybliżonego pojęcia o bogactwie jej treści. Dla ogólnej orientacji odsyłam czytelnika do artykułu Ks. Andrzeja Bardeckiego pod wymownym tytułem: „Koniec Kontrreformacji" („Tyg. Powszechny", 20.XII.1964). I gorąco namawiam do przeczytania pełnego tekstu Konstytucji, aczkolwiek lektura to miejscami wcale niełatwa i wymagająca pewnego przygotowania teologicznego. Mam tu zwłaszcza na myśli rozdziały: Pierwszy, traktujący o Tajemnicy Kościoła, i siódmy, o eschatologicznej istocie Kościoła pielgrzymującego i jego stosunku do Kościoła Niebieskiego.

Na tajemnicy Kościoła, łączącej z ludzkim boski charakter tej instytucji, opiera się pojęcie Ludu Bożego, szeroko omówione w rozdziale drugim z wyraźnym nawiązaniem do tradycji Starego Testamentu i pierwszych wieków chrześcijaństwa. Już sam fakt, że rozdział o Ludzie Bożym wyprzedza w Konstytucji rozdział o Hierarchii kościelnej, ma swoją wymowę. „Zgromadzenie wszystkich wierzących, którzy widzą w Chrystusie sprawcę Zbawienia i podstawę jedności i pokoju, składa się na Kościół, powołany i ustanowiony przez Boga jako widzialny Sakrament tej zbawczej jedności dla wszystkich i dla każdego z osobna" — głosi Konstytucja. Stąd wynika, że każdy chrześcijanin ma swą cząstkę we „wspólnym kapłaństwie" Kościoła, cząstkę zależną od swej sytuacji życiowej, ale zawsze zobowiązującą go do odpowiedzi na zew boży, wskazujący każdemu drogę do świętości. Z naciskiem podkreśla dokument soborowy, że wszyscy ludzie, z całego świata i ze wszystkich czasów, powołani są na członków Ludu Bożego, aczkolwiek spełniają w jego ramach rozmaite funkcje. Stąd płynie zresztą konieczność głoszenia wszystkim Ewangelii — Dobrej Nowiny —, a więc charakter misyjny Kościoła.

Podstawowym rozróżnieniem według spełnianych w Kościele funkcji pozostaje oczywiście nadal podział na duchownych i świeckich. Tym dwu kategoriom poświęcone są rozdziały trzeci i czwarty Konstytucji.

Kolegialność

Wspomniałem już wyżej, że Sobór położył specjalny nacisk na sakramentalny charakter władzy biskupiej. Łączy się to z jedną z najbardziej komentowanych dyskusji soborowych na temat tzw. „Kolegialności".

Przypomnijmy tylko, o co chodzi. Podobnie jak Papież — Biskup rzymski — uważany jest za następcę św. Piotra jako ustanowionej przez Chrystusa Pana głowy Kościoła, tak uważa się, że Episkopat światowy jako całość — włączając w to również Biskupa rzymskiego — jest następcą pierwszego zespołu (Kolegium) Apostołów, ze św. Piotrem włącznie. Konsekwencją tego jest, że podobnie jak grono Apostołów uczestniczyło w sprawowaniu najwyższej władzy w Kościele, tak i Episkopat powinienby brać udział w tej władzy.

Kontrowersje soborowe w tej materii, a także niektóre reakcje opinii międzynarodowej tłumaczą się, obok istotnych różnic poglądów, głównie dwoma nieporozumieniami.

Pierwsze wynika z zapominania o przynależności Papieża do Episkopatu. Alternatywą nie jest, jak mylnie sądzą niektórzy: z jednej strony Papież, z drugiej Biskupi. Chodzi o inną: albo Papież, działający sam, albo wraz z innymi Biskupami jako kolegium, ale zachowujący zawsze swe prerogatywy następcy Piotrowego, Namiestnika Chrystusowego. Obawy więc, aby kolegialność miała przeciwstawiać decyzje pozostałych biskupów decyzjom Papieża, są nieuzasadnione.

Inne nieporozumienie polega na pomieszaniu dwu odmiennych pojęć kolegialności. „Collegium" prawa rzymskiego było ciałem zbiorowym, którego decyzje zapadały większością głosów. Niektórzy przeciwnicy kolegialności opierali się jej w obawie, że może ona doprowadzić do podporządkowania woli Papieża decyzjom większości Episkopatu, obalając w ten sposób jego prymat. Tymczasem charakter kolegium apostolskiego jest całkiem inny, ponieważ działa ono zawsze pod przewodnictwem Papieża, który — jak głosi „Wstępna nota wyjaśniająca" Sekretarza Generalnego Soboru, Arcybiskupa Periclesa Felici — „zachowuje w jego gronie pełnię swych uprawnień jako Namiestnik Chrystusowy i Pasterz Kościoła powszechnego".

Po usunięciu tych nieporozumień droga do kolegialności została utorowana, a jej szczegółowe unormowanie będzie przedmiotem specjalnego Dekretu soborowego o Urzędzie biskupim.

Czy kolegialność ma praktyczne znaczenie? Oczywiście. I to w dwu kierunkach: w stosunkach między biskupami a Stolicą Apostolską z jednej strony i między samymi biskupami z drugiej.

Obecnie szczytowe decyzje Kościoła pobierane są przez Ojca św. na podstawie referatu kompetentnych organów Kurii rzymskiej, czyli centralnej administracji Watykanu. Z chwilą wprowadzenia w życie zasady kolegialności, przedstawiciele Konferencji Episkopatów poszczególnych krajów będą brali czynny udział w niektórych przynajmniej decyzjach. W ramach Konferencji Episkopatu danej narodowości będą ponadto rozporządzali szerszymi uprawnieniami, odciążając w ten sposób administrację centralną Kurii rzymskiej. W stosunkach między sobą Biskupi nie będą mogli postępować jak odizolowani na każdej diecezji książęta udzielni, lecz muszą czuć się współodpowiedzialnymi za losy całego Kościoła, zarówno na terenie własnej ojczyzny (stąd podporządkowanie ich w pewnych sprawach Konferencjom Episkopatu tego kraju), jak i na całym świecie. Już rozległy się głosy w dyskusji soborowej, podkreślające, że kolegialność nakłada na biskupów krajów zasobnych w duchowieństwo i w środki materialne obowiązek przyjścia z pomocą, bardziej niż dotychczas wydajną, wobec diecezji krajów uboższych i cierpiących na brak powołań.

Kolegialność zatem, to cały program reform w życiu kościelnym.

Świadectwo dojrzałości laikatu

Jednocześnie z przemianą u szczytu hierarchii, Kościół otwiera się u podstaw ku całej społeczności świeckich, którzy nie będąc kapłanami ani zakonnikami, uczestniczą jednak w „misji całego Ludu Bożego wobec Kościoła i wobec świata". Ich specyficzne powołanie polega na „zgodnym z wolą Bożą załatwianiu i porządkowaniu spraw doczesnych". Wznawiając instytucję stałego diakonatu dla świeckich, Sobór dopuszcza niektórych z nich nawet do sprawowania pewnych funkcji kapłańskich.

Rozdział czwarty Konstytucji, poświęcony roli ogółu świeckich, nakłada na wszystkich chrześcijan obowiązek obecności wszędzie tam, gdzie Kościół tylko za ich pośrednictwem może docierać. Oni więc mają być „solą ziemi". Niezależnie od tego powszechnego obowiązku, który ciąży na każdym z nas, hierarchia może powoływać poszczególne osoby lub grupy do rozmaitych form bezpośredniej współpracy apostolskiej.

Specjalnej wagi nabiera oświadczenie, że poprzez swą postawę, oddaną Bogu we wszystkich okolicznościach życia codziennego, świeccy uświęcają cały porządek przyrodzony *(ipsum mundum Deo consecrant)*. Na nas więc, świeckich, spada główny ciężar odpowiedzialności za ową *Consecratio mundi*, czyli położenie piętna chrystusowej miłości na zamieszkałym przez nas świecie ziemskim. Nie poprzez odgórne i upokarzające próby podporządkowania go sobie, lecz poprzez rozpoznanie i rozdmuchanie tkwiącej w nim iskry bożej. Stąd obowiązkiem naszym jest prowadzić stały dialog, obejmujący doczesne struktury ży-

cia zbiorowego, kosztem walki ze „złymi duchami", które świat ten pragną opanować (E., 6, 12). Dokument soborowy zachęca do współpracy nad pomnażaniem dóbr ziemskich. Zaleca wiernym, aby przykładali się „przez kompetencję w sprawach doczesnych i dzięki wysiłkowi, popartemu przez wewnętrzne działanie Łaski chrystusowej, do pomnażania bogactw naturalnych ku pożytkowi ogółu i do lepszego ich rozdziału pomiędzy wszystkich ludzi, zgodnie z wolą Stworzyciela i ze światłem, promieniejącym z Bożego Słowa, przy udziale ludzkiej pracy, techniki i cywilizacji,... aby zgodnie ze swą naturą przyczyniały się do powszechnego postępu, przy poszanowaniu ludzkiej i chrześcijańskiej wolności".

Tak odpowiedzialnemu zadaniu świeckich odpowiadają ich uprawnienia w ramach społeczności kościelnej. Odbiegając od jednostronnej tradycji, która widziała w nas tylko posłusznych wykonawców zleceń kościelnych, Sobór wzywa do przedkładania pasterzom postulatów i życzeń „z taką swobodą i ufnością, jaka przystoi dzieciom Bożym i braciom w Chrystusie". W zdaniu, które Ks. Bardecki słusznie nazywa „awangardowym", Konstytucja głosi, że „świeccy, zgodnie ze swym wykształceniem, kompetencją i specjalnością, mogą, a niekiedy mają obowiązek, wypowiadania swego zdania w sprawach, dotyczących Kościoła". Tekst ten przypomina duszpasterzom, że „winni uznawać i popierać godność świeckich i ich odpowiedzialność za Kościół".

Świadectwo dojrzałości, wystawione tym sposobem laikatowi, było tak wymowne, że członkowie innej komisji soborowej, opracowującej specjalny Schemat o Apostolstwie świeckich, uznali za konieczne, po wstępnej dyskusji na plenum, poddać swój projekt gruntownej przeróbce w duchu *De Ecclesia*, zanim będzie ostatecznie przedstawiony na czwartej sesji.

Świętość, życie zakonne, eschatologia

Trzy dalsze rozdziały Konstytucji o Kościele poświęcone są problemom świętości w życiu każdego chrześcijanina („Wszyscy w Kościele, zarówno członkowie hierarchii jak zwykli wierni, powołani są do świętości..."), w życiu zakonnym („Stan, którego istota polega na wyznawaniu Rad ewangelicznych") i w życiu Kościoła jako społeczności eschatologicznej, która tu na ziemi pielgrzymuje ku „pełni czasów", ale przybrana już podczas tej początkowej fazy swej wędrówki „w szatę autentycznej, acz niedoskonałej świętości". Rozdział, poświęcony eschatologicznej istocie Kościoła, omawia też jego związek z Kościołem triumfującym w Niebie, co pozwala na cenne sprecyzowanie roli i granic kultu świętych, który polega nie tyle na „licznych aktach zewnętrznych, co na intensywnym uczuciu czynnej miłości, gdy dla większego pożytku nas samych i Kościoła upatrujemy w świętych wzory życia, zaprzyjaźniamy się z nimi i prosimy o wstawiennictwo". Kult ten może tylko przyczynić się do wzmożenia,

nie do osłabienia, centralnego stosunku do samego Stwórcy, jako że „wszyscy, którzyśmy dziećmi Boga i stanowimy jedną rodzinę w Chrystusie Panu (por. Heb., 3,6), skoro łączymy się we wspólnej miłości i w hołdzie dla Trójcy Przenajświętszej, postępujemy zgodnie z najgłębszym powołaniem Kościoła i dzięki symbolom liturgicznym uczestniczymy w przyszłej Glorii niebieskiej".

Właściwa Konstytucja o Kościele kończy się na tym rozdziale. Sobór postanowił jednak włączyć do niej również Schemat o Matce Boskiej, początkowo traktowany oddzielnie.

Problem Maryjny

Jak powszechnie wiadomo, sprawa sformułowania stosunku Kościoła do Matki Najświętszej była jedną z najbardziej spornych podczas obu pierwszych sesji soborowych. Nie oznacza to bynajmniej, aby istniała zasadnicza różnica zdań co do roli Marii w ekonomii zbawienia, lub co do prawd, ustalonych przez dogmaty maryjne. Trudność powstaje, kiedy prawdy te trzeba na nowo ustawić w szerszych ramach nowoczesnej wizji Kościoła. Niektórzy pragnęliby położenia silniejszego akcentu na kulcie maryjnym, zarówno ze względów teologicznych, jak pastoralnych, widząc w nim jeden z najsilniejszych korzeni, którymi wiara katolicka tkwi w szerokich masach. Inni obawiają się, że podkreślenie atrybutów Matki Boskiej może przyczynić się do pogańskiego niemal zepchnięcia Chrystusa Pana na drugi plan w wierzeniach i praktykach religijnych tychże mas. Inni jeszcze, starając się usunąć z zewnętrznych form życia kościelnego to, co stanowi przeszkodę do zbliżenia z innymi wyznaniami chrześcijańskimi, woleliby nie ponawiać — nie mówiąc już o poszerzaniu — deklaracji ku czci Marii, aby nie wywoływać reakcji ze strony protestantów, od dawna zarzucających katolicyzmowi niezdrowe, ich zdaniem, wyolbrzymianie Jej postaci.

Włączenie Schematu o Matce Boskiej jako ostatniego rozdziału do ogólnej Konstytucji *De Ecclesia* i ostrożne sformułowanie, bez użycia tytułu „Matki Kościoła", wyglądało na kompromis zadowalający dla grupy „postępowców", a z drugiej strony nie naruszało żadnego z tradycyjnych wierzeń. Tekst Konstytucji wyraża się o N. Marii Pannie, że „Kościół czci ją jak Matkę", a w innym miejscu jako o „matce wszystkich ludzi a zwłaszcza wierzących".

Dyskusja na ten temat odżyła jednak w następstwie gestu Pawła VI, który podczas uroczystości zamknięcia trzeciej sesji poświęcił niemal połowę swego przemówienia na wzruszający hołd Bogurodzicy i obwołał ją, na mocy własnej decyzji, Matką Kościoła, „to znaczy całego Ludu Bożego, zarówno wiernych jak duszpasterzy".

Polska należy do krajów najmocniej związanych z tradycjami kultu maryjnego. Dość prawdopodobnie brzmi więc wersja, potwierdzona też przez Congar'a w „Informations Cath. Interna-

tionales" (Nr 231, z 1.1.1965), że to stanowisko Episkopatu Polski, zresztą wyraźnie wypowiedziane w „auli" soborowej (m.in. w Memoriale zbiorowym, referowanym przez J.Em. Księdza Prymasa Wyszyńskiego i w przedśmiertnym przemówienia śp. Ks. Arcybiskupa Gawliny, który cytował świadczące o głębokiej czci dla Matki Najświętszej teksty Marcina Lutra), miało wpłynąć na decyzję papieską. Trzeba jednak zaznaczyć, że Ojciec św. nie przychylił się do wyrażonych z paru stron próśb o ponowienie uroczystej konsekracji całego rodzaju ludzkiego Niepokalanemu Sercu Marii, dokonanej podczas wojny przez Piusa XII.

Dekrety o Kościołach wschodnich i o Ekumeniźmie

Na zamknięciu trzeciej sesji ogłoszone zostały, oprócz historycznej Konstytucji *De Ecclesia*, dwa ważne dla życia religijnego Dekrety o Kościołach katolickich wschodnich i o Ekumeniźmie.

Pierwszy z nich normuje stosunki między obrządkami wschodnimi, uznającymi prymat Stolicy Apostolskiej, i daje wskazówki co do nawiązywania stosunków z Kościołami wschodnimi separowanymi. Dekret ten dopuszcza pod pewnymi warunkami tzw. *Communicatio in sacris*, czyli udział w Sakramentach Pokuty, Eucharystii i Ostatniego Namaszczenia przy różnej przynależności kościelnej kapłana i osoby, przyjmującej Sakrament. Zawiera również przepisy, dotyczące obrządku, do którego mają być przyjmowani konwertyci z Kościołów separowanych. Wprawdzie duch całego dekretu, a zwłaszcza tych właśnie przepisów, jest jak najbardziej pozytywny wobec prawosławia, niektórzy eksperci żałują, że proklamacja nastąpiła już teraz, kiedy oficjalne rozmowy Rzymu ze Wschodem dopiero się zaczynają. Zdaniem tych ekspertów, pośpiech może wywołać wrażenie, jakoby Kościół rzymski chciał te sprawy unormować jednostronnie, podczas gdy wszystko, co dotyczy obrządków wschodnich, nawet katolickich, ogromnie interesuje Kościoły prawosławne.

Opinia światowa z większą jeszcze uwagą śledziła losy Dekretu o Ekumeniźmie, który w wilię swego ostatecznego uchwalenia stał się przemiotem wyjątkowej interwencji Papieża. Wypracowany przez Sekretariat dla jedności chrześcijańskiej, któremu przewodniczy sławny już dziś jezuita Kardynał Augustyn Bea, tekst tego Dekretu przeszedł zwycięsko przez ogniową próbę dyskusji soborowych w komisjach i na plenum. Będzie stanowił podstawę dalszego rozwoju kontaktów z chrześcijanami wyznań nie-katolickich, których obserwatorzy śledzili ze zrozumiałym zainteresowaniem przebieg obrad. Fakt, że w przeddzień ostatecznego głosowania rozdano Ojcom soborowym dziewiętnaście poprawek, niedwuznacznie pochodzących od samej Głowy Kościoła, co stawiało ich wobec alternatywy albo głosowania przeciw całemu dekretowi — i zadania w ten sposób niemal śmiertelnego ciosu wysiłkom ekumenicznym — albo przyję-

cia tych poprawek bez dyskusji — na którą już brakowało czasu — stał się przedmiotem wielu krytycznych uwag, zarówno wewnątrz „auli", jak poza nią. Tym więcej, że poprawki te, przeważnie zresztą bardzo niewielkie, sprawiały w sumie wrażenie zacieśniające. Dekret oczywiście uchwalono, i to niemal jednomyślnie (2137 głosów przeciw 11), ale w atmosferze raczej przygaszonej tym incydentem. Tymczasem tekst zasługuje na jak najgorętsze przyjęcie. Cytuję znowu wspomniany artykuł Congar'a z „Informations Cath. Internationales", w którym pisze niemal dosłownie: „Według mego najszczerszego przekonania, przeczytawszy dekret trzy razy, uważam, że *tekst nie został zepsuty* (podkreślenie jego). Pozostaje nadal b. pięknym tekstem, skromnym i pełnym godności, lojalnym i głębokim, jakiego nikt nie śmiałby się spodziewać jeszcze pięć lat temu... Trzeba zapomnieć o sprawie poprawek z ostatniej chwili, aby z całą świeżością spojrzenia móc docenić jego ogromny aport!".

A wolność religijna?

Zdaniem Sekretariatu dla Jedności, Dekret o Ekumeniźmie wymaga koniecznie uzupełnienia przez Deklarację o Wolności religijnej. Szanse na jakikolwiek postęp w stosunkach z innymi wyznaniami byłyby znikome, gdyby Sobór nie stwierdził uroczyście, że stoi na gruncie poszanowania wolności sumienia.

O ile sama zasada jest dość zrozumiała, sformułowanie jej natrafia na szereg trudności zarówno natury teologicznej jak nawet politycznej. Zachodzi tu niebezpieczeństwo, zasygnalizowane w przemówieniu Ks. Karola Wojtyły, Arcybiskupa krakowskiego, pomieszania dwu odmiennych aspektów: ekumeniczne wezwanie do braci odłączonych z jednej strony, i postulat wobec rządzących, aby uszanowali wolność osoby w dzisiejszym społeczeństwie, z drugiej. Dyskusja nad Schematem deklaracji, przeprowadzona w drugim tygodniu obrad, pod koniec września, była niezwykle ożywiona i zmusiła komisję pod przewodnictwem referenta projektu, biskupa belgijskiego Emile De Smedt, do gruntownego przepracowania tekstu. Po skomplikowanej — trochę zanadto, zdaniem niektórych — wędrówce między kilku komisjami, nowy tekst rozdano dopiero 17-go listopada, co pozwoliło grupie mniejszości, ocenianej na 130 Ojców, odroczyć nawet wstępne głosowanie do czwartej sesji soborowej, aby umożliwić im dokładniejsze przestudiowanie nowej redakcji. Decyzja o odroczeniu głosowania wywołała prawdziwą burzę protestów ze strony większości. Ponad dwie trzecie Ojców soborowych podpisało rekurs do Papieża, domagając się natychmiastowego głosowania, chociażby o charakterze wyłącznie orientacyjnym. Paweł VI odmówił jednak interwencji wobec prezydium, ne czele którego stoi w jego zastępstwie dziekan Kolegium kardynałów, sędziwy kardynał Eugène Tisserant. Poruszenie opinii było wielkie. Popołudniu krytycznego dnia 19 listopada, w nabitej do nie-

możliwości dziennikarzami anglosaskimi suterynie wojskowego klubu USA przy Via della Conciliazione 2, służącej za prowizoryczne pomieszczenie codziennych konferencji prasowych dla korespondentów amerykańskich na Soborze, — wysłuchiwałem dramatycznego opisu wydarzeń przez samego Ojca Curtney Murray, wybitnego jezuitę, speca od stosunków między Kościołem a Państwem i jednego z głównych promotorów Deklaracji. Nie ukrywał wielkiego rozgoryczenia. A jednak... Kiedy w miesiąc potem przejeżdżałem przez Nowy York, jeden z bliskich przyjaciół O. Murray'a powiedział mi, że właśnie parę dni temu był na jego odczycie na ten temat w zamkniętym gronie teologów. Otóż, według przekazanej mi wersji, gdy minęły pierwsze dni podniecenia i po głębszym zastanowieniu, Murray przyznaje rację Papieżowi. Uważa, iż dzięki tej niepopularnej decyzji odraczającej, istnieją dziś wszelkie dane po temu, że na czwartej sesji deklaracja przejdzie jeśli nie jednomyślnie, to przynajmniej bez narażenia na zarzut, że stała się okazją do pogwałcenia praw mniejszości soborowej.

Wyznania nie-chrześcijańskie

Pod tą nazwą został w zasadzie przyjęty projekt deklaracji o stosunku Kościoła do innych wyznań, początkowo opracowany z myślą wyłącznie o Żydach. Znowu dokument o temacie nader drażliwym, gdzie aspekty religijne komplikują się kontekstem uczuciowym, socjologicznym i politycznym. Wystarczy przypomnieć gwałtowną reakcję państw arabskich, dopatrujących się w projekcie deklaracji niedopuszczalnej, ich zdaniem, stronniczości na rzecz Izraela.

Najgorętsza walka rozgorzała wokół sprawy wyraźnego wypowiedzenia się Soboru przeciwko tradycyjnym poglądom niektórych chrześcijan, jakoby wszyscy Żydzi, poprzez wszystkie pokolenia, ponosili odpowiedzialność za wyrok śmierci na Chrystusa Pana. Poglądy błędne zarówno pod względem teologicznym, jak historycznym. Teologicznie, wszyscy ludzie, jako spadkobiercy pierwszych rodziców, a więc nie tylko Żydzi, ponoszą w pewnym sensie odpowiedzialność, z racji grzechu pierworodnego i swoich własnych grzechów, za to, iż druga osoba Trójcy św., wcielona pod imieniem Jezus, musiała ponieść męczeńską śmierć na krzyżu dla ich odkupienia. Historycznie biorąc, i odrzucając sprzeczną z chrześcijaństwem zasadę odpowiedzialności zbiorowej, trzeba powiedzieć, że ukrzyżowanie Chrystusa obciąża indywidualnie grupę współczesnych mu przywódców religijnych i politycznych, a nie całość narodu żydowskiego.

W obliczu rozpętania namiętności rasowych, a zwłaszcza straszliwych zbrodni, popełnionych na Żydach przez hitlerowców, inicjatorzy deklaracji z Papieżem Janem XXIII na czele, odczuwali konieczność wyraźnego oświadczenia w tej materii, aby

uniemożliwić komukolwiek usprawiedliwianie antysemityzmu rzekomą tradycją kościelną.

Zaledwie 185 Ojców soborowych (na 1979 biorących udział w tym głosowaniu) wypowiedziało się przeciw ostatecznie wypracowanej redakcji dwóch rozdziałów o Żydach w projekcie deklaracji, poddanym pod pierwsze głosowanie w przeddzień zamknięcia trzeciej sesji, 20 listopada, z tym, że tekst ten ma być następnie ogłoszony jako załącznik do Konstytucji o Kościele.

Na dziesięć dni przed tym głosowaniem przeprowadzałem dla Biuletynu Biskupów Ameryki łacińskiej wywiad z Mons. John M. Oesterreicher'em, prałatem pochodzenia żydowsko-austriackiego, dyrektorem Instytutu Studiów judeo-chrześcijańskich w Nowym Yorku i konsultantem Sekretariatu dla Jedności. Zapytany, czy nowa wersja Schematu zadowoli Żydów, Mons. Oesterreicher odpowiedział:

„Nie sądzę, że wszystkich, ponieważ nie można mówić o jednolitej opinii, czy szkole myślenia, wśród Żydów. Bardziej ortodoksyjni woleliby deklarację o charakterze socjologicznym od dokumentu teologicznego. Po prostu nie chcą być wplątani w życie i problematykę Kościoła. Nie wątpię, że inni Żydzi będą uszczęśliwieni nowym tekstem. Pamiętajmy jednak, że celem zamierzonego dokumentu nie jest zadowolenie Żydów, czy jakiejkolwiek innej grupy. Jest on skierowany przede wszystkim do samych członków Kościoła. Ma stanowić jeden z rozlicznych środków, które Sobór nam ofiarowuje dla wewnętrznego odnowienia i dla odmłodzenia naszej religii".

Słuchając tych słów jako Polak-katolik, myślałem, że wielu z nas pod wpływem deklaracji soborowej będzie musiało zrewidować swą dotychczasową postawę, jeśli pragniemy nadal uważać się za chrześcijan.

Pobyt zaś w Bombaju przekonał mnie w parę dni później o celowości rozszerzenia ram deklaracji na inne wyznania niechrześcijańskie, kiedy obserwowałem jak milionowa rzesza hindusów daje nam wielką lekcję moralną, witając tryumfalnie głowę obcego im Kościoła.

Nie od rzeczy będzie chyba podkreślić niezwykłe zainteresowanie, okazane tej dyskusji przez koła żydowskie, które śledziły z napięciem przebieg prac nad projektem deklaracji.

Prace na wykończeniu

Oprócz deklaracji o Wolności religijnej i o Wyznaniach niechrześcijańskich ukończono całkowicie redakcję Konstytucji o Objawieniu która stanowić będzie konieczne uzupełnienie Konstytucji o Kościele. Trudności, z jakimi spotkał się ten projekt podczas dwu pierwszych sesji, zostały przezwyciężone dzięki położeniu akcentu na istocie samego Objawienia, nie zaś na wielce kontrowersyjnej kwestii Źródeł Objawienia (Pismo święte wyłącznie, czy też wraz z Tradycją, interpretowaną przez Kościół).

Obecnie tekst jest już gotów do ostatecznego głosowania na czwartej sesji i ma za sobą niemal jednomyślne poparcie. Teologowie są zadowoleni, że nie przesądza on spraw, w których wiedza ich nie wypowiedziała się jeszcze definitywnie, i pozostawia w ten sposób wolne pole dla dalszych badań i dyskusji.

W końcowych fazach opracowania są teksty o Urzędzie biskupim, o Duchowieństwie, o Zakonach, o Seminariach duchownych i o Szkolnictwie katolickim. Co do ostatniego, warto zaznaczyć, że w dyskusji padły głosy, narazie raczej odosobnione, za poddaniem gruntownej rewizji dotychczasowego systemu szkół wyznaniowych, których koszt utrzymania na właściwym poziomie staje się coraz trudniejszym do pokrycia, wyniki zaś, jeśli chodzi o wychowanie w duchu chrześcijańskim, pozostawiają niekiedy dużo do życzenia.

Sobór wypowiedział się niedwuznacznie za zmianą przepisów o małżeństwach mieszanych w duchu większego poszanowania przekonań religijnych obu stron. Wymaga to jednak zmian w obecnym Kodeksie Prawa Kanonicznego, nad którego reformą pracuje zresztą specjalna Komisja watykańska. Ojcowie soborowi wyrazili życzenie, aby nie czekając na przewlekające się rezultaty prac tej Komisji, Papież sam przeprowadził pożądane zmiany w drodze dekretu *(Motu proprio)*.

Pisałem już przedtem, że Schemat o Apostolstwie świeckich został wprawdzie poddany wstępnej, nader ożywionej acz trochę chaotycznej, dyskusji, ale musi on ulec zasadniczym przeróbkom w komisji, zanim powróci na plenum podczas czwartej sesji. Wstępna dyskusja pozwoliła wypowiedzieć się także przedstawicielowi audytorów świeckich na Soborze (jest ich około 40, wyznaczonych głównie z pośród przywódców Międzynarodowych Organizacji Katolickich). Przedstawicielem tym był Patrick Keegan, anglik, prezes Międzynarodowego Ruchu Pracowników Katolickich. Również w dyskusji nad Schematem Trzynastym (patrz niżej) zaproszono do głosu w imieniu audytorów świeckich argentyńczyka Juan Vazquez, prezesa Międzynarodowej Federacji Młodzieży Katolickiej (męskiej). Po raz pierwszy podczas tej Sesji pojawiły się w „auli" soborowej kobiety, świeckie i zakonnice, mianowane audytorkami, względnie specjalnie zaproszone jako goście.

Specjalnie charakterystyczny epizod rozegrał się w związku ze Schematem deklaracji o Misjach katolickich. Był to jeden z tekstów pierwotnie zakrojonych na szerszą skalę, ale potem boleśnie skróconych, aby umożliwić zmieszczenie ich w ramach programu dyskusji soborowych. Niestety, w tym wypadku, jak w niektórych innych, operacja pozbawiła go spodziewanej przez Ojców treści. Sytuacja stała się żenująca, gdy sam Papież, pragnąc podkreślić wagę jaką przykłada do prac misjonarzy, przybył w dniu 5 listopada na plenum (czyli na „Kongregację" soborową) i w krótkim przemówieniu niedwuznacznie dał do zrozumienia, że oczekuje zatwierdzenia projektu z ewentualnymi drobnymi poprawkami. Po wyjściu Papieża dyskusja potoczyła

się dalej i... rozległy się głosy druzgocącej krytyki pod adresem projektowanej redakcji. W rezultacie projekt nie został wprawdzie odrzucony, ale odesłano go do Komisji celem zupełnego przeredagowania w duchu krytycznych uwag. Pomimo pozornej porażki Pawła VI w tej sprawie, nie brak było komentarzy, podkreślających z zadowoleniem, że ten skądinąd dość przykry incydent, dostarczył światu wymownego dowodu na nieskrępowaną wolę Ojców soborowych, którzy bronią z całą swobodą stanowisk, nieraz odmiennych od zajmowanego przez Papieża.

Kościół a współczesność

Najważniejszym jednak dziełem, które przykuwa uwagę opinii i którego pomyślne dokonanie zadecyduje w oczach wielu ludzi o bilansie Soboru po nadchodzącej czwartej i ostatniej sesji, jest tzw. Schemat 13, traktujący o Kościele w Świecie współczesnym. Po szeregu przygotowawczych etapów, przebrnął on przez próbę wstępnej generalnej debaty soborowej i został przygniatającą większością przyjęty za podstawę dalszej dyskusji na następnej sesji. Tymczasem tekst poddany zostanie nowemu badaniu przez odpowiednią Komisję z uwzględnieniem opinii już wypowiedzianych i przy prawdopodobnej konsultacji nowych ekspertów, zwłaszcza świeckich specjalistów z różnych dziedzin.

Chodzi tu ni mniej ni więcej, jak o pierwsze w dziejach sformułowanie poglądu Kościoła jako takiego, na sprawy otaczającego go świata, celem podjęcia dialogu między rzecznikami wartości nadprzyrodzonych a przedstawicielami doczesności. Zadanie skomplikowane nietylko pod względem treści (Jak uniknąć ogólników, na które wszyscy się godzą a które praktycznie nic nie znaczą; lub wdawania się w szczegóły i konkrety, które za parę lat przestaną być aktualne?), ale i pod względem formy zewnętrznej (Jakim stylem ma posługiwać się instytucja kościelna, aby przemawiać w sposób zrozumiały do ludzi współczesnych, używając ich własnego języka?).

Poddany pod dyskusję Schemat 13 rozpoczynał się od wstępu, charakteryzującego najważniejsze „Znaki Czasu" *(Signa temporis)*. Pierwszy rozdział mówił o „Powołaniu Człowieka", otwierając perspektywę nadziei którą Chrystus ofiarowuje ludziom przez możność współpracy nad budową Królestwa Bożego *(Civitas Dei)* poprzez uświęcenie zajęć doczesnych. Drugi i trzeci rozdziały omawiały rolę Kościoła jako takiego i obywateli chrześcijan, w budowie społeczności ziemskiej. Wreszcie rozdział czwarty i ostatni wymieniał po krótce wielkie problemy świata współczesnego, szczegółowo omówione w załącznikach do Schematu, a więc: Osoba ludzka i jej godność w życiu społecznym; Małżeństwo i rodzina; Kultura; Życie gospodarcze i społeczne; Solidarność międzynarodowa i Pokój. Piszę o tym w czasie prze-

szłym, gdyż cały schemat ulegnie przegrupowaniu w ostatecznej redakcji.

Wystarczy wymienić te problemy, aby stwierdzić ich wysoce kontrowersyjny charakter. Toteż dyskusja obfitowała w momenty gorące, czasem komentowane w sposób sensacyjny przez prasę światową, zwłaszcza jeśli idzie o sprawy familijne (czytaj: świadome macierzyństwo) lub politykę międzynarodową (czytaj: groźba wojny atomowej).

Oto kilka próbek z opinii wybitnych Ojców soborowych na temat ograniczenia urodzin i miłości małżeńskiej (wg. urzędowego streszczenia Biura Prasowego Soboru):

„Miłość małżeńska jest czymś dobrym i godziwym... Schemat szczęśliwie pomija rozróżnienie między głównym celem małżeństwa a celami drugorzędnymi i słusznie pozostawia osądowi małżonków liczbę potomstwa... Miłość małżeńska należycie rozumiana obejmuje całego człowieka, ciało i duszę. Skierowana jest ona nie tylko na rozrodczość, ale również na rozwój całej osobowości". *(Kardynał Paul-Emile Léger z Montrealu).*

„Powinniśmy zadać sobie pytanie, czy przypadkiem jeden aspekt nauki nie został zbytnio podkreślony a inny pominięty lub niewystarczająco podkreślony. I tak np. odnośnie celu małżeństwa i wychowania potomstwa, czy zdanie „rośnijcie i rozmnażajcie się" nie zostało zbytnio podkreślone a inny aspekt „będą dwoje w jednym ciele" usunięto w cień?" *(Kardynał Leo Suenens z Malines).*

„Sobór w swej trosce pasterskiej winien szukać rozwiązania, przystępując z odwagą do tego problemu. Urzędowe stanowisko Kościoła w tej sprawie może być zrewidowane w świetle współczesnych nauk — teologii, medycyny, psychologii i socjologii —. Właściwości biologiczne zewnętrzne nie są jedynym kryterium moralności". *(J.B. Maxim IV Saigh, Patriarcha Antiochijski i całego Wschodu dla melchitów).*

Oczywiście, były i głosy bardziej zachowawcze, jak np. żądanie, aby

„...potępić błędy przeciwko świętości małżeństwa oraz wyłożyć prawdziwą naukę Kościoła na ten temat, jak została ona jasno przedstawiona w encyklice Piusa XI *Casti Connubii* i w przemówieniu Piusa XII do położnych". *(Kardynał Ernesto Ruffini z Palermo).*

A teraz dwie „próbki" głosów na temat kultury:

„Nie wystarcza powiedzieć... że Kościół wyraża swoje najwyższe uznanie dla kultury oraz ufność wobec każdej formy postępu naukowego, artystycznego czy technicznego. Trzeba koniecznie znaleźć i wskazać na niektóre zmiany, które muszą zostać dziś przystosowane do całego porządku kulturalnego samego Kościoła. *(Kardynał Lercaro z Bolonii).*

„Należy uświadomić sobie następujące fakty: 1) Pośród kierowniczych sfer świata kultury wielu zajmuje wobec Kościoła postawę nacechowaną tragicznym nieporozumieniem, albo nawet są zdecydowanymi wrogami; 2) Wielu intelektulistów katolickich utrzymuje, że nie znajduje dostatecznego oparcia w Kościele; 3) W wielu wypadkach opinia publiczna odrzuca in-

terwencję Kościoła; 4) Rany zadane w walce z modernizmem ciągle jeszcze nie zabliźniły się". *(Biskup Leon Elchinger ze Strasburga).*

Z dziedziny społeczno-gospodarczej:

„Trzeba, by Kościół stał się częścią istotną olbrzymich rzesz robotników, by uważnie i życzliwie spojrzał na warunki miejsca, pracy, życia, aby lepiej mógł zająć się dobrem duchowym robotników, nie lekceważąc jednak słusznego dążenia do dóbr tej ziemi". *(Kardynał Prymas Stefan Wyszyński z Warszawy).*

„Chodzi o to, żeby zmniejszyć i wyeliminować niesłuszny rozdział dóbr, który jest zamachem na pokój wewnętrzny i na pokój między narodami i ludami". *(Biskup Angel Herrera z Malagi,* ostatnio mianowany Kardynałem).

Solidarność międzynarodowa i Pokój:

„Kościół, który jako Matka wszystkich ludzi i narodów musi postępować w imię Chrystusa, wszystko odrzuca, co w ateiźmie, komuniźmie lub jakimkolwiek innym systemie powinno się odrzucić, z drugiej zaś strony nie zamyka drzwi do prowadzenia szczerego i owocnego dialogu, do którego Sobór pragnie zachęcić wszystkich ludzi dobrej woli, a który Kościół jest gotów prowadzić". *(Kardynał Bernard Alfrink z Utrechtu).*

„W obecnych okolicznościach wspólne dobro rodziny ludzkiej wymaga, aby wszystkie narody wyrzekły się ostatecznie i bezwzględnie prawa do wojny, a więc i wszystkiego, co jest niezbędne do jej prowadzenia, zachowując jedynie środki utrzymania ładu wewnętrznego". *(Biskup Ancel, sufragan Lyonu).*

Podaję te krótkie cytaty tylko dla ogólnej charakterystyki. Zakres tematów, poruszonych w tej dyskusji, wystarczyłby do zapisania całego rocznika „Kultury". Trzeba będzie na pewno do nich powrócić, omawiając czwartą i ostatnią sesję.

Więcej obiektywizmu

Po Konstytucji o Liturgii, która już dziś daje rezultaty na wszystkich kontynentach, i Dekrecie o Masowych Środkach Komunikacji Społecznej, który czeka jeszcze na uzupełniającą go Instrukcję Pastoralną na temat działalności katolików w dziedzinie Prasy, Radia, Telewizji i Filmu, Sobór dał nam obecnie Konstytucję dogmatyczną o Kościele i ważne Dekrety o Kościołach wschodnich i o Ekumeniźmie, a ponadto wykończył niemal całkowicie Konstytucję dogmatyczną o Objawieniu i szereg innych Dekretów i Deklaracji, których zatwierdzenie na czwartej sesji powinno już być zwykłą formalnością o ile nie zajdą nieoczekiwane komplikacje. Z zakreślonego sobie programu pozostaje mu właściwie na ostatnią sesję jedyny — lecz jakże trudny! — Schemat 13 o Kościele w świecie współczesnym.

Oprócz tych rezultatów formalnych, dzieło soborowe przynosi w życiu Kościoła inne, niewymierne lecz niemniej realne owoce. A więc wytworzenie więzów osobistej przyjaźni między biskupami całego świata, którzy przez długie tygodnie obradowali wspólnie, wspólnie wypełniali głośne już „bary" zainstalowane w kaplicach św. Piotra, wspólnie jeździli autocar'ami do swych zbiorowych rezydencji, wspólnie cieszyli się z osiąganych postępów i zżymali na niektóre trudności. Wielu przyznawało, że pod wpływem tych kontaktów z innymi biskupami, otworzyły im się całkiem nowe perspektywy pracy duszpasterskiej. Dodajmy do tego wkład myśli teologicznej, filozoficznej, gospodarczo-społecznej a nawet politycznej, reprezentowanej na Soborze, a zwłaszcza wokół niego na terenie rozlicznych rzymskich instytucji naukowych i kulturalnych, przez najtęższe głowy „ekspertów", towarzyszących Ojcom soborowym. Dodajmy konferencje prasowe codzienne dla prasy różnych języków, które przemieniały się często w prawdziwe seminaria wiedzy religijnej dla informatorów opinii publicznej, niestety niezawsze właściwie przez nich wyzyskiwane.

Dorobek przedstawia się więc poważnie.

Że nie wypełnia wszystkich pokładanych w trzeciej sesji nadziei? Zapewne, ale czy przypadkiem nie spodziewano się często rzeczy niemożliwych?... Że aktywna i nader wpływowa w Watykanie mniejszość Ojców soborowych starała się hamować, czasem nawet drogą jakby parlamentarnych manewrów, reformistyczne zapędy większości? Niewątpliwie; ale czy nie miała w tym chwilami trochę racji?... Zresztą, gdyby w zgromadzeniu dwóch tysięcy osób tak odpowiedzialnych jak biskupi, nie ujawniły się różnice poglądów, nie było gorących dyskusji a nawet walki o przeprowadzenie spraw, uważanych za słuszne, — wtedy dopiero moglibyśmy powątpiewać o żywotności takiego zgromadzenia!

Wydaje się też czasami, że dla niektórych krytyków pojęcie postępu w Kościele jest równoznaczne z obalaniem wszelkich tradycyjnych jego norm i przepisów. Zgoda, gdy chodzi o normy wypaczone pod naciskiem historii lub ludzkich ułomności. Ale *veto*, jeśli się żąda od Kościoła, aby porzucił podstawowe prawdy swej wiary i moralności. Może dla tego na dalszą metę lepiej przyczynia się do rzeczywistego postępu w Kościele kto, jak Paweł VI, zdobywa się na jasne sformułowanie pewnych *Non possumus*, na wskazania granicy ustępstw.

O rezultatach Soboru rozstrzygnie ostatecznie sposób, w jaki powzięte na nim uchwały i dorobek intelektualny i moralny, włożony w jego realizację, zostaną przetopione na monetę codziennego życia przez duchowieństwo i wiernych. Jak się zrealizuje w praktyce kolegialność? Jak wejdzie w krew nowa liturgia? Jak się zmieni styl apostolstwa kleru i świeckich? Czy powróci równowaga w życiu rodzinnym? Jak się ułożą stosunki z innymi wyznaniami i z... bezwyznaniowcami? Czy nastąpi synteza wiary w Boga i technicznego panowania nad materią? Czy chrze-

ścijanie potrafią wywiązać się z powierzonego im zadania „uświęcenia świata"?

Przyszłość odpowie na te i na inne pytania. Tymczasem są już ludzie, jak Mons. Helder Camara, niestrudzony apostoł ubogich przedmieść brazylijskich i obecny biskup Recife, lub socjolog Ks. Franciszek Houtart z Belgii, którzy przedstawiają projekty po-soborowe, np. projekt nowego Sekretariatu w Watykanie dla spraw stosunków ze światem (kontynuacja dialogu, rozpoczętego przez Schemat 13). Dużo też mówi się o przyszłym Senacie światowym Biskupów jako wyrazie Kolegialności z Papieżem.

Udział Polski

Kończąc ten pobieżny przegląd prac soborowych, nie mogę powstrzymać się od podkreślenia czynnego w nich udziału ze strony licznego (acz, niestety, z wiadomych względów niekompletnego) przedstawicielstwa Episkopatu Polski z Ks. Prymasem na czele, oraz faktu, że pierwszym i jak dotąd jedynym audytorem świeckim spoza żelaznej kurtyny został mianowany wybitny filozof polski, Prof. Stefan Świeżawski z Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie. Inny Polak, Mieczysław Habicht, osiadły w Szwajcarii, jako Sekretarz generalny Konferencji Międzynarodowych Organizacji Katolickich, mianowany był jednym z pierwszych audytorów świeckich i następnie wybrany przez nich rzecznikiem wobec władz soborowych. Paru innych Polaków, pracujących w katolickich instytucjach międzynarodowych, otrzymało zaproszenie na serię Kongregacji generalnych, a liczna grupa dziennikarzy z kraju i emigracji odznaczała się swą aktywnością na sali prasowej Soboru.

Andrzej RUSZKOWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Wystawy londyńskie

Pisanie o odbytych wystawach w pewnej perspektywie czasu pozwala na duże skróty i uogólnienia, każe zapomnieć o analizie i sugeruje syntezę.

Dlatego *wystawa Józefa Czapskiego* (Grabowski Gallery, 14.10-20.11.1964) zarysowuje mi się jako jedno z bardzo ważnych ogniw w łańcuchu jego artystycznych dokonań.

Malarstwo Czapskiego jest zjawiskiem o tyle dzisiaj rzadkim, że posiada ciągłość i w odróżnieniu od modnego dziś eksperymentowania i silenia się na nowość, jest wierne wizji, na którą ten malarz zdecydował się na początku swojej artystycznej kariery — to znaczy przeszło trzydzieści lat temu.

„Czym jest wizja? Pewnym syntetycznym, jedynym widzeniem świata otaczającego. Chwila takiego widzenia spływa na człowieka zawsze nieoczekiwanie, jak łaska". (Józef Czapski „Oko", Instytut Literacki, Paryż, 1960).

Ta wierność dla dawnej wizji jest jednak problematyczna i w gruncie rzeczy wizja malarska Czapskiego podlega również zmianom, jak i jego środki wyrazu.

Niezmienną rzeczą natomiast w sztuce tego artysty pozostaje jedynie jego stosunek do natury. Dla Czapskiego natura jest zawsze źródłem doznań estetycznych, na których bazuje on swoje malarstwo, ale jednocześnie natura jest dla niego przeszkodą. Upraszczając bardzo sprawę możemy powiedzieć, że Czapski przedstawia widziany świat w formie kolorowych plam, które jednakże są uniezależnione od ich przedmiotowej przynależności. Niemniej jednak jest to świat prawdziwy, chociaż niesprawdzalny zmysłem dotyku. Takie odczuwanie i widzenie świata jest równie niewątpliwe, absolutne i wszechobecne, jak być może odczuwanie istnienie Boga przez ludzi religijnych.

Ta postawa filozoficzna bynajmniej nie jest dziś nowością, ale w czasach kiedy Czapski dopracowywał się tej wizji — była, przynajmniej na terenie przedwojennej polskiej rzeczywistości, wprost rewolucyjna.

Pamiętamy dobrze nagłe pojawienie się w Polsce grupy Kapistów (J. Czapski był jednym z organizatorów tej grupy). Ich dynamizm, entuzjazm, optymizm i wiara zadecydowały o powodzeniu tego naprawdę rewolucyjnego ruchu artystycznego na terenie naszego kraju.

Każdy prawdziwy artysta w pewnej fazie swego stawania się jest rewolucjonistą. Jest to sprawą konfliktu pomiędzy porządkiem jaki zastajemy i tym co pragniemy stworzyć. Czy można być prawdziwym rewolucjonistą więcej niż raz w życiu?

Prawdziwy artysta w pewnym okresie swego rozwoju nie chce i nie może tolerować dłużej symbolów plastycznych i wartości wyeksploatowanych do granic możliwości, które nie są w stanie wyrażać napięć i stanów chwili obecnej, a są jedynie zdawkową umową i tępą rutyną. W tym momencie artysta usiłuje wynaleźć nowe symbole, albo nawet cały system nowych symbolów, które z kolei akademicy i miernoty przetworzą na konwencje zdatne na użytek „po wsze czasy".

W każdej epoce istnieje wielu artystów, niegdyś rewolucjonistów, którzy zdecydowali się tworzyć sztukę „dobrą dla wszystkich czasów". Nie znaczy to, że mamy ich wszystkich potępić, bo tylko ci co utknęli i ciągle stoją w miejscu zasługują na miano reakcjonistów.

Sztuka Czapskiego jest jak najbardziej żywa, a jego talent jest w ciągłym ruchu. Ten rasowy malarz, który z taką cierpliwością otwierał i ciągle jeszcze otwiera oczy całym pokoleniom na aktualne problemy w sztuce, w serii jakże zawsze interesujących prelekcji i artykułów — nie potrafi stać w miejscu.

Każda wystawa Józia jest wyczynem, który nie przemija bez echa. Wręcz przeciwnie, każde jego wystąpienie wznieca niekończące się dyskusje. Jego sztuka zawsze była i ciągle jeszcze jest przedmiotem uwielbienia i wściekłych ataków, i to jest najlepszym dowodem, że twórczość tego malarza jest czymś zawsze żywym.

Ostatnie wystąpienie Czapskiego w Londynie należy do najciekawszych i najbardziej dojrzałych w całej jego twórczości. Chyba nigdy przed tym nie oglądałem obrazów tego malarza doprowadzonych do tego stopnia doskonałości wyrazu plastycznego. Dotyczy to zarówno bardzo wyszukanych a oryginalnych kompozycji, stworzonych w błyskawicznie zobaczonych fragmentów życia, podpatrzonego bądź to w paryskim bistro, w metrze, teatrze czy wprost na ulicy, jak też kolorytu, który przeszedł ogromną metamorfozę. Kto pamięta obrazy Czapskiego te z czasów warszawskich, malowane dywizjonistycznie przecinkiem, a nawet i te szerokie, gwałtowne, bardzo kontrastowe płaszczyzny z tamtych czasów, zrozumie na czym te przemiany polegają.

Ostatnie obrazy Józia emanują jakimś ukrytym światłem. Kolory, chociaż tutaj o wiele bardziej ściszone — promieniują i dźwięczą, przy tym technika malowanie posiada teraz nadzwyczajną swobodę. Działanie barwne jest dla Czapskiego coraz bardziej czymś konsekwentnym i nieodzownym i wbrew całej

abstrakcyjności logiki jego palety, te kombinacje kolorów są u niego zrośnięte z rozkoszą doznania otaczającego go świata. Toteż obrazy Czapskiego nie dają nigdy wrażenia zimnej, mózgowej tylko kombinacji, a zawsze pełną emocję.

Nieoczekiwane kompozycje, na które składają się fragment twarzy i wnętrze kawiarni, albo wycinek wagonu i kapelusz siedzącej postaci, czy po prostu skrawki pejżażu, są wynikiem błyskawicznych obserwacji. Aby jednak z tych szybkich notatek stworzyć malarstwo, potrzebne były temu artyście lata wytężonej, świadomej pracy i dociekań nad wyłuskaniem tych jedynych okruchów absolutnie własnych, z których malarz buduje swoją sztukę.

◆

Wystawa ostatnich prac malarskich *Marka Żuławskiego* miała miejsce w Drian Gallery od 27 października do 14 listopada 1964 r.

Ten najnowszy cykl obrazów przedstawia figury ludzkie odarte ze swej identyczności i spowite w dostojnym osamotnieniu — świadczy o ciągłych poszukiwaniach Marka, zmierzających ustawicznie w jednym tylko kierunku, a mianowicie do stworzenia wizerunku człowieka, który by odpowiadał mianu jakie przywiązujemy dzisiaj do tego pojęcia. Zadanie ambitne. Któremu z malarzy udało się wyjść poza dramat albo groteskę ludzkiej egzystencji? Ale niebo objawia się tym co go szukają i narastanie konfliktu wewnętrznego, jaki wyczuwamy w ostatnich pracach Żuławskiego, każe przypuszczać, że jest on na właściwej drodze.

◆

Czterdzieści obrazów *Zygmunta Klosia* wystawionych w Cassel Gallery (14.5-10.6.1964) pokazuje malarza o dużym potencjalnym talencie, bardzo wrażliwego na kolor, posiadającego bogatą wyobraźnię i twórczą inwencję.

Czy może być lepiej? Odpowiedź brzmi: tak! Bliższa analiza malarstwa Klosia wykazuje, że ten artysta kontentuje się po prostu radością jakiej dostarcza mu sama funkcja malowania. Szkicowość jego prac, jakkolwiek przekonuje świeżością zobaczenia i wyszukanymi kolorami, każe przypuszczać, że nie przeżył on konfliktu pomiędzy ambitnym założeniem i jego realizacją, i ta okoliczność usprawiedliwia do pewnego stopnia pewną stagnację i zatrzymanie się na problemach, których Kloś nie chce czy nie potrafi pogłębić.

Praca artysty staje się naprawdę interesująca dopiero wówczas, gdy jego zamierzenia przerastają możliwość realizacji i wtedy właśnie zaczyna się praca mierzona nie ilością ale jakością.

Równocześnie z malarstwem Zygmunta Klosia, który jak po-

daje katalog, żyje obecnie, pracuje i maluje w Londynie, wystawia swoje obrazy *Ryszard Zając* — artysta z Polski. Jego obrazy mają wszystkie cechy dobrego malarstwa; takie jest pierwsze wrażenie, ale i tutaj wnet spostrzegamy, że w większości wypadków są to pozory.

Obrazy Zająca są namalowane bardzo efektownie i wdzięcznie. Posiadają przeważnie ciepły koloryt lub szare tonacje i lekkostrawną tematykę. Trudność zaczyna się dopiero w momencie, kiedy staramy się zanalizować oryginalne twórcze elementy, jakie ten malarz wnosi do sztuki. Odkrywamy, że jest to twórczość typu raczej eklektycznego, gdzie zręcznie zestawione masy koloru i rytmów, a nawet i sama tematyka, emanują atmosferę znaną nam dobrze z twórczości artystów z początku naszego stulecia. Mamy tutaj jakieś echa Modiglianiego, Kubistów a nawet Cézanne'a, dobrze zaprawione oryginalną zresztą techniką, typową dla Zająca i bodaj jedyną jego odkrywczą własnością.

Najbardziej indywidualne elementy w jego pracach objawiają się w urbanistycznych pejzażach, nie tak może dekoracyjnych i efektownych jak jego gorące martwe natury, ale odczutych w nastroju i pięknie komponowanych.

◆

W wystawie „Four one Man Shows" (Drian Gallery, 5.8-19.8.1964) brało udział dwu Polaków z emigracji: rzeźbiarz *W.G. Kawalec* i malarz *Tadeusz Wąs*.

Malarstwo Wąsa związane jest silnie z odczuwaniem abstrakcyjnym. Dwanaście wystawionych płócień wykazuje, że w tej fazie swojego rozwoju artysta pogłębia przede wszystkim swoje doświadczenia kolorystyczne. Przejawia się to w kombinacjach światła koloru i abstrakcyjnych, luźnych form, z których Wąs formuje swoją malarską rzeczywistość. Nie ma tu najmniejszych nawet sugestii metafizycznych czy romantycznych. Są to obrazy przeważnie o tonacjach zimnych, utrzymanych w jasnych barwach, bardzo efektownie zrealizowanych technicznie przy pomocy szpachli.

Te obrazy przypominają niekiedy wygląd emaliowanych powierzchni, do tego stopnia Wąs posunął dbałość o jakość koloru. Kompozycje Wąsa powstają przez nakładanie dość przezroczystych form koloru jednego na drugi, z których tworzy się dość nieregularny ornament plastycznej przestrzeni.

Rzeźby Kawalca charakteryzuje ogromna pracowitość. Kunsztownie wykonane ażurowe formy organiczne, półabstrakcyjne na dobrą sprawę pasowałyby świetnie, z uwagi na swoją drobiazgową dłubaninę, do schyłkowego gotyku, gdyby nie fakt, że są tworem artysty tworzącego w drugiej połowie XX wieku.

Jest coś niezdrowego w tej plątaninie zawijasów, bez powodu i celowości wycyzelowanych delikatnych zwojów, przypominających swoją plątaniną jelita czy jakieś dziwne organizmy

morskie. Być może tego rodzaju wrażenie wywołuje tutaj fakt, że stosunek Kawalca do materiału jest w zasadzie inny niż ten, do którego przywykliśmy, lub jaki powszechnie obowiązuje (a może obowiązywał?), a który nakazuje szacunek do tworzywa w tym sensie, że sam materiał sugeruje artyście formy i kompozycje i w ten sposób bryła granitu czy piaskowca zawiera potencjalnie zupełnie inne możliwości, niż dajmy na to pień lipowy.

U Kawalca rzeźby w drzewie i kamieniu przybierają podobne kształty. Są one wynikiem mozolnej pracy przeniesienia idei kompozycji, która powstała na papierze. Czy taka postawa jest świadomym aktem wyboru czy zwykłą ignorancją? Są przecież na tej wystawie rzeźby Kawalca świadczące o tym, że rozumie on co to jest bryła i masa i dlatego tym większą dla mnie zagadką jest upodobanie jego do ażurów.

Pomimo tych uwag, ta wystawa jest poważnym wysiłkiem twórczym i zasługuje na uwagę.

„Kolor i Rytm" oto tytuł wystawy w New Vision Center Gallery (9.11.-28.11.1964), pod którą wystąpiło *Zrzeszenie Polskich Artystów Plastyków w Wielkiej Brytanii.*

Omówienia z tej wystawy ukazały się w „Times'ie" (14.11. 1964), w „Herald Tribune" (wydanie paryskie z 24.11.1964), w „Dzienniku Polskim" (24.11.1964) i w „The Arts Review" (28.11. 1964).

O ile prasa anglosaska bardzo pozytywnie ocenia ten wysiłek polskich artystów — to „Dziennik Polski" dość ostro krytykuje tę wystawę. Alicja Drwęska pisze:

„Wystawy zbiorowe są tylko wtedy interesujące, jeśli pokazują dzieła artystów o wysokim ciężarze gatunkowym. Tego warunku, niestety, prace polskich plastyków na pokazie „Colour and Rythm" nie spełniają. Koloru jest rzeczywiście dużo, ale zbyt rozrzutne szafowanie barwą bynajmniej jej nie uwydatnia, podobnie jak zbytnia gadatliwość pokrywa często wewnętrzną pustkę.

Ten brak treści jest niejednokrotnie wyczuwalny właśnie w obrazach, gdzie farba pokrywa płótna gęsto i grubo — bez umiaru i odpowiedzialności. Być może dlatego właśnie uwypuklają się dodatnio te prace, gdzie kolor użyty jest oszczędnie i td."

W przeciwieństwie do tego „Times" zaczyna swoje omówienie bardzo entuzjastycznie: „Nieopanowany wigor i radość cechują sztukę Polaków na uchodźtwie, których twórczy wysiłek witamy tym razem w „New Vision Center Gallery". Bobrowski, Ilnicki, Kościałkowski, Piesowocki, Turkiewicz, Nałęcz, Borhart i Chrzanowski — oto nazwiska, które zauważa krytyk w związku z oceną indywidualnego tego zbiorowego pokazu, a malarstwo Mariana Kościałkowskiego zostało tutaj specjalnie akcentowane.

Sheldon Williams w „New York Herald Tribune", Paris z 24 listopada 1964 pisze:

„New Vision Center Gallery" jest okupowana przez Polaków pod banderą „Colour and Rythm". 26 artystów o różnej sławie prezentuje pełną rozpiętość zainteresowań od sztuki figuratywnej po czystą abstrakcję. Bardzo specjalną métier monochroniczną i zdyscyplinowaną jest kontrybucja Turkiewicza w tej wystawie, zaś obraz S. Frenkiela „Dwu na motocyklu" wykazuje dalsze postępy w jego interesującym sposobie traktowania figur. Są tutaj także dwa liryczne studia pejzażowe Haliny Nałęcz, pracującej teraz poważnie. Oddaje ona bajkowość świata tęczowych drzew i rajskich ptaków. Jej trud został tutaj wynagrodzony".

Eddie Volfram w „The Arts Review" po wyczerpującym omówieniu charakterystycznych cech wystawionych eksponatów, przechodzi do omówienia osiągnięć poszczególnych artystów i mówi, że Bobrowski daje sobie radę z formą w sposób autorytatywny i dodaje, że jego bohaterskie metalowe figury stwarzają wibrującą przestrzeń. O Halinie Nałęcz pisze, że jej prace posiadają liryczny czar, a prace Wernera, Piesowockiego, Olgi Karczewskiej, Frenkiela, Znicza-Muszyńskiego i Haliny Sukiennickiej są podniecające. Kończy tym, że Tadeusz Bentlich i Zygmunt Turkiewicz wyróżniają się jako dojrzali twórcy oryginalności.

Cokolwiek mówi się i pisze o pracy polskich plastyków w Wielkiej Brytanii, fakt, że oni działają należy oceniać pozytywnie, a za trud zorganizowania tej imprezy należą się słowa uznania organizatorom.

◆

Na wystawę pod nazwą „Five Contemporary Polish Painters" w Cassel Art Gallery (27.11.-31.12.1964) składały się dobrze wybrane prace czterech malarzy z Polski, a to: Dominika, Niemczyca, Nowosielskiego i Zająca oraz jednego malarza z emigracji w osobie Zygmunta Turkiewicza.

To zestawienie tak odmiennych temperamentów artystycznych o biegunowych podejściach i zapatrywaniach na sztukę, było eksperymentem, który uczynił tę imprezę żywą i przyczynił się w dużym stopniu do jej popularności.

Obrazy o koncepcji czysto abstrakcyjnej sąsiadowały tutaj z kompozycjami figuratywnymi i nie tylko z tego powodu niczego nie traciły, ale wręcz przeciwnie pomagały sobie wzajemnie, jak gdyby się uzupełniały.

Malarstwo Dominika, Niemczyca i Zająca omawiałem już z okazji ich wystaw wcześniejszych, a z wiadomych przyczyn nie mogę na tym miejscu rozważać twórczości pozostałych współautorów tej wystawy i wobec tego przytaczam wyjątki recenzji Alicji Drwęskiej zamieszczonej w „Tygodniku Polski" z dn. 5 grudnia 1964:

„Abstrakcyjne kompozycje Turkiewicza są najbardziej interesujące i w koncepcji i w harmonijnej prostocie konstrukcji, i w subtelności kolorytu, wrażliwości oraz bogactwie materii malarskiej. Turkiewicz zestawia zwykle dwie lub trzy duże plamy barwy — jest to pozorna wstrzemięźliwość, gdyż w tej ograniczonej skali mieści się niezliczona ilość odcieni subtelnie zróż-

niczkowanych pigmentem oraz fakturą przeważnie chropowatą, z rzadka tylko dyskretnie lśniącą, zbudowaną jak u Dubuffeta z mieszaniny farb, kolorowych kamyczków, szkiełek, przeróżnych żwirów, piasków i tp. Owe kombinacje różnorakich materiałów są sekretem artysty, skutkiem cierpliwych poszukiwań i badań. Obrazy Turkiewicza promieniują nastrój pogodnej ciszy i spokoju".

Jedna kompozycja olejna Dominika o jasnej tonacji utrzymana w szarościach i bielach z akcentami czerni i brązów jest wynikiem sympatii artysty dla taszyzmu, ale pokazane tutaj jego cztery akwarele świadczą o indywidualnych poszukiwaniach malarza. Wyrażają się one w silnych zestawieniach barwnych o dużym natężeniu koloru i ciekawie skontrastowanych.

Koncepcja tych kompozycji jest abstrakcyjna. O pozostałych malarzach Drwęska pisze:

„Barwa głęboka, ciepła, świetlista charakteryzuje również martwe natury oraz pejzaże Zająca, w których odnaleźć można wpływy Cézanne'a i echa kubizmu. Zając nie potrafił jednak zbudować przestrzeni malarskiej, jego obrazy są płaskie, ale bardzo dekoracyjne i ładne.

Zmodernizowana „bizantyńskość" ikon Niemczyca jest bardzo powierzchowna, tak samo jak podobieństwo jego rysunków do prac Modiglianiego — doskonałe poczucie formy, oszczędność i rytm linii włoskiego mistrza zostały zastąpione kaligrafią, ozdobnością arabeski. Elegancja, ładność i płytkość prac Niemczyca należy raczej do dziedziny „comercial art", czyli sztuki zdobniczej. Bardziej zrozumiała jest „bizantyńskość" wysmukłych aktów Nowosielskiego, gdzie czerwonawy koloryt ma pewną szlachetność, a kompozycja zbudowana jest z sensem i umiarem, ale i w jego obrazach znajduje się zbyt wiele oddźwięków, rzeczy widzianych, odtworzonych, a niedostatecznie przetrawionych i nieprzetransponowanych w osobistą samorodną wizję malarską".

Druga z kolei indywidualna wystawa malarstwa *Olgi Karczewskiej* miała miejsce w „New Vision Centre Gallery" (28.12. 1964-16.1.1965).

Składało się na nią jedenaście olejów. Karczewska szuka swego wyrazu przez organizowanie płaszczyzny obrazu za pomocą rytmów i form, które powiązane ze sobą tworzą interesującą tkankę kompozycyjną. Komórki tej tkanki są następnie wypełnione kolorową materią.

Charakter tych kompozycji jest dość tajemniczy, Formy, z których są one zbudowane mają pewną płynność i z reguły są niedopowiedziane i z tej przyczyny mają one zdolność pobudzania wyobraźni widza, który może interpretować je dowolnie.

Ekspresyjna postawa jest wyjściem dla poczynań malarskich Karczewskiej ale w pewnej fazie powstawania obrazu wprowadza ona do swoich kompozycji elementy liryczne. Obrazy jej robią wrażenie dobrze przemyślanych kompozycji, dobrze wyważonych i posiadają szlachetną kolorową powierzchnię.

Sheldon Williams omawia w paryskim wydaniu „Herald Tribune" (24 listopada 1964) imprezę pod nazwą *„Drian Artist 1965"*.

„100 artystów — pisze on — bierze udział w tej dorocznej antologii Drian Gallery.

Tutaj Pani Nałęcz przeszła samą siebie. Jest to prawdopodobnie najlepsze osiągnięcie Galerii w tego rodzaju bardzo trudnych i ryzykownych przedsięwzięciach. Setka prac została skatalogowana.

Wielkie płótna Topolskiego, Lacasse'a, Portwaya, Tate i Naviasky dominują dolne sale Galerii. Topolski robi wrażenie, że wreszcie wyzwolił się od wpływu karykatury. Lacasse i Portway są specjalnie imponujący — po czym zapory wodne ustępują. Naprawdę można tutaj zobaczyć wyraźnie mikrokosmos całego ruchu sztuki współczesnej ostatnich dwudziestu lat, rozsianych jak konfetti milionerów po różnych salach. Szereg *glamorous* nazwisk: Agan, Turkiewicz, Bowen, Shettini, Clemente, Paulozzi itd".

Od siebie dodaję, że na owych sto nazwisk artystów, dziesięć należy do Polaków. Poza wymienionymi już w tekście są to: Adamowicz, Bohusz, Kawalec, Potworowski, Stocki, Themerson i Żuławski.

Cassel Gallery Selection of Etchings, Dravings and Gouaches (16.1-16.2.1965) jest udanym eksperymentem pokazania w sposób interesujący prac niekoniecznie wielkich rozmiarów i bogatych fakturowo. Wielkość i ciężar zastąpiono tutaj jakością.

Wystawione eksponaty są bardzo starannie dobrane i świetnie rozmieszczone co uwypukla znakomicie różnorodność w potraktowaniu formalnym, stosowaną przez poszczególnych artystów.

Całość prezentuje się interesująco i powiedziałbym ma posmak rafinowanej powściągliwości.

Dwadzieścia akwafort Marii Okołow są wynikiem bardzo rzetelnych studiów i dużej pracy. Graficzka operuje znakomicie całą gamą delikatnych szarości jak też silnymi kontrastami walorów, które stosuje z wyczuciem i umiarem.

Forma tych grafik nie wychodzi wprawdzie poza studia natury, ale wrażliwość artystyczna w połączeniu z dyscypliną wynikającą z samej techniki akwaforty, dają znakomite rezultaty.

Interpretacja formy jest tutaj spowodowana koniecznością techniczną co ratuje to w gruncie rzeczy naturalistyczne widzenie od banału i nudy.

„Prace Turkiewicza odznaczają się wysokim poziomem *(high quality)* — pisze Henry Burwood w „Arts Review" z 23.1.1965 r. — Jego studia aktów wykazują szeroką rozpiętość interpretacji: od wrażliwych, linearnych rysunków po monumentalnie potraktowane gwasze, zaś rysunek zatytułowany „Composition" świadczy o dużej inwencji i indywidualności artysty".

Prace Musiałowicza wyrażają namiętność rysownika, który z uporem poszukuje wyrazu plastycznego dla swych kompozycji potężnych głów zaplątanych w siatce linii i plam, położonych dość czytelnie, a zawsze rytmicznie i z myślą o całości komponowanej płaszczyzny.

Poza wyżej wymienionymi, w wystawie biorą również udział Lajzen i Z. Kloś.

Geniusz i talent są wartościami, które tylko czas może obja-

wić i zwykle dzieje się to powoli. Opinie są przedmiotem ciągłych rewizji; dlatego bezpieczniej jest rejestrować fakty niż formułować oceny.

Z tego powodu wystawę rzeźb *Kopera*, która miała miejsce w Brook Street Gallery w lutym 1965 roku odnotowuję tutaj jak najbardziej obiektywnie i po kronikarsku.

Tak więc stwierdzam, że szesnaście rzeźb Kopera wystawionych w galerii, położonej w ruchliwym centrum Londynu, tuż przy Bond Street, ośrodka najbardziej snobistycznych Galerii, nie mogły ujść uwadze ludzi zainteresowanych sztuką. Impreza ta zwraca uwagę tym, że większość pokazanych tu rzeźb została zrealizowana w marmurze. Koper upodobał sobie ten materiał, zasmakował w odmianach tego kamienia i zdziwia nas mnogością gatunków marmuru jakich używa dla swego dzieła.

Tak więc „Auraja" powstała z marmuru australijskiego, a „Trafur" z południowo-afrykańskiego i dla odmiany „Mack" został uwieczniony w marmurze belgijskim a „Square Composition" w sycylijskim. Marmury, marmury; parvenese'skie, sieneńskie paonerzeńskie i dla odmiany algierski onyks, czarny dąb twardy jak skała z którego zrobił bożka „Żywica" i największa z jego rzeźb „Double Figure" wykonana w lipie, z dużym znawstwem materiału, na wzór średniowiecznych mistrzów wydrążona w środku, w celu zabezpieczenia przed pękaniem. Forma tych rzeźb aczkolwiek w założeniu jest figuratywna to jednak poprzez bardzo syntetyczne potraktowanie, graniczy z abstrakcją.

Pięknie wypolerowane powierzchnie nadają tym pracom znamiona klasycznej doskonałości.

Koper doskonale rozumie rzeźbę i znakomicie łączy pierwiastki energii z głębią odczucia bryły.

Z. TURKIEWICZ

W oczach Londynu

Instytut Bibliograficzny, stanowiący część składową Biblioteki Narodowej w Warszawie, odróżniał przed r. 1939 dwie kategorie druków: 1) produkcję wydawniczą Kraju, pokrywającą się z pojęciem egzemplarza obowiązkowego dostarczanego na mocy odpowiedniej ustawy bezpośrednio przez drukarnie (a nie wydawców!). Należały do niej druki nie tylko w jęz. polskim, ale i kilku językach mniejszości narodowych z ukraińskim i żydowskim (hebrajski i jiddisz) na czele; 2) tzw. „polonica", tj. druki polskie lub Polski dotyczące wydane poza granicami Kraju, i jak wykazała wieloletnia przedwojenna praktyka w części tylko rejestrowane przez narodowe bibliografie bieżące krajów,

w których je ogłoszono. W obu grupach występowały pospołu tzw. druki nieperiodyczne (książki, broszury, dokumenty życia społecznego typu ulotek, odezw i tp.), czasopisma i „continuanda", nuty i mapy. Rejestracją tych wydawnictw zajmował się „Urzędowy Wykaz Druków" i specjalny dodatek poświęcony rejestracji poloniców. Międzynarodowy Instytut Współpracy Intelektualnej w Paryżu rejestrował ponadto przekłady w „Index Translationum". Rozdział polski opracowywał wspomniany wyżej Instytut Bibliograficzny Biblioteki Narodowej.

Ten stan rzeczy uległ po wojnie poważnym zmianom. Biblioteka Narodowa podjęła wprawdzie publikację bieżącej bibliografii krajowej w tygodniku pt. „Przewodnik Bibliograficzny" rezygnując jednak z systematycznego ogłaszania dodatku poświęconego polonicom, wśród których górowałyby ilościowo wydawnictwa emigracyjne o wymownych często tytułach. Od niedawna, po Październiku, ukazywać się zaczęła w formie rocznika starannie opracowana, choć nie wolna od przemilczeń, bibliografia poloniców zagranicznych. Rejestruje je także, na odcinku humanistycznym „Rocznik Literacki".

Na Emigracji ewidencję poloniców prowadzi Biblioteka Polska w Londynie, która przygotowuje obecnie t. III „Bibliography of Books in Polish or relating to Poland published outside Poland since Sept. 1 st, 1939" za lata 1958-1963, jako kontynuację t. I-II opracowanego przez śp. Janinę Zabielską[1]. Bibliografię bieżącą zastępują częściowo wykazy nowych nabytków tejże Biblioteki publikowane w formie kwartalnika pt. „Books in Polish", doskonałe rubryki bibliograficzne „The Polish Review" (ograniczone jednak do wydawnictw w jęz. angielskim) oraz wykazy książek nadesłanych do redakcji i recenzje ogłaszane w „Kulturze", „Wiadomościach", dodatku tygodniowym „Ostatnich Wiadomości", „Orle Białym", i tp. Ale nawet przy najlepszych chęciach trudno zrekonstruować na ich podstawie obraz całości.

Polska produkcja wydawnicza na Emigracji nie zna instytucji egzemplarza obowiązkowego nawet w zakresie druków w języku polskim. Zastępuje ją, do pewnego stopnia, spontaniczna akcja większości wydawców i autorów, którzy poczuwają się do przesyłania Bibliotece Polskiej w Londynie egzemplarzy do specjalnego księgozbioru „archiwalnego" udostępnionego tylko na miejscu w Czytelni Naukowej. Na odcinku druków w językach obcych działa to jednak b. kulawo a brak funduszów uniemożliwia zakup publikacji b. kosztownych albo „wielokrotnych" takich np. jak wznowienia przekładu „Quo Vadis" w jęz. hiszpańskim czy wreszcie wydawnictw w językach takich jak holenderski, japoński itd, znanych nielicznym jednostkom i trudnych do

1. W r. 1964 staraniem Biblioteki Polskiej w Londynie ukazał się powielany „Catalogue of periodicals in Polish or relating to Poland published outside Poland since Sept. lst, 1939" w oprac. Marii Danilewiczowej i Genowefy Sadowskiej, przynoszący obraz stanu posiadania Biblioteki w zakresie czasopism emigracyjnych (795 tytułów).

wyłowienia bez czynnej pomocy autorów książek tłumaczonych (jeśli żyją). Te ostatnie kategorie druków są jednak w sensie bibliograficznym uchwytne dzięki nieocenionemu wydawnictwu UNESCO pt. „Index Translationum" będącemu kontynuacją wspomnianego wyżej wydawnictwa przedwojennego paryskiego. Uwzględnia ono szeroko liczne przekłady z jęz. polskiego ukazujące się obecnie w różnych językach w ZSSR, w Czechosłowacji, Niemczech Wschodnich i td. Rejestrują je zresztą dokładnie wydawnictwa bibliograficzne Biblioteki Narodowej w Warszawie, co zwalnia Londyn od kłopotów związanych z opisywaniem ich i wyszukiwaniem. Tym ważniejsza jest jednak rejestracja poloniców zachodnich a w ich liczbie druków w językach innych niż polski.

„W oczach Londynu" („Kultura" Nr 12/206/1964 i 3/209/1965) zajęło się omówieniem „podstawowej" produkcji wydawniczej w jęz. polskim z odcinka emigracyjnego. Na resztę — druki obcojęzyczne — składa się materiał ilościowo nawet pokaźniejszy, bo 152 pozycje, formalnie i treściowo jeszcze bardziej zróżnicowany. Warto przyjrzeć mu się bliżej, bo kryje się w nim wiele ciekawych niespodzianek.

Poloniców najklasyczniejszych tj. przekładów z języka polskiego na języki obce odnotowano dotąd niewiele, zaledwie dwanaście. Pozycją najszacowniejszą jest angielski przekład „Pana Tadeusza" pióra Kenneth Mackenzie'go, wydany nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie, będący niewątpliwie krokiem naprzód w stosunku do niedawno ogłoszonego w Nowym Jorku przekładu Watsona Kirkconnell'a. Analogiczne zjawisko wystąpiło na terenie Niemiec — i tam także ukazały się w odstępie paroletnim dwa przekłady „Pana Tadeusza" pióra W. Panitz'a i Hermanna Buddensieg'a. Są one hołdem złożonym Mickiewiczowi przez olśnionych jego dziełem cudzoziemców i konkretnym dowodem wzrostu zainteresowania arcydziełami literatury polskiej. Zamiast trzech, choćby bardziej jeszcze udoskonalonych wersji „Pana Tadeusza", ukazać się jednak winny w bliskiej przyszłości przekłady łatwiejszych do recepcji utworów a więc „Dziadów" czy „Nie-Boskiej Komedii" (Krasińskiego).

Warto wydobyć na jaw osobliwą historię fototypicznej reprodukcji angielskiego przekładu „Ogniem i mieczem" z dawnego (1898) wydania bostońskiego. Londyński Okręg angielskiego Zw. Bibliotekarzy gnębiony od lat zamówieniami na przekład „Trylogii" wydał ową reprodukcję na własną rękę, nie komunikując się, jak się zdaje, z Polakami. Przekład pióra Jeremiasza Curtina jest, niestety, daleki od doskonałości i wprost woła o drastyczne poprawki lub (raczej) nowe opracowanie. Innym dowodem samorzutnej poczytności Sienkiewicza jest nowe wydanie przekładu „Quo Vadis?" ze wstępem Moniki Gardner w „Everyman's Library" (t. 1970).

Z fragmentów ogłoszonych w „The Polish Review" wynika, iż zanosi się na przekład „Lalki". Tłumaczy ją David John Welsh, mający już za sobą kilka dobrze przyjętych przez krytykę prze-

kładów z polskiego; — Welsh jest znawcą polskiej literatury XVIII w. i autorem wartościowych rozpraw o drukach Gröllowskich z czasów Stanisława Augusta, o Krasickim itd.

W zakresie nowszej literatury polskiej pozycją szczególnie użyteczną jest „Introduction to modern Polish literature" w postaci antologii poezji i prozy opracowanej przez Adama Gillona i Ludwika Krzyżanowskiego (New York, Twayne Publishers, Inc.) Obejmuje ona może nawet zbyt długi okres — od pozytywistów do chwili bieżącej — i w wyższym stopniu od niedawnej antologii Kuncewiczowej („The modern Polish mind") spełniać może funkcje uniwersyteckich wypisów z literatury polskiej dla początkujących slawistów. Literatura emigracyjna reprezentowana jest skąpo: Wierzyński, Lechoń, Wittlin, Stan. Baliński, Miłosz, Gombrowicz, Janta, Hłasko. Uderza brak Herlinga, Tad. Nowakowskiego, Józ. Mackiewicza, Sułkowskiego, Przyłuskiego, Łobodowskiego, „młodych" poetów emigracyjnych. Teksty, z rażącym wyjątkiem Adolfa Rudnickiego, wybrane trafnie — przekłady b. nierówne, choć na dobro wydawców antologii zapisać trzeba dbałość o wciągnięcie nowych nazwisk i rozszerzenie tradycyjnego kręgu tłumaczy. W sumie książka udana i wołająca o ciąg dalszy.

Z przekładów książek pisarzy emigracyjnych odnotowano dotąd tylko francuską wersję „Dziennika" Witolda Gombrowicza z lat 1953-6 w przekładzie Allana Kosko (Paris, Juliard) i tom nowel Les(zka?) Shymansky'ego (Szymańskiego) pt. „Escape to the tropics" (Londyn, B. Świderski i Parnassus Publ. House, Sydney). Z krajowych — „Le monde de pierre" T. Borowskiego w przekł. E. Veaux (Paris, Calmann-Lévy) oraz tom wierszy Jerzego Hordyńskiego „Les retours inaccomplis", tł. Suzanne Arlet (Paris, Ed. de la Revue Moderne). Po niemiecku ukazały się „Gedichte" Zbigniewa Herberta w pięknym przekładzie Karla Dedecius'a (Frankfurt am Main, Suhrkamp). Warto przypomnieć, że do antologii Gillona i Krzyżanowskiego weszły doskonałe przekłady angielskie wierszy Herberta pióra Magdaleny Czajkowskiej, tłumaczki „Rekonstrukcji poety", słuchowiska radiowego wznawianego parokrotnie w tzw. Trzecim Programie BBC (obok „Policji" Mrożka).

Bestsellerem światowym stała się niewątpliwie książka Jana Kotta w przekładzie angielskim Bolesława Taborskiego, wydana pt. „Shakespeare, our contemporary" naprzód w Stanach Zjednoczonych (Doubleday and Co. — ze wstępem Martina Esslina) a następnie w Londynie (1965, Methuen — ze znacznie słabszą przedmową sławnego reżysera Peter Brook'a). Miarą jej powodzenia są żartobliwe głosy krytyków o „preKott'ian Shakespeare" czy „kulcie Kotta", kilometraż niezliczonych a przeważnie pochlebnych recenzji oraz połykanie „paperback'ów" przez wszystkich, którzy pragnąć być *au courant* najnowszej szekspirologii. Kott winien płacić odsetki od otrzymywanych honorariów duchowi Boy'a — sukces zawdzięcza nasiąknięciu stylem „Flirtu z Melpomeną" w okresie redagowania zbiorowego wydania pism

mistrza. Anglosascy krytycy „Szkiców o Szekspirze" podkreślają zgodnie teatralną użyteczność książki jako inspiracji dla reżyserów — jest to niewątpliwą osobliwością w stosunku do pracy, której autorem jest profesor historii literatury, który w teorii winien być człowiekiem z kurzu. Stąd najchłodniejsze przyjęcie ze strony uczonych przyczynkarzy a entuzjazm szerokiej publiczności.

Bez wrażenia przeszedł przekład książki Jana Dobraczyńskiego „Wyczerpać morze" („To drain the sea", tłum. H.C. Stevens, London, Heinemann).

Na odcinku historii literatury polskiej pozycją najważniejszą jest książka zbiorowa: „Zygmunt Krasiński, romantic universalist. An international tribute" pod red. prof. Wacława Lednickiego, wydana przez Polski Instytut Naukowy w Nowym Yorku w r. 1964 a poprzednio drukowana, niejako odcinkami, na łamach „The Polish Review". Podobnie jak „Mickiewicz in World Literature" (pod red. tegoż prof. Lednickiego) jest ona dziełem zbiorowym uczonych obcych kilku narodowości (prof. Claude Backvis, Jean Stanislas Clement, Hermann Buddensieg) i polskich historyków literatury ze zmarłym prof. Wł. Folkierskim na czele. Redaktor wykazał chwalebną tolerancję w stosunku do rozbieżnych sądów o Krasińskim, stąd przepaść między, powiedzmy, prof. Z.L. Zaleskim a bojowym Miłoszem („Krasiński's retreat"), dla którego Krasiński kończy się na genialnej „Nie-Boskiej Komedii", dziele dwudziestolatka. Polskimi współautorami książki byli: Miecz. Giergielewicz, Wiktor Weintraub, Zygmunt L. Zaleski, Wład. Folkierski, Stanisław Piekut i Czesław Miłosz. Książka nasuwa przypuszczenie, że na terenie międzynarodowym można kusić się o wzbudzenie zainteresowania Krasińskim wydając dobrze przemyślany wybór pism, obejmujący całość „Nie-Boskiej" i fragmenty listów z uwagą skoncentrowaną na rozważaniach historiozoficznych, których aktualność zadziwia. (Na podobnie pomyślany wybór („essential Norwid") czeka dotąd żywy autor „Vade-mecum").

Krasińskiego dotyczy także rozdz. 3 książki Victora Erlicha pt. „The double image. Concepts of the poet in Slavic literatures" (Baltimore, John Hopkins Press).

Pokłosie prac z zakresu historii literatury polskiej jest zresztą w r. 1964 całkiem pokaźne. Pozycje najważniejsze:

Prof. Harold B. Segel: „From Albertus to Zagłoba: The Soldier Braggart in Polish Literature" — w t. III „Indiana Slavic Studies" 76-112; autor jest uczniem prof. Wiktora Weintrauba i dobrym znawcą Fredry, którego komedie tłumaczy;

Prof. Jean Fabre: „Lumières et Romantisme, energie i nostalgie, de Rousseau à Mickiewicz" (Paris, G. Klincksieck) — nowa praca świetnego znawcy polskiego i europejskiego Oświecenia;

Siostra Florencja Tumasz: „Eighteenth century English literature and the Polish Enlightenment (1764-1822)" (Ann Arbor, Univ. Microfilms) — repr. maszynopisu pracy doktorskiej przy-

jętej na Fordham Univ. Autorka, zakonnica, jest Polką amerykańską o wielkich zasługach na polu szkolnictwa. Rozprawa jej jest rezultatem wieloletnich studiów (m.in. w Paryżu i Londynie) i opiera się na ogromnym materiale porównawczym.

Wieku XVIII-ego dotyczy też rozprawa D.J. Welsh'a pt. „Metastasio's reception in 18th cent. Poland and Russia" („Italica", XLI, 1, 1964, 41-6).

Na odcinku studiów nad Mickiewiczem zwraca uwagę książka Samuela Scheps'a pt. „Adam Mickiewicz, ses affinités juives" (Paris, Nagel, s. 103) z przedm. prof. J. Fabre'a. Lekturę utrudniają straszliwe błędy drukarskie w cytatach i nazwiskach.

Prof. Wiktor Weintraub oświetlił ciekawie na szerokim tle porównawszym „The problem of improvisation in romantic literature" („Comparative Literature", XVI, 1964, Nr 2). Jest to rozszerzony i opatrzony przypisami tekst referatu wygłoszonego 20.XII.1962 na Comparative Literature Conference w Harvard University.

Wspomniany już wyżej prof. H.B. Segel ogłosił w r. ub. tekst referatu pt. „Mickiewicz and the Arabic *Qasidah* in Poland", wygłoszonego na V Międz. Kongresie Slawistów w Sofii (The Hague, Mouton, w pracy zbiorowej pt. „American contributions to the V Intern. Congress of Slavists", Sofia 1963, s. 279-300).

Wartość informacyjną ma artykuł prof. Konst. Zantuan'a pt. „Mickiewicz in Russia" („The Russian Review", XXIII, Nr 3, July 1964), omawiający nowsze prace krajowych historyków literatury na ten temat.

Prof. Arthur Prudden Coleman i Marion Moore Coleman odbyli przed kilku laty wędrówkę śladami Modrzejewskiej i Sienkiewicza do Anaheim i innych miejscowości związanych z „dwojgiem wędrowców". Rezultatem ich poszukiwań jest starannie wydana książeczka pt. „Wanderers twain: Modjeska and Sienkiewicz: a view from California" (Cheshire, Conn., Cherry Hill Books, s.X, 111).

O roli prof. Fabre'a jako inicjatora i opiekuna prac z zakresu historii literatury polskiej świadczy chlubnie rozprawa Ireny Kwiatkowskiej-Siemieńskiej pt. „Stefan Żeromski. La nature dans son expérience et sa pensée" z przedmową profesora (Paris, A.G. Nizet, s. 256).

Doskonałą znajomością tematu uderza świetnie przy tym napisana rozprawa dra Karla Hartmann'a pt. „Das polnische Theater nach dem Zweitem Weltkrieg" (Marburg, N.G. Elwert Verlag, s. VIII, 126, 16 plansz). Ten sam autor opracował informacyjny szkic pt. „Das wissenschaftliche Leben in Polen" (Marburg, Gesprächkreis Wissenschaft und Wirtschaft, Stifterverband f.d. deutsche Wissenschaft, 90 k.).

Warto odnotować entuzjastyczne oceny współczesnego teatru polskiego w londyńskim „Radio Times". Nicolas Bethel pisał tam 27.II.1964 o „Policji" Mrożka („Studied anarchy") a Martin Esslin, autor słynnej książki o teatrze absurdu o „The new wave

in Polish drama" (23.I.1964), wykazując zadziwiająco dobrą znajomość sztuk Mrożka, Różewicza i Jerzego Broszkiewicza.

W grudniowym nrze *Preuves* został zamieszczony trzydziestostronicowy wybór (18 wierszy) z „Antologii poezji polskiej", opracowanej przez K.A. Jeleńskiego, która ma się ukazać w najbliższym czasie, w Ed. du Seuil. Wybór został poprzedzony szkicem Czesława Miłosza.

Prof. Stanisław Piekut sporządził na użytek polonistów włoskich interesująco pomyślane wypisy z literatury polskiej pt. „Pagine scelte di prosa polacca del XIX e XX secolo" (Napoli, Liguori Ed., s. 158). Mimo włączenia tekstów o szczególnej dla Włochów wymowie (np. „Nullo" Żeromskiego) jest to podręcznik o przydatności szerszej, gdyż odczuwa się wyraźnie brak dobrych zestawów łatwych a artystycznie ważkich tekstów „klasyków polskich dla uczących się języka polskiego cudzoziemców.

Wzorem lat poprzednich w „The Year's Work in Modern Language Studies", XXV (1963), wydawanym nakładem Cambridge Univ. Press, ukazał się rozdział „Polish Studies" w opracowaniu Marii Danilewiczowej. Przynosi on przegląd wydawnictw z zakresu historii literatury polskiej ogłoszonych w Kraju i poza jego granicami w r. 1963.

Nakładem Oxford University Press ukazał się zestaw „poloniców" Conradowskich w wyborze i ze wstępem Zdzisława Najdera w sumiennym przekładzie Haliny Carroll. Na tom składają się niedawno odnalezione przez dr. Różę Jabłkowską listy Tadeusza Bobrowskiego do —wówczas — kłopotliwego siostrzeńca, tegoż Bobrowskiego „Dokument" z informacjami o rodzinach Bobrowskich i Korzeniowskich i rozliczeniem z wydatków na szkolenie i eskapady Conrada, — wreszcie polskie listy pisarza i jego wypowiedzi polityczne w sprawach polskich. Rzecz dobrze przyjęta przez krytykę angielską.

Na odcinku historii największym wydarzeniem są cztery sążniste i bogate w treść tomy pomnikowego wydawnictwa źródeł ukazującego się pt. „Elementa od fontium editiones" w Rzymie nakładem fundacji im. Karola z Brzezia Lanckorońskiego a staraniem Polskiego Instytutu Historycznego. Ogółem wydano już *dwanaście* tomów: wydane w r. 1964 obejmują dwa dalsze tomy dokumentów polskich z Archiwum Głównego Hiszpańskiego w Simancas (wyd. ks. Walerian Meysztowicz), regesty poloniców z Archiwum Orsinich na Kapitolu (wyd. dr Wanda Wyhowska de Andreis) — trzeci z kolei, oraz dokumenty dotyczące spraw polskich z Królewskiego Archiwum Duńskiego w Kopenhadze zebrane przez dra Leona Koczego. Data ukazania się tomu dwunastego zbiegła się tragicznie ze śmiertelną chorobą Antoniego Lanckorońskiego, który wraz z siostrą, prof. dr. Karoliną, wzorem XIX-wiecznych mecenasów podjął dalekowzrocznie pojęte przedsięwzięcie naukowe budzące podziw i uczucia wdzięczności u historyków polskich, gdziekolwiek są.

Sześćsetlecie Uniwersytetu Jagiellońskiego spotkało się ze

wzruszającym odzewem ze strony wielkich uniwersytetów europejskich. Do Londynu dotarły egzemplarze trzech wydawnictw pamiątkowych szczególnie cennych. Jednym z nich są „Monumenta Polonorum Boloniensia" wydane przez Uniwersytet w Bolonii z przedmową dobrze znanego Polakom rektora — prof. Felice Battaglia i wstępem prof. G.B. Pighiego (przełożonymi na jęz. polski przez Ryszarda K. Lewańskiego). Wspaniale wydana księga in folio przynosi m.in. 53 plansze (w części kolorowe) z reprodukcjami pamiątkowych napisów i herbów polskich. Nie mniej imponująco przedstawia się księga padewska pt. „Relazioni tra Padova e la Polonia", na którą składa się 13 rozpraw uczonych włoskich o tematyce wykraczającej poza oczywistą renesansową, — rozprawy zamykające tom dotyczą Agencji Dyplomatycznej ks. Czartoryskiego przy Watykanie i stosunku Polaków do włoskich ruchów wolnościowych w połowie XIX w.

Trzecia księga pamiątkowa — genewska — nosi tytuł „Echanges entre la Pologne et la Suisse" i jest dziełem zbiorowym uczonych szwajcarskich i krajowych (profesorów Al. Gieysztora, Henryka Barycza i Emanuela Rostworowskiego). Tematy obejmują zarówno sprawy średniowieczne jak i nowsze, aż po stosunek Szwajcarów do powstania styczniowego.

Na Emigracji, poza polskimi broszurami prof. Haleckiego (odb. z „Tek Historycznych") i prof. Koczego, ukazała się nakładem Institut de Recherches de l'Europe Centrale w Louvain zwięzła rozprawa tegoż prof. Koczego pt. „L'Univ. de Cracovie: sa place et sa mission en Europe" oraz staranna odbitka z „The Polish Review" w Nowym Yorku, pt. „Alma Mater Jagellonica" przynosząca wspomnienia prof. W.J. Rose'go i artykuł Wandy Stachiewiczowej, bibliotekarki Kanadyjskiego Oddziału Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. (Przypomnieć tu warto, że prof. Rose obchodzić będzie w lecie r.b. 80-lecie urodzin; Univ. w Vancouver nadał mu właśnie godność Divinity Doctor hon. causa).

Entuzjastycznej recenzji gen. Kukiela („Wiadomości" z 15. XI. 1964) doczekała się amerykańska monografia Adama Gurowskiego pióra LeRoy H. Fischer'a pt. „Lincoln's gadfly: Adam Gurowski" (Univ. of Oklahoma Press, s. 301, 8 pl.). Innym polonicum amerykańskim są dwa artykuły w „William and Mary Quarterly", kwartalniku poświęconym badaniom nad wczesną historią Stanów Zjednoczonych — jeden, pióra Philipa L. Barbour'a pt. „The identity of the first Poles in America" (Nr 1, 1964) zajmuje się tajemniczymi smolarzami polskimi, których losów miał dotyczyć „Pamiętnik handlowca(?)", z XVII w., rzekomo wystawiony na sprzedaż w przede dniu wojny w formie druku-unikatu amsterdamskiego a obecnie zaprzepaszczony bez śladu. Rozległe poszukiwania dra Barbour'a nie przyniosły dotąd rezultatu, — zachodzi obawa, że pamiętnik był falsyfikatem. Drugi, w tym samym piśmie ogłoszony artykuł C.C. Davis'a nosi tytuł: 'A national property' Richard Claiborne's Tobacco Treatise for Poland" (w tymże zeszycie).

W związku z bliskim wydaniem pism Włodkowica zapowiedzianym przez wielką formę holenderską Mouton ukazała się broszura ks. St. Bełcha, który wydanie to opracowuje pt. „The contribution of Poland to the development of the doctrine of international law (Paulus Vladimiri, *decretorum doctor*, 1409-32)", wydana przez londyński Veritas.

W serii Veroeffentlichungen d. Osteuropa-Inst. (t. 24) ukazała się rozprawa Annelise Gerecke pt. „Das deutsche Echo auf die polnische Erhebung von 1830" (Wiesbaden, Harrasowitz, s. 144).

Negatywna wzmianka należy się broszurze prof. R.F. Leslie'go pt. „The Polish question. Poland's place in modern history" (London, The Historical Association, s. 39), sankcjonującej obecny stan rzeczy w Europie Wschodniej.

Badania językoznawcze reprezentowane są jedną tylko — ale solidnie opracowaną rozbudowaną pracą doktorską Alex. M. Schenker'a pt. „Polish declension" (Haga, Mouton, w ser. „Slavistic Printings and Reprintings").

Imponująco zarysowuje się wykaz publikacji naukowych książkowych ogłoszonych przez Polaków. Większość zasługuje na omówienie w oddzielnych obszerniejszych recenzjach:

— Stanisław Demczyński: Automation and the future of man (London, George Allen and Unwin Ltd., s. 238, bibliogr.);

— Kazimierz Grzybowski: The Socialist Commonwealth of Nations. Organizations and Institutions (Yale University Press, s. XVII, 300);

— Jan Librach: The Rise of the Soviet Empire. A study of Soviet foreign policy (New York, F.A. Praeger, s. 382);

— Zygmunt Stanisław Makowski: Steel space structures. London, Roscoe Goodall Ltd., (s. 208, 220 illus., tablic i wykresów). Niemal równocześnie ukazała się wersja niemiecka pt. „Räumliche Tragwerke aus Stahl" i francuska „Constructions spaciales en acier" (Bruxelles, Centre Belgo-Luxembourgeois d'Information de l'Acier).

— Jan Marczewski: Comptabilité nationale (Paris, Dalloz, s. 661);

— Zbigniew A. Pełczyński — wstęp (s. 137) do pierwszego angielskiego przekładu pism politycznych Hegla (Oxford, Clarendon Press) będący samoistną rozprawą o małoznanej stronie działalności pisarskiej głośnego filozofa i znaczeniu przypomnianych obecnie pism politycznych jako komentarza i praktycznej ilustracji rozważań filozoficznych i historiozoficznych Hegla;

— Wład. Józef Stankiewicz (red.): Political thought since World War II. Critical and interpretive essays (New York, The Free Press of Glencoe and London, Collier-Macmillan, s. XVIII, 462). Interesująca i pożyteczna antologia zestawiona przez b. wykładowcę Wydz. Ekonomicznego Polish University College w Londynie, obecnie prof. Univ. of British Columbia w Vancouverze, szeroko uwzględniająca wkład uczonych emigracyjnych śre-

dniego pokolenia Z.K. Brzeziński, Zb.A. Pełczyński, Leopold Łabędź, Zb.A. Jordan).

— Tenże prof. Wł.J. Stankiewicz figuruje jako redaktor na k. tytułowej książki której nie można odłożyć bez głębszego wzruszenia. Jest nią tom wspomnień pt. „The living name. A tribute to Stefan Stykolt from some of his friends" (Toronto, Univ. of Toronto Press, s. 110, illus.).

— Anna Teresa Tymieniecka: Leibnitz's cosmological synthesis (New York, Van Gorcum, s. 206).

— Adam B. Ulam: The unfinished revolution. An essay on the sources of influence of Marxism and communism (New York, Vintage Books, Random House, s. 308).

— Jerzy Zubrzycki: Settlers of the Latrobe Valley. A sociological study of immigrants in the brown coal industry in Australia. (Canberra, The Australian National University, s. 306.

(Książce prof. Zubrzyckiego należy się dłuższy przystanek. Dla interesujących się poważnie problemami tzw. „szerokich mas" *naszej* emigracji jest to wydarzenie tej wagi, co opracowanie „starej" emigracji do Stanów Zjednoczonych w „klasycznej" już dziś książce Znanieckiego i Thomasa. Bohaterami książki — a określenie „bohater" nie jest tu przenośnią — są osadnicy różnych narodowości: Ukraińcy, Polacy, Włosi, Holendrzy itd. przybyli ok. r. 1950 do Australii, skierowani na mocy, powiedzmy sobie szczerze, dosyć bezwzględnych zarządzeń do australijskiego C.O.P.'u, o dwie godziny jazdy koleją od Melbourne, zatrudnieni w odkrywkowych kopalniach węgla brunatnego i związanych z nimi a szybko rozwijających się przedsiębiorstwach przemysłowych. Znany dobrze czytelnikom „Kultury" prof. Jerzy Zubrzycki, autor pionierskich prac o „Polish immigrants in Britain", referuje w nowej swej książce wyniki naukowych badań socjologicznych przeprowadzonych pod jego kierunkiem w terenie przez grupę studentów, słuchaczy socjologii z The Australian University, Canberra. Uwaga autorów skoncentrowana jest na problemie „przystosowania" („adjustment") do nowych warunków życia i „scalania się" („integration") ze społecznością kraju osiedlenia. W wyniku badań zarysowały się jasno dwie postawy: sprzyjająca całkowitemu wynarodoweniu postawa „zarobkowa", reprezentowana najdobitniej przez Holendrów, którym po czteroletnim pobycie w Australii przestały być potrzebne własne organizacje społeczne i którzy, po szybkim opanowaniu pokrewnego bądź co bądź języka stali się wzorowymi (z punktu widzenia władz australijskich) „new Australians". Inaczej Słowianie przybyli do tajemniczej części świata w wyniku rekrutacji w obozach D.P.-ów, z bogato zróżnicowanymi, choć sprowadzającymi się do wspólnego mianownika historiami rodzinnymi i dotąd żywą pamięcią deportacji i prześladowań. Czytelników „Kontry" Józ. Mackiewicza nie zdziwi opis buntu na statku wiozącym emigrantów do Australii, gdy rozeszła się wśród nich pogłoska, iż władze U.N.R.R.A. skierowały rzekomo statek do portu sowieckiego. Nie zdziwi nas także nieufność pewnych grup obec-

nych mieszkańców Latrobe Valley wobec przeprowadzających wywiady socjologiczne studentów prof. Zubrzyckiego. A także daleko idące różnice w stylu życia, kolejności zaspakajania potrzeb i stopnia „integracji". Po dziesięciu latach większość przybyszów z Europy ustaliła się na nowych miejscach pobytu, pobudowała — często własnymi rękoma — zamożne domostwa, zaopatrzyła w telewizory, lodówki i samochody. Różnice form pracy społeczno-oświatowej są wymownym świadectwem różnych stopni odporności na wynarodowienie. Przeciwstawiają mu się najskuteczniej Ukraińcy; Polacy uplasowali się na drugim miejscu, co — choć książka wyraźnie tego nie formułuje — jest skutkiem minimalnej pomocy zzewnątrz. Polscy osadnicy Latrobe Valley rzuceni byli na głęboką wodę — i nie łatwe mieli przed sobą zadania. Książka prof. Zubrzyckiego domaga się obszernej naukowej recenzji, pióra fachowca-socjologa. Zasygnalizować ją jednak warto już teraz wszystkim myślącym obserwatorom przemian zachodzących w szerokich masach w środowiskach tak dalekich i różnych od „polskiego Londynu" jak właśnie Latrobe Valley i położone w niej miasta o barwnych nazwach Yallourn, Haunted Hills, Traralgon czy Moe[2].

(Dokończenie nastąpi)

(m.l.d.)

Przyjaciele studiów słowiańskich

W.J. ROSE — W.C. KOERNER — N.A.M. MACKENZIE

Czytelnikom „Kultury" znana jest postać prof. Williama J. Rose'a jego bogaty i doniosły dorobek na polu historii kultury i literatury polskiej oraz popularyzacji wiedzy o Polsce wśród Anglosasów. Zmarły niedawno Wiktor Turek ogłosił pięć lat temu w „Kulturze" szkic życia i działalności prof. Rose'a, dając artykułowi prosty, lecz jakże wiele znaczący tytuł: „Nasz przyjaciel William J. Rose".

Siódmego sierpnia bieżącego roku dr Rose obchodzić będzie osiemdziesięciolecie swoich urodzin, i jestem głęboko przekonany, że społeczeń-

2. Przy sposobności warto odnotować dwie prace o charakterze socjologicznym dotyczące „polskiego Londynu". Poświęciła mu rozdział pt. „Polish London" p. Sheila Patterson (-Horko) w książce zbiorowej pt. „London. Aspects of change" wydanej jako Report Nr. 3 staraniem Centre for Urban Studies (London, Macgibbon and Kee, s.xliv, 342). Polacy są także przedmiotem znacznie lżej ujętego szkicu Elspeth Huxley w książce pt. „Back street new worlds. A look at immigrants in Britain" (London, Chatto and Windus in association with „Punch", s. 168, illus.).

stwo polskie na Zachodzie nie zapomni o tej dacie. Z najwyższym podziwem przeglądałem niedawno jego dorobek za ostatnich pięć lat, z podziwem tym większym, gdyż niezależnie od ogłoszenia szeregu prac, prof. Rose tak jak i w poprzednich latach, okazywał niesłabnące zainteresowanie naszym wydziałem slawistycznym na Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii, służył radą, otaczając szczególną życzliwością rozwijające się studia polonistyczne. Trudno wyrazić, ile mu zawdzięczamy.

Jest dla mnie osobiście źródłem wielkiej radości fakt, że znajdują się wybitni obywatele kanadyjscy, którzy potrafią ocenić zasługi takich pionierów jak prof. Rose. Już niejednokrotnie wydział nasz znajdował wydatne poparcie finansowe, czy to od instytucji czy prywatnych osób, spieszących uczcić dorobek prof. Rose'a.

Chciałbym w tym momencie podzielić się z czytelnikami „Kultury" wiadomością, że poparcia takiego nie braknie i w tym jubileuszowym roku. Właśnie otrzymałem list od dr. W.C. Koernera, który w przeszłości już parokrotnie zasilał nas funduszami dla uczczenia pracy prof. Rose'a, informujący mnie o przeznaczeniu przez niego pięciu tysięcy dolarów na zakup książek slawistycznych jako wyraz hołdu dla byłego prezydenta naszego Uniwersytetu, dr. N.A.M. MacKenzie. Dr Koerner informuje mnie w liście również o zamiarze uczczenia w sierpniu bieżącego roku jubileuszu prof. Rose'a dalszą, znaczną dotacją na zakup książek z dziedziny studiów słowiańskich.

Warto przy okazji dodać, że dr Koerner sam jest z pochodzenia Słowianinem i urodził się na Morawach. O szczodrości jego gestu świadczy fakt, że równocześnie przekazał on znaczną sumę na zakup książek do biblioteki drugiej co do wielkości uczelni w Brytyjskiej Kolumbii — Uniwersytetu w stolicy naszej prowincji — Victorii, gdzie studia slawistyczne, choć zapoczątkowane później niż u nas, rozwijają się coraz lepiej. Ponadto podobną dotację uzyskał niedawno od dr. Koernera Uniwersytet w New Brunswick — położony dokładnie po drugiej stronie Kanady. Jest niewiele osób, które z takim rozmachem popierają studia humanistyczne.

J.St. CLAIR-SOBELL

Komunikaty

JUBILEUSZ STANISŁAWA STRZETELSKIEGO

W marcu rb. przypadła 70-ta rocznica urodzin oraz 50-lecie działalności społecznej *Stanisława Strzetelskiego*, publicysty, redaktora i wydawcy pism w Warszawie, b. posła na Sejm R.P., dyrektora dept. prasowego Min. Informacji Rządu R.P. w czasie II-ej wojny światowej, długoletniego dyrektora Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, a obecnie dyrektora Fundacji Wandy Roehr.

14 marca 1965 w hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku miał miejsce Bankiet Jubileuszowy, zorganizowany przez Komitet Organizacyjny na którym Stanisław Strzetelski odznaczony został złotą odznaką Zjednoczenia Polsko-Narodowego.

JUBILEUSZ 50-LECIA KAPŁAŃSTWA KS. INFUŁATA MICHALSKIEGO

Protonotariusz Apostolski Ks. Bronisław Michalski, Naczelny Kapelan dla Ośrodków Polskich w Wielkiej Brytanii, Naczelny Kapelan S.P.K., b. Wikariusz Generalny Biskupa Polowego Polskich Sił Zbrojnych, obchodzić będzie pięćdziesięciolecie święceń kapłańskich dnia 20 czerwca 1965 r.

W dniu 26 lutego utworzył się w Londynie Komitet Organizacyjny Jubileuszu pod przewodnictwem Księdza Infułata W. Staniszewskiego (adres: 2, Devonia Road, London, Nr 1.).

◆

NAGRODA DLA ZOFII BOHDANOWICZOWEJ

Fundacja im. Adama Mickiewicza w Kanadzie przyznała pani Zofii Bohdanowiczowej pierwszą ustanowioną nagrodę w wysokości dol. 250,00 — za całokształt jej twórczości.

Nagroda — jakkolwiek finansowo skromna — jest wyrazem głębokiego uznania i prawdziwej wdzięczności Polonii Kanadyjskiej, której instytucją jest Fundacja im. Adama Mickiewicza, dla poetki żyjącej w Kanadzie.

◆

STYPENDIA DLA STUDENTÓW POLAKÓW

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych „POLONIA TECHNICA" Inc. uchwaliło przyznać na rok akademicki 1965/1966 stypendia studentom Polakom matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych i studiującym nauki techniczne lub pokrewne. Stypendia w wysokości $ 300 (dolarów trzysta) płatne będą w ratach miesięcznych lub kwartalnych, według uznania Komisji Stypendialnej.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 15 czerwca 1965 roku umotywowane podania pod adresem:

Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36, West 56th Str. apt. 1-C
NEW YORK, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok 1965/1966, oraz o rezultatach dotychczasowych studiów, i referencje dwu osób, znających osobiście kandydata.

W myśl regulaminu Funduszu Stypendialnego, pierwszeństwo przy równych kwalifikacjach przysługiwać będzie kandydatom bardziej zaawansowanym w studiach.

Zawiadomienie o ewentualnym przyznaniu stypendium nastąpi w terminie do dnia 31 lipca 1965 roku.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA", INC.
Jerzy Hoffman, Prezes.

Prof. Lipiński a polska myśl ekonomiczna

Wydanie przez Institut National d'Études Démographiques i przez École Pratique des Hautes Études (Sorbonne) dzieła prof. Edwarda Lipińskiego *„De Copernic à Stanislas Leszczyński, la pensée économique et démographique en Pologne"*[1] zwraca uwagę na jedną z wielkich i bardzo ciekawych postaci nauki polskiej. Tytuł książki, rezultat badań z dziedziny dość odległej od normalnych zainteresowań naukowych prof. Lipińskiego, jest jednak logicznym wynikiem jego osobistej postawy w stosunku do otaczających go sił zewnętrznych i dlatego też trzeba by scharakteryzować samą osobę Autora.

Pełna i wyczerpująca analiza jego działalności i osiągnięć jest trudna[2] i zwłaszcza w krótkiej nocie należy ograniczyć się do cech i faktów najbardziej znamiennych dla tego wybitnego w skali międzynarodowej ekonomisty i równocześnie wielkiego humanisty.

Urodzony w 1888 roku w Nowym Mieście nad Pilicą, już jako uczeń gimnazjum w Warszawie włącza się do ruchu robotniczego (jest członkiem kółka PPS) i przejawia swoje zainteresowania do zagadnień społecznych i gospodarczych.

Po studiach ekonomicznych w Lipsku i w Zurychu, zaczyna specjalizować się w zagadnieniach ochrony i statystyki pracy. W niepodległej Polsce jest radcą naukowym Ministerstwa Pracy, następnie naczelnikiem Wydziału Statystyki Pracy i Przemysłu w Głównym Urzędzie Statystycznym. Opracowuje wskaźniki cen

1. Préface A. SAUVY, trad.: C. MIKLASZ et J. HECHT, Presses Universitaires de France, Paris, str. XXIII + 342.

2. Bibliografia prac prof. E. Lipińskiego za okres 1914-1958 obejmuje 217 pozycji, w tym kilkanaście książkowych. *Ekonomista*, Nr VI/1958, str. 1709-1721.

i kosztów utrzymania oraz organizuje statystykę cen i płac. Pociągają go szczególnie wahania tych podstawowych wielkości gospodarczych, tak istotnych dla rozwoju gospodarki narodowej i dlatego też profesor Lipiński zorganizował i uruchomił w 1928 roku Instytut Koniunktur Gospodarczych i Cen[3]. Dzięki grupie ekonomistów, których skupił wokół Instytutu[4], ta początkująca wówczas dziedzina wiedzy ekonomicznej została postawiona w Polsce na bardzo wysokim poziomie.

Od 1923, Lipiński prowadzi wykłady z nauki o koniunkturach na Wyższej Szkole Handlowej (przemianowanej następnie na S.G.H.). Wykładali wówczas, między innymi: Dmochowski, J. S. Lewiński, T. Brzeski, Krzywicki, Krzeczkowski. Po śmierci Lewińskiego w 1930 roku, Lipiński, zachowując wykłady koniunktury gospodarczej, obejmuje kierownictwo katedry ekonomii. Jako członek senatu walczy o podniesienie poziomu i rozszerzenie zakresu nauczania Wyższej Szkoły Handlowej oraz przyczynia się do przekształcenia jej w uczelnię typu akademickiego (zbliżoną do London School of Economics) przygotowującą specjalistów o bardzo wysokich kwalifikacjach technicznych.

Świetny wykładowca porywający młodzież, cieszył się zawsze ogromną sympatią wśród studentów[5]. Przed wojną w okresie pewnej faszyzacji części sił politycznych w Polsce, przeciwstawił się kilkakrotnie akcji bojówkarzy antyżydowskich. Z tego powodu musiał zrzec się godności, dość zresztą intratnej, prorektora Szkoły.

Podczas wojny, przeciwdziałając akcji wyniszczenia intelektualnego narodu przez okupantów, Lipiński, pod przykrywką legalnej średniej szkoły zawodowej (tzw. I-sza Miejska Szkoła Handlowa), prowadził tajną wyższą szkołę ekonomiczną. W uczelni, nazywanej krótko „szkołą Lipińskiego", zgromadził na ogół b. dobrych wykładowców i często wspaniałych ludzi. Wykłady miały miejsce w budynku „przy Koperniku". Oczywiście, praca odbywała się w warunkach bardzo specjalnych, z ustawicznym narażaniem życia, ale zasługą jej Rektora było nadanie tonu ogólnego, wytworzenie braterskiej, rodzinnej atmosfery i naprawdę serdecznych stosunków między profesorami i studentami. W ostatnim roku przed Powstaniem Warszawskim Szkoła liczyła 820 słuchaczy! Znaczna część poległa w powstaniu (połowa z grupy autora nin. noty), ale dziś jeszcze, po dwudziestu latach, mimo ciężkich przejść, pozostali wspominają z rozrzewnieniem prawie

3. We Francji. Institut de la Conjoncture et des Etudes Economiques został uruchomiony w 1938 roku pod dyrekcją prof. A. Sauvy. Po wojnie, w 1946 roku, dyrektorem Instytutu został prof. A. Piatier.

4. Kalecki, Landau, Poniatowski Józef, Rapacki Adam, Skrzywan Wacław, Wiśniewski Jan i inni.

5. Jak stwierdził w 1959 roku prof. W. Brus: „Ten najstarszy spośród nas potrafił znaleźć najlepszy kontakt z najmłodszymi, z młodzieżą". *Życie Gospodarcze*, Nr 26 z 28VI.1959 r.

okres spędzony w Szkole Lipińskiego i zachowują dużo wdzięczności i przywiązania dla Profesorów szkoły i jej Twórcy[6].

W pierwszym okresie powojennym Lipiński rozwija intensywną działalność. W dziedzinie naukowej jest profesorem S.G.H. (nazwanej następnie Szkołą Główną Planowania i Statystyki), profesorem U.W., i następnie dziekanem nowoutworzonego Wydziału ekonomii politycznej tegoż Uniwersytetu. Jako Prezes Banku Gospodarstwa Krajowego uczestniczy bezpośrednio w polityce i działalności gospodarczej.

Ale nie udają się starania uruchomienia Instytutu Koniunktur Gospodarczych i Cen, który dostosowany do nowych warunków, pod nazwą Instytutu Gospodarstwa Narodowego miał kontynuować badania przedwojenne. Już pod koniec 1948 roku za krytykę pewnych pociągnięć politycznych dławiących rozwój gospodarczy Polski, Lipiński zostaje pozbawiony prezesury Banku. Następnie w miarę pogarszania się ogólnej sytuacji politycznej i pogłębiania terroru policyjnego, działalność Lipińskiego jest ograniczana coraz bardziej. Zawieszony w funkcjach dziekana Wydziału, pozbawiony kierownictwa katedry, na terenie Szkoły musi znosić wiele upokorzeń i jest ledwie tolerowany.

Warunki ogólne przestały sprzyjać rozwojowi nauk ekonomicznych. „Wulgarna, burżuazyjna ekonomia wolnego rynku" jest na indeksie. Brak danych statystycznych nie pozwalał na badanie podstawowych zjawisk gospodarczych[7], których nieudolna i dogmatyczna interpretacja jest podana odgórnie i często daleka od rzeczywistości. „Zlikwidowaliśmy nauki ekonomiczne, zamknęliśmy usta ekonomistom, pozwalając im jedynie palić kadzidła na ołtarzu naszych osiągnięć"[8].

„W ciągu długiego czasu potrzeba „apologii" gospodarki socjalistycznej wyparła potrzebę analizy. Od nauki żądano praktycznej pomocy, której udzielić nie mogła (np. wykrywania utajonych rezerw)"[9].

„Sądzę, że mogę tu stwierdzić, iż Zjazd jednomyślnie doszedł do przekonania, że w ciągu ostatniego okresu nauka ekonomiczna w Polsce nie spełniła i nie mogła spełnić swoich zadań. W warunkach uniemożliwiających rozwój samodzielnej myśli ekonomicznej nauka nasza z natury rzeczy musiała ulec pewnej de-

6. Wykładali wówczas: A. Bieniek, J. Czekalski, E. Dąbrowski, J. Drewnowski, J. Dzięgielewski, T. Gorzuchowski, Z. Grabski, A. Grodek, A. Grużewski, K. Irzykowski, J. Iwiński, L. Koźmiński, J. Loth, H. Piętka, R. Secomski, S. Szulc, A. Wakar, J. Zagórski (sekr. gen.). Lista powyższa, cytowana z pamięci, nie jest kompletna.

7. LANGE O.: *Ekonomista*, 1956, nr 5, str. 146.

8. BIEŃKOWSKI W. Księżycowa ekonomia, w odpowiedzi tow. Tepichtowi. *Przegląd Kulturalny* z 25.X.1956.

9. LIPIŃSKI E.: O przedmiocie ekonomii. Referat na II. Kongresie Ekonomistów. *Ekonomista*, nr 5, 1956, str. 16.

generacji" — stwierdził w podsumowaniu obrad II. Kongresu Ekonomistów O. Lange[10].

Nie będąc w stanie analizować należycie zjawisk współczesnej ekonomii, Lipiński, jeden z najwybitniejszych w świecie specjalistów koniunktury gospodarczej zwrócił się do studiów nad historią. Poczynając od 1949, zajmują one coraz więcej miejsca w jego badaniach. W latach 1952-1956 prowadzi jedynie wykład historii myśli ekonomicznej.

Lipiński nie mógł pracować nad współczesnością, ale, prowadząc poważne badania historii gospodarczej jak również historii myśli ekonomicznej, celem ostatecznym jego rozważań były zagadnienia bieżące. Na bogatym materiale historycznym Lipiński uczył młodych ekonomistów prawidłowego myślenia i analizowania zjawisk i kategorii ekonomicznych. Dobierane przykłady pozwalały dojść do rozeznania rzeczywistej problematyki współczesnej.

„Szkoła Lipińskiego" wyróżniła się w okresie degeneracji nauk ekonomicznych. On sam i jego uczniowie odegrali bardzo czynną rolę podczas II-go Zjazdu ekonomistów polskich, który odbył się w Warszawie w czerwcu 1956 roku i zapoczątkował pewne odrodzenie nauki ekonomii. Na Zjeździe pod przewodnictwem Lipińskiego, jako prezesa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, „po raz pierwszy od dłuższego czasu odbyła się naprawdę wolna, otwarta i śmiała dyskusja".

W dyskusji poddano ostrej i rzeczowej krytyce funkcjonowanie głównych organów administracji gospodarki narodowej[11] oraz warunków rozwoju nauk ekonomicznych.

W konsekwencji w uchwałach Zjazdu zażądano między inny-

10. LANGE O.: Przemówienie końcowe. *Ekonomista*, nr 5, str. 145, 146.

11. Poza krytyką zasad ogólnych podawano również konkretne przykłady marnotrawstwa i złej organizacji gospodarczej, niektóre dość ciekawe. I tak, między innymi, wskazano wówczas na paradoks w rolnictwie skolektywizowanym, polegający na oddzieleniu administracji głównych środków produkcji (maszyn należących do Państwa, P.O.M.) od ziemi i siły roboczej (należącej do spółdz. produkcyjnych — kołchozów). a) Jak wiemy, po powrocie Gomułki rola ośrodków maszynowych została znacznie pomniejszona. Większość maszyn przekazano kołchozom i kółkom rolniczym, co — wg ówczesnej doktryny komunistycznej — było zupełnie sprzeczne z jedną z podstawowych cech modelu sowieckiego. Dlatego też w lutym 1957, *Prawda* zaatakowała żywo tę reformę. b) Ale dokładnie rok później Chruszczow zapowiedział zniesienie M.T.S. (Maszinno-Traktornyje-Stancji) w Zw. Sow. c) i ta sensacyjna wówczas decyzja przyznała M.T.S. (przemianowanym na R.T.S.) prawie identyczne funkcje techniczne jakie pozostały ośrodkom maszynowym w Polsce po październiku.

a) WILCZYŃSKI W.: *Ekonomista*, 5/56, str. 133.

b) OBIEDKOW G., MAKARENKO J., ŁUKOWIEC. W polskoj derewni, *Prawda* z 4.II.1957, str. 3.

c) *Prawda* z 25.I.1958, str. 2-3.

mi: swobody badań naukowych i głoszenia ich wyników; kontaktów z przedstawicielami nauki krajów socjalistycznych i krajów kapitalistycznych; jawności życia gospodarczego i udostępnienia materiałów statystycznych, itd.

Jeśli chodzi o politykę gospodarczą żądano powołania:

1. Społecznej Komisji Ankietowej, która by opracowała reformy oparte na założeniach naukowych, zmierzające do pełnej demokratyzacji życia gospodarczego;

2. Rady Ekonomicznej złożonej z najwybitniejszych przedstawicieli nauki i praktyki, której zadaniem byłaby ocena i inicjowanie podstawowych aktów i decyzji gospodarczych.

„Bunt" wyrażony podczas II-go Zjazdu Ekonomistów zaskoczył władze. Jego oddźwięk wśród społeczeństwa i szczególnie wśród kadr politycznych i gospodarczych[12] był jednym z pierwszych elementów w łańcuchu zdarzeń, które doprowadziły do „polskiego października" i do powrotu W. Gomułki.

Po „październiku" Lipiński odzyskuje katedrę ekonomii. W utworzonej Radzie Ekonomicznej zostaje wiceprzewodniczącym Rady i przewodniczącym Komisji Pracy i Zagadnień Społecznych.

Jego wystąpienia i artykuły na temat istotnych zagadnień współczesnych znajdują żywy wydźwięk w szerokich rzeszach społeczeństwa i są analizowane na wysokich szczeblach partyjnych[13]. Szereg jego propozycji (tyczących cen, kompetencji przedsiębiorstw i innych) zostało częściowo uwzględnionych. Ale jednak nie postawiono jego kandydatury do Sejmu, zaproponowanej przez robotników Żerania. W 1960 w związku z akcją „odmłodzenia kadr naukowych", łącznie z wybitnymi reprezentantami innych gałęzi nauk, Lipiński jako profesor zostaje przeniesiony na emeryturę. Rada Ekonomiczna, która miała być naczelnym organem gospodarczym, jest zwoływana coraz rzadziej, traci na znaczeniu i wreszcie przestaje istnieć.

Lipiński jest dożywotnim członkiem Akademii Nauk, przewodniczącym P.T.E. i redaktorem naczelnym „Ekonomisty", najlepszego czasopisma ekonomicznego w krajach bloku wschodniego. Wśród wielkich nazwisk ekonomicznych znanych na zachodzie jest on najbardziej polskim (Lange i Kalecki pracowa-

12. W przeciwieństwie do większości towarzystw ekonomicznych na Zachodzie o charakterze czysto naukowym, P.T.E. jest organizacją typu naukowo-zawodowego i grupuje stosunkowo licznych członków (4 tys. z początkiem 1960 r.).

13. Np „Model" gospodarki socjalistycznej, *Nowe Drogi*, 1956, Nr 11-12, str. 31-37; O roli i zadaniach spółdzielczości, *Przegląd Spółdzielczy*, 1957, n^0 3, str. 7-9; *Uwagi o socjalistycznym przedsiębiorstwie*, Przedsiębiorstwo samodzielne w gospodarce planowej, Książka i Wiedza, W-wa, 1957, str. 7-27; Rady robotnicze, przedsiębiorstwo i inne sprawy, *Życie Gospodarcze*, 1957, n^0 51. Oraz zbiory artykułów: *Rewizje*, Państw. Wyd. Nauk., W-wa, 1958; *Teoria ekonomii i aktualne zagadnienia gospodarcze*, P.W.N., 1961;...

li długo w krajach anglosaskich). Postać jego reprezentuje najlepiej polską naukę ekonomiczną; jest niejako symbolem jej pokolenia, które znalazło się nagle w zupełnie zmienionych warunkach pracy i bytu. Oni sami i ich uczniowie, w okresie intensywnego i trudnego wypracowywania nowych form gospodarczych, wyprzedzają obecnie o dobrych kilka lat swoich kolegów z krajów sąsiadujących. Lipiński jest członkiem zarządu światowego stowarzyszenia ekonomicznego[14].

Studia nad historią polskiej myśli ekonomicznej i wydanie francuskie *De Copernic à Stanislas Leszczynski* — jest wynikiem badań Lipińskiego, prowadzonych na jego seminarium przed „październikiem". Praca składa się z poszczególnych studiów, które powstawały w okresie 1949-1955. Lipiński celowo zachował oryginalną formę historyczną tych fragmentów, traktując je jako „studia", przyczynki do historii, a nie jako samą historię polskiej myśli ekonomicznej, „do której napisania czas jeszcze nie nadszedł".

Praca składa się z trzech części. Pierwsza jest poświęcona polskiej myśle ekonomicznej okresu Odrodzenia. Omawia w niej poglądy: Ostroroga, Kopernika, Frycz-Modrzewskiego, Kochanowskiego, Orzechowskiego, Gostomskiego, Siebeneichera, Abrahamowicza, Śmigleckiego, Petrycego i Klonowicza. W drugiej części są przedstawione elementy merkantylizmu w literaturze ekonomicznej XVII wieku. Omawia w niej: Ciesielskiego, politykę Batorego, Opalińskiego, przedstawicieli bulionizmu szlacheckiego (Cikowski, Gostkowski, Keckerbart, Zaremba, Grogwagner, Starowolski), A.M. Fredrę i Olizarowskiego. Ostatnia część jest poświęcona okresowi Oświecenia: są w niej przedstawione poglądy ekonomiczne Garczyńskiego, króla Stanisława Leszczyńskiego, Moszczyńskiego, Kołłątaja oraz Wybickiego i Naxa.

Dzieło przedstawia ogromny nakład pracy. W epoce od Odrodzenia do Oświecenia autor opracował okresy oraz pisarzy „drugorzędnych", nieznanych i pozwolił przez to wypełnić część luk jakie istniały w polskiej historiografii ekonomicznej. Równocześnie potrafił Lipiński oświetlić szereg postaci już bardziej znanych i na podstawie dobrej dokumentacji przeciwstawić się szeregowi błędnych poglądów. Jest to ważne dla znajomości stosunków polskich, ale również i dla nauki w ogóle. Pewne prace ekonomiczne w Polsce wyprzedziły nawet naukę zachodnio europejską. To właśnie Kopernik sformułował po raz pierwszy prawidłowo zjawisko z dziedziny obiegu pieniądza, przypisane później Greshamowi. Istniały stałe kontakty z nauką zachodnią, a szczególnie francuską. Nazwiska i prace Candillaca, Vaubana, Quesnay'a były znane pisarzom polskim. Prof. Sauvy stwierdził w swojej przedmowie: „Dzieło poszerzy horyzonty geograficzne ba-

14. Organizacja jednocząca towarzystwa ekonomiczne poszczególnych państw.

daczy francuskich i pozwoli rozwinąć historię doktryn ekonomicznych jaka jest wykładana we Francji".

Polskie wydanie Studiów nad historią polskiej myśli ekonomicznej w nakładzie 3.140 egzemplarzy rozeszło się w przeciągu czterech dni. Wydanie francuskie dzieła jest okazją do skompletowania bibliotek dla ekonomistów, historyków i socjologów. Praca ta pozwoli poznać i uporządkować wiadomości z ważnego okresu historii kraju, a równocześnie daje często klucz do zrozumienia rzeczywistości współczesnej.

Na zakończenie tych rozważań nad historią rozwoju myśli ekonomicznej można by postarać się o sprecyzowanie roli, jaką według Lipińskiego odgrywa myśl w historii rozwoju. Dla formy marksizmu jaki obowiązywał wówczas, a może obowiązuje i dziś jeszcze, rozwoju myśli nie rozważa się jako procesu samodzielnego i samorodnego lecz tylko w powiązaniu przyczynowym z życiem ekonomicznym epoki i bieżącymi interesami klas społecznych i ich walką[15]. Myśl, która dostosowała się do ewolucji wynikającej z materializmu historycznego w takim ujęciu marksizmu, jest postępowa. Wszelka inna myśl jest reakcyjna.

Według Lipińskiego socjalisty i marksisty sytuacja nie jest chyba tak prosta. Nie pojmuje ewolucji myśli jako zupełnie zdeterminowanej przez bazę społeczno ekonomiczną: jest wspólny związek, ale również i oddziaływanie wzajemne na siebie czynników bazy i procesów myślowych. Taki wniosek należy chyba wyciągnąć z jego rozważań o Garczyńskim. *„Myśl ludzka karmi się i nabiera treści z konfliktów i sprzeczności historycznych, ale sama ta myśl jest twórcza i w pewnym stopniu autonomiczna. Rodzi ją określona rzeczywistość, ale i samą rzeczywistość kształtuje myśl*[16].

To ujęcie myśli idzie trochę w kierunku pięknego określenia przyjętego przez jedną z czołowych instytucji badawczych świata:

La pensé n'est qu'un éclair au milieu d'une longue nuit, mais c'est cet éclair qui est tout[17].

Badania prof. Lipińskiego były takimi przebłyskami w ciągu długiej i ciemnej nocy stalinizmu.

Henryk WROŃSKI

◆

Dla nas wszystkich, którzyśmy znali i szanowali prof. Lipińskiego prawdziwym zaskoczeniem był jego podpis pod sławetnym listem do red. „Times", będący praktycznie wycofaniem się z postawy zajętej w „Memoriale 34". Mamy nadzieję, że czas przyniesie zadawalające wyjaśnienie tej ciemnej sprawy. *Redakcja.*

15. SADOWSKI Z.: *Ekonomista*, VI/1957, str. 115-122.
16. LIPIŃSKI E.: *Studia*, wyd. polskie, str. 352-3.
17. Dewiza wyryta na medalu Centre National de la Recherche Scientifique i zapożyczona od Henri Poincaré.

Poeta sam

Odnoszę się podejrzliwie do grup poetyckich. Mam więcej zaufania do poetów, którzy chodzą własnymi drogami i którzy nie muszą wspierać się sensacyjnymi manifestami, którzy nawet jeśli debiutowali w obrębie jakiejś szkoły poetyckiej, szybko z nią zerwali kontakt. Sztuka jest przecież sprawą indywidualną: grupowe deklaracje i lojalności nie są w stanie zawrzeć całej prawdy o twórczości jednostki.

Patrząc się z naszej odległej perspektywy na poezję, która powstawała w latach międzywojennych, widzimy, że właśnie tacy pisarze jak Leśmian, Liebert czy Miłosz, którzy od haseł stronili, są najciekawszymi przedstawicielami owej epoki.

Myślałem o tym zagadnieniu czytając nowy zbiór wierszy Jana Brzękowskiego pt. *Science Fiction* (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1964). Poeta, prozaik, teoretyk i krytyk literacki, Brzękowski był obok Przybosia i Peipera, twórcą awangardy krakowskiej. Choć wszyscy trzej dokonali poważnego przewartościowania zasad poetyckich, któremu wiele zawdzięczają poeci powojenni, ich własna twórczość poetycka cierpi na ograniczenia, które narzuciła im lojalność wobec opracowanych przez siebie haseł i manifestów. Rozkwitająca metafora Peipera wydaje się sztuczna i wykorzystywana przez niego zbyt mechanicznie, podobny kult zmetaforyzowanego języka ograniczył twórczość Przybosia do wąskiego kręgu lirycznych wybuchów i zatrzymał jej rozwój. Brzękowski pozostawał przez wiele lat lojalny wobec zasady wolnej asocjacji, głoszonej przez francuskich nadrealistów.

Wydając w r. 1960 *Poezje Wybrane* Brzękowski podsumował swoją twórczość poetycką sięgającą przeszło trzydziestu lat. Wydany obecnie tomik nasuwa więc od razu pytanie, czy zawarte w nim wiersze stanowią nowy etap twórczy. Już sam tytuł książki sugeruje związek z popularną dziś formą literacką. I rzeczywiście, trzecia jej część składa się z miniaturowych grotesek osnutych wokół fantastycznych scientyficznych wątków. Te miniaturki są charakterystyczne dla poety, który zawsze miał uszy i oczy otwarte na nowości kulturalne i intelektualne, który z łatwością je asymiluje i interpretuje. W jego wczesnych wierszach, pisanych w „ryżym Paryżu", padają nazwiska Mondriana, Seuphora, Légera, Strawińskiego; w swej poetyckiej „autobiografii" poeta pisze:

i lampa naftowa na stole
czyta się wtedy Marksa i Büchnera
czasem Krafft-Ebinga

w Paryżu urzekają go

palące krzyki reklam
i kwiaty Fiatów
i
blada jak lilia
Liliana Gish

W tych aluzjach Brzękowski oczywiście tylko sygnalizuje swoje aktywne zaangażowanie się w artystyczne życie międzywojennego Paryża: daje temu pełniejszy wyraz w teoretycznych i sprawozdawczych pracach prozą.

Prace Brzękowskiego, mające na celu zbliżenie Polsce osiągnięć kulturalnych na zachodzie, miały jednak ten ujemny wpływ, tak na twórczość samego Brzękowskiego, jak i innych poetów, że pogłębiały ich zależność od cudzych osiągnięć. Wielkim ograniczeniem awangardy międzywojennej jest nie tylko fakt, że była zbyt zafascynowana własnymi manifestami, ale także dlatego, że same manifesty były odbitkami podobnych dzieł skomponowanych w Paryżu.

Niestety, ta polska słabość do nowinek zagranicznych, ani się od awangardy nie rozpoczęła, ani też na niej się nie skończyła. Trzy lata temu pisałem w *Więzi*, że „Byłoby wielką tragedią, gdyby po latach bezkrytycznego imitowania poezji francuskiej nasi poeci przerzucili się na równie niewolnicze naśladownictwo poezji angielskiej i amerykańskiej. Wydane niedawno w Polsce *Poezje Wybrane* Eliota mogą okazać się pokusą, której trudno będzie się oprzeć". A już w dwa lata później Zbigniew Bieńkowski potwierdził moje obawy, pisząc w *Twórczości* o młodych poetach łódzkich: „Cóż więc w tym roku w poetyckiej trawie piszczy? Pogłębiła się jeszcze bardziej niż w roku ubiegłym zależność od poetów anglosaskich, Eliota przede wszystkim. Rzecz prosta, nie bez wpływu na ten stan rzeczy było wydanie wyboru poezji Eliota, którym młodzi się zaczytują. Ale chyba nie to tylko. Po okresach ulegania wpływom poezji rosyjskiej, francuskiej, przyszedł czas na Anglosasów. Jest to naturalne i nie tylko u nas tak się dzieje".

Nie wiem czy jest to stan naturalny. Dopóki Polacy, naród przejawiający ogromną ślamazarność intelektualną, poprzestawać będą na pasożytniczym powielaniu osiągnięć kulturalnych innych krajów, dopóty pozostaną drugorzędnym ośrodkiem kultury, nie będącym w stanie stworzyć wartości, z których z kolei mogłyby czerpać inne narody.

Może więc i dlatego najbardziej ciekawą partią *Science Fiction* jest ta, w której nie ma mowy o *science fiction*. Mam na myśli cykl liryków, w którym poeta bezpretensjonalnie, ale jednak z wirtuozerią, z wyczuciem melodyjności języka i wyrazistością obrazu, porusza odwieczne problemy życia, starzenia się i umierania. W „Doli człowieka" pisze:

na nalot lat nowych oszroniały czekam
w mech porastając jak greckie kolumny
i czuję wśród palców przepływam jak rzeka

W „Dyptyku" Brzękowski odtwarza znaną scenę z *Odyssei*, aby w nowej interpretacji pokazać konfrontację młodego piękna ze starością:

Usiadłem nad rzeką, na przedwieczornym brzegu,
nad rzeką srebrną, która dołem płynie —
kobiety weszły w wodę i rozpięły płótna...
Tak przed laty, przed wiekami przybrana w heksametr,
wchodziła w wodę Nauzykaa naga
a przemyślny Ulisses ukryty w łozinie
pragnął uciekać —
ale krwią poruszony zamęt
zastygł w wierszu jak owad w bursztynie
w starożytny świat.
Odysseuszu,
Odysseuszu — zapomniałeś w plecaku swą wysługę lat.

W przeciwieństwie do innych awangardzistów, Brzękowski na ogół unika nader skomplikowanej i skondensowanej metaforyki, a w tych ostatnich wierszach klarowność obrazu posunięta została jeszcze dalej. Jeżeli nawet poeta posługuje się grą słów, nie robi tego dla samego efektu, lecz aby podkreślić ważkość tematu, jak np. w tym koncepcie wykorzystującym terminologię gramatyki:

przez przypadki i przez tryby
odmienione dzisiaj — w trybie nieodwracalnym
czasu przyszłego
w trybie niezatrzymalnym czasu teraźniejszego
lata splątane rozplatam
tracąc listowie
wniebowzlatam.

W nieco wcześniejszych utworach próby wyzbycia się niepotrzebnie wyszukanych obrazów prowadziły czasem na manowce banału lub co najwyżej nadmiernie uproszczonego, przeto nie dość interesującego, ujęcia rzeczywistości. W tych nowych lirykach natomiast Brzękowski lepiej panuje nad swym materiałem i potrafi osiągnąć prostotę wyrazu, pozostawiając jednakże wrażenie gęstości i głębi, jak na przykład w tym przejmującym wierszu o „Umierającym poecie":

nikt nie zna jego języka
nikt nie zna jego mowy
niektórzy obok rozumieją język wrogów
język komór gazowych

więc chowa głowę pod skrzydła — to o wiele
przykrzejsze niż gdy go nie rozumiano
w latach młodości.

Dobrze jest, że w tym najnowszym tomie Brzękowski dowodzi swej niezależności od nieaktualnych już dziś postulatów awangardy; dobrze jest, że 62-letni poeta znajduje w sobie nowe złoża wrażliwości i poetyckiej ekspresji.

Adam CZERNIAWSKI

« Monogramy »

Tytuł tej skromnie ale smacznie wydanej książeczki*) nasuwa skojarzenie z „Kaligramami" Apollinaire'a, tłumaczonymi w swoim czasie przez Stefana Napierskiego. Ale jest to skojarzenie czysto werbalne i wcale nie znaczy, żeby Sowiński nawiązywał do twórczości tego inspiratora europejskiej awangardy — choćby przez przeciwstawienie. Skojarzeń ten tytuł budzi znacznie więcej, i to bliższych rodzimej tradycji. Co nie oznacza z kolei, aby ta poezja mieściła się w ramach tradycyjnej literatury. Przez swoją formę, kadencje rytmiczne te niepozorne na pierwszy rzut oka wiersze zadowolić mogą najśmielsze wymagania dzisiejszej poetyki.

Sowiński zdaje się zaprzeczać hasłu Mallarmégo, że poezję tworzy się ze słów: w jego wierszach słowa stanowią tylko aluzję, są jak zapis nutowy czy druciane żebrowanie abstrakcyjnej rzeźby, które organizuje wycinek przestrzeni; sama tkanka poezji, jej znaczenie wychodzą niejako poza słowa. Są to strofy stworzone jednym dotknięciem pióra, które na papierze zostawia ślad ledwo uchwytny, ale którego drganie czuje się w swoistej „mikro-przestrzeni". „Monogramy" związane są w bukiet o wszystkich kolorach powietrza, o lekkości obłoku. Rodzimy pejzaż, który był piętą achillesową naszych poetów, nigdy chyba jeszcze nie został wyrażony linią tak delikatną i tak zarazem trafiającą w samo — żeby użyć słów Sowińskiego — „źródło ziemi". Wzruszenie zapisane jest szeregiem obrazów, których kanwą są gałęzie, ptaki i kłosy, ale których treścią są wyznania jak najbardziej osobiste, choć autor stara się unikać słowa „ja".

*) Kazimierz SOWIŃSKI. *Monogramy*. Opracowanie graficzne Stanisława Piaskowskiego. Nakł. Sigma Press, Albany — Nowy York 1964. Str. 48.

Tom zawiera 41 króciutkich wierszy, z których każdy składa się z kilku zaledwie czy kilkunastu słów. Przyjrzyjmy się jednemu z takich utworów pt. „Trawa":

zobaczyć wiatr
jak widzi trawa
gdy
idzie za nim od horyzontu

i
pełne jest powietrza
majowe dno
doliny

Uczonemu systematologowi, który by chciał podciągnąć te utwory pod jakiś znany gatunek literacki, ich klasyfikacja przysporzyć musi nielada kłopotów. Podobnych do tych, jakich krytyka polska doświadczała już raz przy klasyfikacji drobnych utworów Marii Pawlikowskiej. Kłopot z Sowińskim jest jeszcze chyba gorszy. Monogramów bowiem nie można zestawiać ani z epigramatami Pawlikowskiej, ani z jakim kolwiek innymi gatunkami literackimi, które by dopomogły określić ich charakter. Tego typu utworów poezja polska dotąd po prostu nie znała.

Może ten rodzaj wiersza najbliższy jest literaturze Dalekiego Wschodu? W poezji japońskiej mianowicie znany jest gatunek literacki noszący nazwę „haiku". Delikatność, subtelność monogramów, ich zwiewność mająca w sobie coś właśnie z japońskiego barwnego drzeworytu —mogłyby mieć w haiku swój artystyczny rodowód. Mówię to w trybie warunkowym, bo jestem przekonany, że Sowiński po prostu nie zna tej formy japońskiej poezji, a jej nazwę słyszy chyba po raz pierwszy. Jeśli mam zamiar zademonstrować przykład takiego utworu, to muszę się od razu zastrzec, że i moja znajomość z tym gatunkiem literackim zawarta została raczej przypadkowo, i to przez język angielski. Ale jeszcze dwa słowa wyjaśnienia. Haiku jest najkrótszą formą wiersza: składa się z paru tylko słów, które w sumie nie mogą przekraczać 17 (słownie: siedemnastu) sylab. Stanowiący sam w sobie całość, haiku — podobnie jak monogram Sowińskiego — wyraża jakąś subtelną emocję albo daje po prostu obraz:

minęła krótka noc
na włochatej gąsienicy
koraliki rosy

Tego podobieństwa nie możemy brać zbyt dosłownie. Albowiem obraz u naszego autora stanowi tylko aluzję do treści, która wychodzi poza jego ramy. Przy tym monogramy Sowińskiego, jakkolwiek każdy z nich stanowi utwór skończony, są

zarazem elementami kompozycyjnymi całości — niczem strofy jednego poematu.

Może więc są monogramy po prostu osobnym gatunkiem literackim, może ich autor zapoczątkował tą skromną książeczką nowy w poezji polskiej rodzaj, który od nazwy jego tomu będziemy nazywali od dziś — monogramami?

Jeśli tak, to warto chyba przyjrzeć się trochę bliżej metodzie artystycznej formowania tych wierszy. Jednym z głównych osiągnięć Sowińskiego w „Monogramach" jest umiejętność wyrzeczenia i skrótu. Ona to powoduje, że te drobne utwory, złożone z elementów niemal dotykalnych, są pejzażami niemalże abstrakcyjnymi. Nie ma więc w monogramach nic z pogoni za czysto zewnętrznymi efektami artystycznymi. Niezwykła dyscyplina formalna utworów, ekonomia i celowość użytych środków świadczą nie tylko o dużej wrażliwości, ale przede wszystkim o estetycznej świadomości poety. Tej świadomości zawdzięcza Sowiński swoje drugie osiągnięcie, a mianowicie: umiejętność odrywania się we właściwym momencie od żywiołu własnej wyobraźni, od fali narastającego napięcia. Ta świadoma asceza poety sprawiła, że niektóre monogramy mają charakter szkiców — zaledwie tylko zaznaczonych, jakby w obawie aby pełniejsze wypowiedzenie wrażenia czy uczucia nie stłumiło iskry, która je wzbudziła. Troska aby nie zatracić tej iskry, aby uchwycić samo mgnienie jej trwania zrodziła dążność poety do scalania i syntetyzowania doznań. I to jest jeszcze jedno osiągnięcie Sowińskiego. Oto przykład — utwór pt. „Wszystko":

siedem
uderzeń blasku
dwa tkliwe promienie
w gniazdku gałązek
wiatr
zapach światła
w otwarciu
lilii polnej

to wszystko

Konsekwencją tego syntetyzowania wrażeń i uczuć jest dążność do takiej lapidarności ujęcia że autorowi wystarczy kilku słów, jak w wierszu pt. „Grom":

sprawiedliwie
że grom
sprawiedliwie
że rani
sprawiedliwie
że boli
grom

Oto są najbardziej rzucające się w oczy znamiona procesu twórczego u Sowińskiego-poety. Dzięki nim osiągnął autor krystalicznie przejrzystą konstrukcję nie tylko poszczególnych monogramów, ale i kompozycyjną jedność całego zbioru. „Monogramy" czytać można jako jeden utwór poetycki, jako poemat rozłożony na poszczególne strofy, jak słyszymy harmonię muzyczną, w której rozróżnić można całą mnogość akordów. Kompozycyjną jedność tomu podkreśla ciągłość nurtu emocjonalnego, który płynie poprzez wszystkie monogramy — od prostego opisu, poprzez spiętrzenie doznań, aż do filozoficznej niemal refleksji. Istnienie tego wspólnego nurtu — mimo całą misterność, z jaką została skonstruowana tkanka artystyczna monogramów, — nie jest trudne do wyśledzenia. Nurt ten ma swoje źródło w autentycznym przeżyciu wewnętrznym poety. Jest to swoisty pamiętnik miłości, w którym ani razu nie pojawia się to słowo. Sowiński rozplata na tkance obrazów doznania jednej najbardziej osobistej, najbardziej samoswojej (jakby to powiedział Żeromski) chwili: dzieje lata „jednego na tysiąc lat".

W artystycznym zapisie, w subtelnej kontemplacji lirycznej, w wyrazistej refleksji intelektualnej, mającej w sobie coś z zadumy filozoficznej, zademonstrował Kazimierz Sowiński — nie waham się użyć tego określenia — mistrzowskie opanowanie rzemiosła poetyckiego, dojrzałość artystyczna, która musi zdumiewać u tego najbardziej milczącego spośród naszych poetów, który czytającej publiczności raczy się udzielać — raz na tysiąc dni.

Józef Piotr JAKSIŃSKI

Słownik pisarzy polskich

Krajowa recenzja „Słownika" w styczniowym zeszycie „Twórczości" nosi tytuł „Korbut redivivus...". Kropki po „redivivus" mają znaczenie zasadnicze: wróżą, że „zmartwychwstały" Korbut padłby trupem po raz wtóry po zapoznaniu się z zawartością trzeciego tomu zmodernizowanej „Literatury". Można by właściwie oszczędzić sobie w ogóle trudu pisania i przedrukować warszawską recenzję Janusza Kapuścika i Bohdana Królikowskiego, gdyż obaj ci młodzi ludzie wykonali w 90% żmudną pracę zestawiania rażących opuszczeń i przemilczeń. Do tych ostatnich należą dwa SKANDALE: pominięcie Janusza Korczaka i Andrzeja Struga. Strug, bo mason, jasna sprawa, ale czemu przypisać pominięcie Korczaka?

Recenzenci warszawscy upomnieli się o 35 opuszczonych pi-

Słownik współczesnych pisarzy polskich, I.III. (R-Ż), str 656, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1964.

sarzy, w tym spośród pisarzy emigracyjnych Antoniego Bogusławskiego, Adolfa Fierlę, Władysława Folkierskiego. Dodać tu należy wiele innych nazwisk, a więc: Jerzego Rogowicza, Zofię Romanowiczową, Jana Rostworowskiego, Michała Sambora, Kazimierza Sowińskiego, Wiesława Strzałkowskiego, Janinę Surynową-Wyczółkowską, Marka Święcickiego, Wiktora Trościankę, Leopolda Wellisza, Ignacego Wieniewskiego, Tadeusza Wittlina, Ryszarda Wragę, Zbigniewa Zaniewskiego, Wacława A. Zbyszewskiego, Józefa Żywinę?

Kogo uwzględniono? Poza pisarzami emigracyjnymi i przebywającymi poza krajem, których wyliczyłam w recenzji pt. „Pod znakiem nauk służebnych" w nrze 5/199 „Kultury" z r. ub., do „Słownika" weszły w t. III-im nazwiska następujące: Józefa Radzymińska, Józef Relidzyński, Sydor Rey, Jan Rojewski, Marek Romański (— alias Roman Dąbrowski, autor „Stanisława Mikołajczyka" i „Stu dni Mussoliniego" —), Wojciech Skuza (poeta, „udał się w głąb Związku Radzieckiego", zmarł na tyfus w Teheranie w r. 1941 w wyniku owej turystycznej wycieczki), Jerzy Stempowski (pozbawiony „Esejów do Kassandry" jako trefnych, bo wydanych w Bibliotece „Kultury"), Stanisław Stroński, Tadeusz Sułkowski, A.M. Swinarski, Elżbieta Szemplińska-Sobolewska (— która podobnie jak Radzymińska powróciła do Kraju —), Maria Szurek-Wisti, Wit Tarnawski, Tymon Terlecki, J.A. Teslar (pominięto datę śmierci), Stefan Themerson, Józef Trypućko, Stanisław Vincenz, Melchior Wańkowicz (podano sumiennie twórczość z okresu emigracyjnego), Aleksander Wat („od r. 1963 przebywa zagranicą i prowadzi działalność antykomunistyczną" — głosi „Słownik"), Wiktor Weintraub, Stanisław Westfal, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin („współpracuje z pismami zajmującymi wrogie stanowisko wobec PRL"), Wiesław Wohnout („bierze udział w akcjach politycznych i literackich skierowanych przeciw PRL"), Stefania Zahorska, Zygmunt Lubicz Zaleski i Karol Zbyszewski.

„Zbrodniczość" Wohnouta jest zapewne nieuchronną cechą redaktora „Dziennika Polskiego", tytułem związanym z szarżą — można to od biedy zrozumieć wczuwając się w kręte drogi rozumowania gorliwego cenzora — ale Wittlin? Nasuwa się przypuszczenie, iż nasz śnieżnobiały, pokorny i cichy Nowojorczyk prowadzi podwójne życie, rozdwajając się jak Wohnout na bojowe „akcje". Jemu tylko jednemu wypomniano współpracę w pismach „zajmujących wrogie stanowisko wobec PRL" — w jakichże to pismach przejawia się Pan, drogi pani Józefie, skoro, jak wskazuje przykład Terleckiego czy Wierzyńskiego, ogłaszanie swych prac na łamach „Kultury", „Wiadomości" i td. nie jest potępione i napiętnowane. A może stało się to dzięki niedopatrzeniom cenzora? Może odpowiedzialne stanowisko „obwąchiwacza" rękopisu „Słownika" dostało się pod nos i pióro osoby lekkomyślnej i niedostatecznie przeszkolonej? Wygląda to wręcz niepokojąco na karygodne zaniedbanie!

Z drugiej strony niejedno dobrze przemyślane przeoczenie

wskazuje na pamięć o „Kulturze". Przy Rembeku, Swinarskim, Stawarze, Jerzym Stempowskim i Wierzyńskim pominięto książki wydane w Bibliotece „Kultury", — a ewentualne usprawiedliwianie tego faktu późniejszymi niż 1957 latami wydania zawodzi, bo w t. III-im znajdujemy informacje biograficzne z lat późniejszych, np. data śmierci Zuzanny Rabskiej.

Osobliwość kryteriów selekcji osiągnęła szczyt w uwzględnieniu autorki „Dzikuski" — Ireny Zarzyckiej, obecnie kierowniczki referatu Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Pruszkowie. Czyżby do cyrkułu jej podległego należały Stawiska Iwaszkiewicza i wyróżnienie to było skutkiem protekcji mistrza Jarosława?

W zestawieniu z Zarzycką już nie tylko skandalicznie ale boleśnie wyglądają wspomniane wyżej przeoczenia pisarzy z prawdziwego zdarzenia a więc np. Zygmunta Bartkiewicza, Aliny Świderskiej, Struga, Korczaka i tylu innych.

Uwzględniony został natomiast J.E. Skiwski, któremu dokładnie przypomniano kolaborację z okresu okupacji i będące jej skutkiem zaoczne potępienia i wyroki. Nie podano jednak, co stało się z nim po r. 1945 gdy „opuścił kraj wraz z wycofującymi się wojskami hitlerowskimi".

Pewną pociechą jest zapowiedź t. IV-go, który przyniesie uzupełnienia, sprostowania i indeksy. Dezyderatem Nr 1 byłoby zmodernizowanie „Słownika" przez włączenie kontynuacji materiałów za lata 1957 wzwyż i objęcie olbrzymiej plejady młodych i „średniomłodych" pisarzy, którzy debiutowali po r. 1950-ym a dziś publikują pisma „zebrane" czy „wybrane". Dezyderatem Nr 2, równie ważnym, byłoby ścisłe przestrzeganie zasad obowiązujących powszechnie w publikacjach naukowych tego typu i wyplenienie osobliwości jak na przykład cytowana ocena zbrodniczej działalności Józefa Wittlina. Dezyderatem Nr 3 — jednolite opracowanie życiorysów (bez eufemizmów stosowanych obecnie w życiorysach Skuzy, Standego czy Wandurskiego. Raz jeden zdobyto się na postawienie kropki nad i, ujawniając miejsce zgonu Sebyły: Katyń).

Wiele tłumaczy się obecnie „błędami i wypaczeniami okresu stalinowskiego". Tym przykrzej, gdy mówić trzeba o błędach i wypaczeniach okresu po-chruszczowskiego zainaugurowanego t. III-im, najsłabszym i najstrachliwszym z dotychczasowych. Zły to prognostyk dla t. IV-ego.

A szkoda. „Słownik" nawet w kalekiej formie obecnej jest niezbędnym narzędziem pracy. Włożono w opracowanie go wiele rzetelnej pracy a nawet entuzjazmu. Doceniamy to, odrzucając plewy. Jest ich jednak zbyt wiele.

Maria DANILEWICZOWA

« Z matki obcej... »

Dr Samuel Scheps jako kierownik Palestyńskiego Urzędu (filii *Jewish Agency)* w Szwajcarii zdołał przed samą wojną i w ciągu lat wojennych uchronić od zagłady tysiące istnień ludzkich. Urodzony i wychowany w Polsce, zdobył wyższe wykształcenie na Uniwersytetach Europy Zachodniej i osiadł na stałe w Szwajcarii.

Prawnik z zawodu ale znawca literatury polskiej i badacz dociekliwy, uznał że sprawa pochodzenia Mickiewicza i jego związków z Żydostwem nie zostały dotychczas należycie wyjaśnione, lub były zgoła przemilczane. Dr Scheps zadał sobie trud niemały zapoznania się z rozległą literaturą przedmiotu, usiłując wykryć w duchu bezstronnego krytycyzmu znaczenie proroctwa z III części „Dziadów" o Wskrzesicielu „Z matki obcej", imienia „44", z czego powstała książka „Adam Mickiewicz — ses Affinité Juives"[1]).

Dla wyjaśnienia kogo Mickiewicz miał na myśli w „Widzeniu ks. Piotra" wylano już niemało atramentu. Podjęli ten problem w pierwszym rzędzie znawcy przedmiotu, badacze sumienni, którym nie można zarzucić ani pomijania zagadnienia, ani oporów w jego poruszaniu, jak przypuszcza S. Scheps. Przegląd tych dochodzeń streścił, dziś już nieżyjący, prof. Juliusz Kleiner, uczony rozległej wiedzy i badacz niestrudzony, sam pochodzenia żydowskiego — streścił je w przypisie do swego pomnikowego dzieła pt. „Mickiewicz"[2]). W rezultacie wyniki tych dochodzeń pełne sprzeczności, nie doprowadziły do rozwiązania zagadki, stąd późniejsi biografowie nie wracali już do tego spornego tematu, nie zdobywszy żadnych nowych elementów.

◆

Gdyby Barbara Majewska, córka Mateusza Majewskiego, ekonoma w Czombrowie herbu „Stary Koń" i Anny z Orzeszków pochodziła z rodziny frankistowskiej lub sama zgoła była neofitką, w latach kiedy akcja Jakuba Franka (1726-1791) była współczesna, a nawróceni przez rzekomego „Mesjasza" Żydzi chodzili jeszcze po świecie, podobnie jak ich mistrz, rzecz ta zostawiłaby jakieś ślady w pamięci sąsiadów, w korespondencji Filomatów, w księgach parafialnych, po części zachowanych, albo w wileńskich Archiwach Akt Dawnych przetrząsanych latami przez dociekli-

[1]) Ed. Nagel Paris 1964.
[2]) Lublin 1948 t. I. str. 6-13.

wego archiwariusza Euzebiusza Łopacińskiego. Śladów tych jednak nie znaleziono.

Społeczeństwo szlacheckie, podobnie jak żydowskie, było w owych czasach zamknięte i nieprzenikalne. Szereg rodzin frankistowskich nobilitowanych w końcu XVIII wieku, zasymilowało się całkowicie i wsiąkło w stan szlachecki, ale o ich pochodzeniu pamięta się dotychczas, a frankiści, zwłaszcza w pierwszych pokoleniach, żenili się przeważnie tylko między sobą. Żydzi po wsiach naszych i miasteczkach byli sklepikarzami, pachciarzami, dzierżawcami, drzewnymi kupcami, ale nigdy ekonomami, dozorującymi służbę folwarczną. Mickiewicz miał powiedzieć Ksaweremu Branickiemu (słowa podane w przedmowie do „Bramy Pokuty", cytuję wedle Kleinera): „Mój ojciec z Mazurów, matka Majewska z wychrztów". Tymczasem nazwisko Mićkiewicz (bo z tym *c* palatalnym podpisywał się poeta póki nie opuścił rodzinnej Litwy) było pochodzenia ruskiego, od zdrobnienia Mićka (podobnie jak Kościuszko od Kościa), a jeżeli był w jego rodzie Mazur, to chyba w odległym pokoleniu. „Matka z wychrztów" mogło też oznaczać jakiegoś dalszego przodka po kądzieli, albo stanowić przypuszczenie poety z racji nazwiska? Wiemy skądinąd[3]), że Ksawery Branicki, skłócony z własną rodziną, nie znoszący klerykalizmu i dewocji, a ponadto fantasta nie może uchodzić za bezwzględnie wiarygodnego świadka. „Brama Pokuty", historyczna elegia rabina G. Schlossburga, ukazała się w 24 lata po śmierci Mickiewicza i w roku śmierci Branickiego, 1879. Wówczas kiedy ogromna większość współczesnych poety już była w grobie. Branicki lubił robić na złość krewnym i familiantom i w tym celu tłumaczenie polskie „Bramy Pokuty" poświęcił prowokacyjnie swemu powinowatemu Stanisławowi Tarnowskiemu, późniejszemu rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, który tę broszurę usiłował następnie wykupywać, aby ją zniszczyć doszczętnie. Powtórzenie rzekomego oświadczenia Mickiewicza w przedmowie do „Bramy Pokuty" mogło być też rodzajem prowokacji spreparowanej na złość antysemitom i klerykałom.

Kiedy spytano Ignacego Domeykę, kolegę Adama Mickiewicza, osiadłego od 1838 roku w Chile, co sądzi o rewelacji Branickiego, druh serdeczny, krajan poety i krewniak Maryli, odpisał zdziwiony: „Stary hrabia musiał się przesłyszeć, ja bym przecież coś o tym wiedział!" (Odpowiedź Domeyki cytuję z pamięci).

Gdyby Mickiewicz był pewny żydowskiego pochodzenia swej matki, skromnej, zaledwie piśmiennej i wcześnie zmarłej, dlaczegożby nie głosił tego sam przy całej miłości, którą żywił dla Izraela, zwłaszcza w okresie swej apostolskiej działalności w synagogach? O ileż wymowniejsze byłyby jego słowa, o ile skuteczniejsza akcja, gdyby mógł się powołać na krew i przynależ-

[3]) A. Lewak: K. Branicki, Polski Słownik Biograficzny, Kraków 1936

ność do narodu Obietnicy? A przecie nie uczynił tego nigdy, ani publicznie, ani nie wspominał o tym najbliższym przyjaciołom.

◆

Może najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem byłoby, że Mickiewicz poznawszy w Petersburgu znakomitą pianistkę Marię z Wołowskich Szymanowską[4] i jej rodzinę, autentycznych frankistów, mógł w jej domu zasłyszeć lub poznać frankistów, którzy przyjęli nazwisko Majewskich[5]) i powziąć domysł swego żydowskiego pochodzenia, a domysł ten mógł przejść w proroczą zapowiedź o „przyszłym namiestniku wolności".

Słowa „z matki obcej", jeżeli w ogóle mamy przyjąć, że Mickiewicz *siebie* miał na myśli w tym proroctwie, jak również wyznanie uczynione jakoby Branickiemu, powtórzone i zamplifikowane w irytacji przez Zygmunta Krasińskiego (szwagra K. Branickiego), nie są dotychczas potwierdzone żadnym innym świadectwem.

Co zaś do cyfry 44, która wedle Kabały odpowiada imieniu *Adam*, co polscy badacze brali już pod uwagę, w 10 lat po napisaniu „Widzenia" Mickiewicz twierdził że objawionym mu wtedy zbawcą był Towiański; zapytywany w późniejszych jeszcze latach miał powiedzieć, że nie pamięta jakie symboliczne znaczenie nadawał wtedy tej cyfrze.

Pewne światło na symbolikę cyfr, w tym wypadku może nowe, rzuca C.G. Jung, omawiając cyfrę *cztery*, pojawiającą się bardzo często w snach[6]).

„Symbolem centralnym chrześcijaństwa — dowodzi Jung — jest Trójca, formułą podświadomości jest czwórka... Mimo, że cyfra 4 jest symbolem o dawności ginącej w pomroce wieków, odpowiada ona zawsze pojęciu jakiegoś bóstwa stwarzającego świat... Ludzie nieświadomi znaczenia tej cyfry tłumaczą ją sobie na ogół jako coś symbolizującego ich samych, coś najbardziej tajnego ich własnej Istoty *(comme appartenant à leur Être le plus intime)*.

Przypuszczam, że dr Scheps nie ma racji twierdząc, że żadne słowo z „Widzenia ks. Piotra" nie jest dziełem przypadku, a przeciwnie każde stanowi wyraz ścisłej myśli poety. Noc powstania tych scen, pamiętna noc drezdeńska, była wedle świadectwa kolegów i ówczesnych współmieszkańców poety, nocą gwałtownego wybuchu natchnienia i jakby zmagania się z tajemnicą wszechbytu. Do słów spisanych w tym stanie półświadomości weszły zapewne przeróżne elementy podświadomości, żadną logiką niepowiązane, jak „baldakin księgi tajemniczej", „trzy oblicza", „trzy

[4]) Matkę jego późniejszej żony, Celiny.

[5]) Frankiści urabiali swoje nazwiska od daty urodzenia: miesięcy, lub dni tygodnia.

[6]) *Psychologie el Réligion*, Paris 1961.

stolice", „trzy korony" i tym podobne obrazy. *„On ślepy lecz go wiedzie Anioł pacholę"* — dotyczy również tego „Zbawcy". Mickiewicz, najbardziej polski z naszych poetów, omal symbol Polski, przyjął naród żydowski za naród bratni, głosił jego odwieczną misję dziejową, zapewniając mu w Polsce Odrodzonej („Skład Zasad" z 1848 roku) uszanowanie, pomoc i równe we wszystkim prawa, a czyny jego i wiecznie pamiętne wypowiedzi zdają mi się wiele ważniejsze od krwi.

Samuel Scheps zaktualizował nie tylko zagadnienie pochodzenia Mickiewicza, ale jego stosunek do Żydów, tło epoki, samą osobowość poety, jego polsko-żydowski mesjanizm, dopełniając obraz plonem ostatnich prac o Mickiewiczu oraz na podobne tematy w języku hebrajskim, prac na ogół Polakom niedostępnych. Mickiewicz występuje na kartach tej książki pod innym kątem widzenia i jakby w innym oświetleniu.

Książka S. Schepsa pisana po francusku, z dużą znajomością materiału którym operuje, o bardzo swobodnym wykładzie, traktująca każdy rozdział jako rzecz samą w sobie, będzie w stanie przeniknąć szersze, a także inne koła aniżeli prace pisane po polsku lub adaptowane dla cudzoziemców. Trafi też do Izraela, gdzie Mickiewicza, podobnie jak Towiańskiego, nie zapominają, o czym świadczą wymienione w bibliografi prace w języku hebrajskim: M. Bossaka, A. Brodesa, M. Bubera, Arona Eschkoli, B. Marka i in.

W przedmowie prof. Jean Fabre przypomina więzy łączące oba narody, wzrosłe od wieków na tej samej ziemi współpracujące dla niej i nawet w nieprzyjaźni współwalczące z przeciwnościami podobnego losu, aż do ostatniej zbrodni, która napiętnowała wiek XX.

Autor poświęcił swoją pracę pamięci starszego brata Józefa Schepsa, dr. medycyny, oficera Armii Polskiej, który wraz z kilku tysiącami polskich oficerów został zamordowany w Katyniu.

Maria CZAPSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

SWIANIEWICZ (S.). *Forced Labour and Economic Development.* An Enquiry into the Experience of Soviet Industrialization. (Wyd. Oxford University Press, Londyn, 1965. Cena 45 sh.).

KOCIEMSKI (Leonardo). *Un viaggio di mezza primavera a casa dei vandali.* Str. 45 i 3 nlb. (Odbitka z „Terme et riviere" Pisa, Lipiec-grudzień 1963 i styczeń-czerwiec 1964).

SUBOTIN (Stojan). *Przeglądy i recenzje* (dot. „Pamiętników Janczara" Kronika turecka Konstantego Michajłowicza z Ostrowicy). Str. 244-255. (Odbitka z Pamiętnika Słowiańskiego", Tom XIV).

LEWYTZKYJ (Borys). *Vier Monate nach Chruschtschows Fall.* Str. 1-20. Odbitka z dod. do tygodnika „Das Parlament", Bonn, 3 marca 1965).

WRONSKI (H.). *La localisation des forces productives en U.R.S.S.* Str. 391-412. (Odbitka z „Revue d'Economie Politique", Paris, 1964).

MOND (Georges). *La presse de l'Europe orientale et centrale.* Str. 75-99. (Odbitka z Revue de l'Université d'Ottava", Janvier-mars 1965, Ottawa, Canada).

CZEREŚNIEWSKI (Wawrzyniec). *Morze Jońskie.* „Motywów greckich" zeszyt trzeci. Str. 21. (Wyd. Księgarnia „Orbis", Londyn, 1964).

RUDZKA (Walentyna). *Karol Majewski w latach 1859-1864.* Str. 168. (Wyd. Polskiego Ośrodka Naukowego w Londynie, nakł. Księgarni „Orbis", Londyn, 1964).

WALEWSKI (Jan). *Jaśnie Państwo Tatrzańskie.* Str. 133 i 5 nlb. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1964, cena 30 sh.).

Rodowody Artylerii Konnej Wojska Polskiego. Opracowanie zbiorowe pod redakcją ppłk. dypl. Jerzego Boguskiego, Str. tytułową projektował ppłk. dypl. Jan Rómmel. Str. 66, 4 ilustracje, skorowidz nazwisk. (Wyd. Związek Artylerzystów Konnych na Obczyźnie, Londyn, 1964. Cena 20 sh. w okł. płóciennej 25 sh.

SCHEURING (Herman Zdzisław tyczne studium o śmierci króla Stefana Wielkiego Batorego. Str. 245 i 3 nlb. z fotografią autora. Nr. 2 Wydawnictwa Twa imienia Rodr. med.). *Czy królobójstwo?* Krymana Dmowskiego. (Nakład Zofii Scheuring, Londyn, 1964, cena egz. 30 sh.).

Informator uniwersytecki. Str. 59 i 1 nlb. (Wyd. Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Londyn, 1964. Cena 4 sh.).

O drogach, po których Kościół Katolicki ma dziś zmierzać by wypełnić swe posłannictwo (Encyklika Papieża Pawła VI „Ecclesiam Suam" z 6 sierpnia 1964). Przekład z jęz. łacińskiego i objaśnienia ks. dra Stanisława Bełcha. Str. 54 i 2 nlb. (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas" w serii „Dokumenty nauki Kościoła", Londyn, 1964, cena 3 sh. 6 d.).

KOCZY (Leon). *Uniwersytet Krakowski.* Sześć wieków w służbie Narodu i nauki. Str. 32. (Nakł. Kół S.P.K. w Szkocji, Stow. Marynarki Wojennej i Twa Społ.-Ośw. im. gen. Sikorskiego w Glasgowie dla upamiętnienia Tysiąclecia Chrztu Polski. Tłoczono w Oficynie Poetów i Malarzy, Szkocja, 1964).

Bitwa o Monte Cassino w dniu 12 maja 1944 r. w świetle dokumentów. Odczyt wygłoszony 15.X.1964 w Twie Wiedzy Wojskowej w Londynie przez płk. art. Stanisława OYRZYŃSKIEGO. Str. 16 i 3 szkice. (Powielacz).

Katalogi Polskich Wystaw Filatelistycznych zorganizowanych przez Związek Filatelistów Polskich w Wielkiej Brytanii w Instytucie im. gen. Sikorskiego w Londynie w dniach: 8-12. IV. 1960 (str. 16 i karnet pamiątkowy); 24-26. III. 1961 (Str. 24 i karnet pamiątkowy — wystawa pod hasłem: „Uchodźtwo w filatelistyce"); 9-12. III. 1962 (Str. 16 karty i znaczki pamiątkowe — wystawa pod hasłem: „Józef Piłsudski i Jego epoka w polskiej filatelistyce"); 20-21. IV. 1963 (Str. 16 i karnet pamiątkowy — wystawa pod hasłem: „Powstanie Styczniowe w polskiej filatelistyce).

Humor krajowy

Tym razem, niestety, jest to humor niezamierzony.

Autentyczne wyjątki z podań, składanych przez obywateli m. Warszawy do Urzędu Mieszkaniowego:

1) „Ja i moja żona jesteśmy razem 8 osób i dlatego poszukujemy 4-pokojowego mieszkania..."

2) „Chciałbym gwałtownego przydziału mieszkania ponieważ czuję pociąg do małżeństwa, aby podnieść się ze stopnia upadku. Czy istnieje możliwość aby jak najprędzej dostać mieszkanie, nadające się do poślubienia mojej narzeczonej".

3) „Siedzę trzy tygodnie na ulicy, czekam aby się mieszkanie wypróżniło. W tych warunkach jest moje życie głęboko żałujące..."

4) „...mam córkę i 2-ch synów, a wszyscy jesteśmy tak ograniczeni, że możemy wstawić tylko 2 łóżka. W jednym śpią chłopcy, a w drugim ja i moja 10-letnia córka, co już sprzeciwia się kryminałowi..."

5) „...ten pokój jest nie tylko szkodliwy dla zdrowia, ale podkopuje dobre obyczaje, moralność, zdziczenie społeczne i jest głęboko niebezpieczny..."

6) „W tym pokoju jest klozet, który chyli się do starości i ja, siedząc na nim, związany jestem z niebezpieczeństwem życia..."

7) „Chciałbym dostać mieszkanie z posadzką i fortepianem, a to ze względu na to, że mam duże wymagania co do naturalnych potrzeb..."

8) Nie mogę dłużej mieszkać pod jednym dachem z wdową, która znów chce dostać męża, a to z tego powodu, że mój interes chyli się ku upadkowi..."

9) „Mam reumatyzm i 4-letnie dziecko, a to wszystko z wilgoci..."

10) „...od trzech miesięcy jestem żonaty, a żona moja jest od dawna w poważnym stanie. Zapytuję Urząd Mieszkaniowy czy tak być musi?"

Zebrała: *Zofia HERTZ*

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście do redakcji Joachima Georg'a Görlicha uderzyło mnie ujęcie: „przegraliście bowiem wojnę, już nie mówiąc o zbrodniach hitlerowskich". Argument ten — pisze pan Görlich — „może być przekonywujący dla starszego pokolenia niemieckiego, ale nie dla młodego pokolenia niemieckiego, które nie przyczyniło się ani do wojny, ani do tych zbrodni i bynajmniej nie poczuwa się do winy i tym samym nie ponosi odpowiedzialności za czyny poprzedniego pokolenia oraz uważa, że jest czas aby „raz skończyć z tym rozdrobnieniem Niemiec i związanymi z tym stałymi roszczeniami pod adresem swego kraju z racji przegranej wojny". Dalej pan Görlich pisze: „Jednak za winy ojców nie mamy zamiaru odpowiadać". Przedtem, autor listu wyraził opinię z którą prawie wszyscy Polacy by się zgodzili: „Nie jestem też przekonany o tym, że za rozbiory (Polski, w 1772, 1793 i 1795) ponoszą winę tylko rozbiorcy, lecz raczej uważam, iż winy szukać należy także u Polaków, mówiąc ściśle, u rozkłóconej ówczesnej szlachty polskiej".

Czyżby pan Görlich nie zauważył niekonsekwencji w tego rodzaju rozumowaniu? Więc jeśli za rozbiory Polski winę ponoszą Polacy, czyż nie Niemcy ponoszą winę za obecny podział w całej Europie środkowej, włączywszy w to Niemcy?

Więc jeżeli pan Görlich odżegnuje się od odpowiedzialności za barbarzyńskie winy ojców, dlaczego przyjmuje za swoje ich zdobycze polityczne, terytorialne i kulturalne?

Przecież w przestrzeni świadomego bytu tego „młodego" niemieckiego pokolenia obecny stan rzeczy istniał, a więc rozdrobnienie Niemiec, roszczenia i przegrana wojna. Nie wchodzę w meritum sprawy czy stan posiadłości ojców młodego pokolenia był słuszny, prawny i bez kwestionowania ze strony poszkodowanych, jednak jeżeli przyjmuje się terytorialne Niemcy ojców, to trzeba również przyjąć odpowiedzialność za ich czyny. Jeżeli się nie chce przyjąć odpowiedzialności, to należałoby obecny stan faktyczny przyjąć za punkt wyjściowy.

A teraz z innej beczki. To młode pokolenie niemieckie nie jest znów tak wolne od imperializmu terytorialnego czy politycznego jakby p. Görlich chciał insynuować. Chociaż to młode pokolenie ma o wiele lepsze wyczucie liberalizmu i metodyki, myślenia, mentalności zachodniego demokratyzmu, jednak zrobiło ono bardzo niewiele w kierunku pojednania.

Henryk CYBA

◆

Londyn, 12.3.65 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Interesujący i bardzo rzeczowo napisany artykuł Bohdana Brodzińskiego w n-rze 3/209 Kultury nasuwa wiele uwag.

Sam Raport o stanie kultury polskiej w Londynie jest zestawiony dos-

konale i opracowany bezbłędnie, uderza jednak pominięcie politycznych i ideowych założeń emigracji. Obowiązki z tych założeń wypływające są wciąż aktualne i należy uczynić wszystko, aby kultywowane były przez naszych następców (o ile naturalnie nie zajdą radykalne zmiany w życiu narodu).

P. Brodziński wychodzi z założenia: „...że ciągle istnieje baza społeczna i warto na niej — i dla niej — tworzyć nadbudowę polskiej kultury".

Jeżeli przypatrzymy się w dalszych rozważaniach autora jak ma wyglądać ta nadbudowa, to mimo woli zastanowimy się czy „baza" jest wystarczająco liczna i czynna do takiej nadbudowy. W ramach „wymogów nowoczesnego zaawansowanego społeczeństwa" będzie trudno, a właściwie niemożliwe stworzyć i utrzymać nawet te okrojone przez Brodzińskiego instytucje kulturalne.

Musimy po cel, środki i potrzeby sięgnąć do innej dziedziny.

Powstanie jednego wielkiego ośrodka kultury polskiej w Wielkiej Brytanii nie jest potrzebą nas tutaj mieszkających, ale potrzebą narodową. Ośrodek ten musi zabezpieczyć nasze zdobycze, dać podstawę dla prac naukowych w wolnym i niezależnym świecie, powinien być ostoją z jednej strony dla Polaków pracujących na korzyść kraju wbrew i kontra dezyderatom partii komunistycznej, a z drugiej strony ma się opiekować przyjeżdżającymi z kraju na studia wolne od niewoli myślowej; a także nie należy zapominać o roli takiego ośrodka w tworzeniu i utrzymywaniu więzów z Zachodem.

Do budowy tak pojętego ośrodka kulturalnego powinniśmy stanąć wszyscy. Wiele wskazuje na to, że jeżeli nie zdecydujemy się na ten wysiłek w najbliższym czasie, to zaprzepaścimy wszystko cokolwiek było nam drogie w naszej dotychczasowej pracy na obczyźnie. Tak jak zaprzepaściliśmy wiele możliwości.

I naprawdę przyjdzie po nas świat, przed którym ostrzega nas artykuł Bohdana Brodzińskiego: — Polacy jako stali mieszkańcy i obywatele Wielkiej Brytanii szukający polskości tylko na święta i przeważnie w celach rozrywkowych? Ponieważ już dziś nasze możliwości „entertainment" są bardzo malutkie, więc polskość w przyszłości będzie „hobby" bardzo nielicznych Brytyjczyków polskiego pochodzenia, tylko tych, którzy nie będą mieli ogródka.

O środkach na stworzenie polskiego centrum kulturalnego pisałem już wiele. Trudno nam będzie otrzymać od władz brytyjskich pieniądze na utrzymanie ośrodka mającego być kuźnią polityczną i kulturalną narodu polskiego, a nie obywateli brytyjskich jedynie. Dotychczas poczuwając się do zobowiązań właśnie na tle politycznym kapano nam na nasze cele grosze żebracze. Obecnie, gdy asymilacja Polaków postępuje coraz bardziej, a od Jałty coraz dalej, mamy już mniej sympatyków i mniej walczących o nas Brytyjczyków na szczeblu „ambasadorskim" i innym.

Na stworzenie tego ośrodka muszą być zużyte grosze pozostawione przez władze cywilne i wojskowe, pieniądze społeczne nagromadzone ze składek ludzi w większości już będących poza Wielką Brytanią. Należy odebrać te pieniądze wszelkim powiernikom i opiekunom i rozważnie ulokować, a z dochodów utrzymywać polski ośrodek kulturalny.

Słowo „odebrać" może razi pewnych ludzi, a innym wydaje się nierealne. Jednak jeżeli w Wielkiej Brytanii powstanie jedna masowa organizacja społeczno-kulturalna i jeżeli jej członkowie w ilości kilku tysięcy, czy lepiej kilkunastu tysięcy, zwrócą się do władz brytyjskich, do Parlamentu, czy do Charity Commissioner'a o ubezwłasnowolnienie powierników i przekazanie pieniędzy na ogólne cele, należy wierzyć, że sprawa może być załatwiona.

W tym samym numerze „Kultury" Witold Kuss z Argentyny opisuje

losy powiernictwa w tamtym kraju. Każdy Polak powinien to przeczytać i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Nam grozi to samo i to bardzo szybko.

Słyszy się głosy, aby położyć kreskę na tym co zostało zagarnięte i zacząć wypracowywać od nowa. Artykuł Bohdana Brodzińskiego też sugeruje zdobywanie pieniędzy z „działalności klubowej", inwestycji i subsydiów rządowych. Mało. Potrzeba więcej i to więcej posiadają powiernicy i zarządy. Jeżeli oni sami nie zrozumieją, że to potrzeba narodowa wymaga od nich oddania pieniędzy na jeden wspólny cel, to trzeba będzie działać inaczej. Miejmy jednak nadzieję, że „potencjał cywilizacyjny" emigracji jest jeszcze spory i dojdzie do porozumienia i zrozumienia.

Czesław DOBEK

◆

Caracas, 17 stycznia 1965.

De Redaktora „Kultury"

O rosyjskim tłumaczu i poecie, Josifie Brodskim, czytałem w poprzednich nr. „Kultury" i historia jego losu wstrząsnęła mną dogłębnie. Toteż otrzymawszy Nr 207/208 „Kultury" przystąpiłem z punktu do lektury zamieszczonych wierszy. Co zresztą, czynię zawsze, zaczynając lekturę od: wierszy, listów, (ostatnio bardzo nieciekawych), Miłosza, Gombrowicza, itd. Przy lekturze tych wierszy, niewiele zresztą myśląc o samym Brodskim, stwierdziłem, że jest to poezja, jakiej w „Kulturze", poza świetną poezją Miłosza spotyka się niewiele. Bo wiersze zamieszczane w niej ostatnio, oceniam raczej surowo. I stwierdziwszy, że wiersze Brodskiego są nie tylko z gatunku rzadko spotykanych, ale wręcz świetne, „Kulturę", dla pilnej korekty szkicu o Camusie, odłożyłem. Ale gdzieś w pokładach podświadomości mojej wiersze te zahaczyły się głęboko.

Minęło kilka dni i któregoś dnia wieczorem, wiersze Brodskiego wróciły do mnie najzupełniej nieoczekiwanie, tak, że nie mogłem oprzeć się nieprzepartej potrzebie przeczytania ich raz jeszcze. Bo nagle, wróciła do mnie cała aura i tragiczna głębia tych obrazów — jakże doskonałych, bo dalekich od powszechnej „belferskiej układności i poprawności". I chyba ta ich tkanka, ta pozorna „chropowatość" — stopiła się w osiągnięcie doskonałe. Przeczytawszy je jeszcze dwa razy, zwróciłem się do syna, zajętego pilnie lekturą „Roku 1984" — Orwella: wiesz, — powiedziałem — są w tej „Kulturze" świetne wiersze „zbuntowanego" poety rosyjskiego. „Na czym ta świetność polega" — zapytał nagabnięty. Świetne są dlatego, że nie mają nic ze zbuntowanej i barwnej a krzykliwej plakatowości świetnych wierszy Majakowskiego, i innych poetów, — tak jak to dziś właśnie widzimy.

I to powiedziawszy, zauważyłem, że jest i nota tłumacza: Józefa Łobodowskiego, na którą dotąd zupełnie nie zwróciłem uwagi.

„Brodskij — pisze Łobodowski — jest autentycznym poetą, chociaż bardzo jeszcze niedojrzałym, dopiero poszukującym właściwego wyrazu". P o s z u k u j ą c y m? I dopiero to, — poszukującym — stało się pobudką do przeczytania całej noty tłumacza.

Lecz jakże się tą jego notą zdumiałem! Ależ nie! Nie! Łobodowski się myli! Wprost przeciwnie! Poezja Brodskiego jest najwyższej miary! Łobodowski pisze: „Brodskij jest k i m ś i jeżeli jego rozwój nie zostanie zahamowany lub wykrzywiony przez wiadome środki administracyjne, poezja rosyjska (wyraźnie — r o s y j s k a n i e s o w i e c k a) uzyska tęgą pozycję".

Nie! To jest błąd! Bo właśnie już ją uzyskała! Na co Łobodowski chce jeszcze czekać? Na „Chagalla"?... Właśnie dawno nie czytałem w

„Kulturze" poezji tak dobrej i z takim podtekstem i dnem. Nie. To są nieporozumienia — jak były z prozą Borisa Pasternaka... I właśnie myślę, że kiedy Brodskij, z owej „chropowatości" będzie całkiem wyczyszczony i wylizany na glanc, wówczas Łobodowski nie będzie miał już czego przekładać. A przekład obecny i wybór są znakomite.

Beniamin Józef JENNE

◆

Monachium, dnia 5 marca 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W marcowym numerze paryskiej „Kultury" w artykule Gaston de Cerizay „Konwencja Międzynarodowa" znalazł się m.in. następujący ustęp: „...Ogłoszono w tygodniku „Prawo i Życie", że fotokopia listu Wańkowicza, który był przedmiotem rozprawy sądowej, zrobiona była w pomieszczeniu Free Europe w Monachium. Ta wiadomość niewątpliwie zainteresuje współpracowników Radia monachijskiego i w ten sposób rozwiązana została jedna z tajemnic...".

Wiadomość byłaby istotnie intrygująca, gdyby zawierała chociaż cień prawdy. Po pierwsze jednak „Prawo i Życie" nigdy nie podało informacji, jakoby fotokopia listu Wańkowicza sporządzona była w siedzibie RWE w Monachium. Po drugie Bezpieka dokonałaby nielada cudu fotografując w budynku RWE dokument, który nigdy się tam nie znajdował.

Jedynym świadkiem oskarżenia na procesie Wańkowicza był major UB — Tadeusz Cibor, urzędnik ambasady PRL w Waszyngtonie. W czasie jego zeznań przezornie zarządzono rozprawę przy drzwiach zamkniętych, ale już sam fakt zawezwania jako jedynego świadka funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa, który przebywał w Waszyngtonie, miał niewątpliwie na celu wywołanie na zewnątrz wrażenia, że list Wańkowicza do jego córki w Stanach Zjednoczonych został wykradziony czy też sfotografowany w jej mieszkaniu.

Jak wynika z artykułu w „Prawie i Życiu" z dnia 22.11.1964 („Proces Melchiora Wańkowicza — Spór o metodę") pisarz oskarżony był o to, że „przekazał zagranicę opracowanie o objętości 29 stron maszynopisu zatytułowane „Projekt przemówienia J. A. względnie substrakt przemówień kolejnych 4-5 mówców".

Opracowanie to miało być wykorzystane w audycjach radiowych RWE a następnie wydrukowane w wydawnictwie „Na Antenie". „Prawo i Życie" cytuje kilka przykładów „szkalujących sformułowań" z elaboratu Wańkowicza. Nie odnajdzie ich jednak ani czytelnik „Na Antenie", ani też nie przypomni ich sobie słuchacz RWE. Powód jest prosty. Wbrew twierdzeniu oskarżenia „maszynopis na 29 stronach", który kursował po Warszawie, nigdy nie dotarł do naszych rąk. Do wiadomości naszej doszły z kraju jedynie niektóre fakty, opisane w elaboracie.

Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa podobnie jak miesięcznik „Kultura", jak zresztą każda inna placówka prasowa ma swoje własne źródła wiadomości i stara się informować swych słuchaczy o wydarzeniach w Polsce. Nie jest to na rękę organom bezpieczeństwa, które usiłują ukryć prawdę przed opinią publiczną. Stąd celowe szerzenie fałszywych wersji, które siać mają podejrzenia i nieufność, zwłaszcza w środowiskach emigracyjnych. Powtarzając je — autor artykułu w „Kulturze" oddaje mimowoli cenną usługę czynnikom komunistycznym.

Jan Nowak
Dyrektor Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa

Dacrelands, Lancaster, 7 marzec 1965.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Gdyby ktoś napisał, że mistrzem Przybosia jest Lechoń, należałoby zaprotestować, w imię po prostu zdrowego rozsądku literackiego.

W imię tegoż rozsądku muszę sprostować twierdzenie autora czy autorki rubryki „W oczach Londynu" (Kultura nr 209) jakoby Marian Hemar był moim mistrzem. Sam Hemar, znakomity satyryk i uroczy piosenkarz, z politowaniem spojrzałby na takiego ucznia, który nie uprawia satyry politycznej i w życiu nie napisał piosenki. Jeżeli miewałem mistrzów, a któż ich nie miewał, byli nimi Lechoń, Tuwim i Gałczyński, w tej właśnie kolejności.

„Muza sprzedajna", jak sugeruje tytuł, zbiór fraszek i żarcików, zawierający również żartobliwe reklamy na piwo Żywieckie i Czystą Wyborową, zdumiewa autora, czy autorkę rubryki, jako „osobliwość nie dająca się wytłumaczyć" i jako dowód funkcjonowania we mnie „złośliwego nowotwora, demona samounicestwiania". Gdyby m.l.d. napisał czy napisała, że to są liche fraszki, lub niezabawne żarciki, „demon" byłby usprawiedliwiony. Wydaje mi się natomiast że sam fakt wydania zbioru fraszek, nie jest jeszcze dowodem na istnienie „demona". Napisanie fraszki, czy nawet żartobliwej reklamy, nie musi być „opadnięciem na wygodny materac łatwizny". Być oczywiście może, ale wtedy trzeba powiedzieć czemu. Proszę bardzo, niech mnie m.l.d. „zerżnie". Będę uradowany. Byle nie „demonicznie" ale faktycznie.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Jan ROSTWOROWSKI

◆

Londyn, dn. 14 marca 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim numerze „Kultury" Nr 3/209 z 1965 r. w artykule „Książki — W oczach Londynu" podpisanym „m.l.d." na str. 133-134, autor podając recenzje książek, między innymi pisze: „Wdowa po śp. drze med. Hermanie Zdzisławie Scheuringu wydała przy pomocy Jędrzeja Giertycha w ramach wydawnictw Tow. im. R. Dmowskiego obszerną rozprawę Zmarłego pt. „Czy królobójstwo? Krytyczne studium o śmierci króla Stefana Wielkiego Batorego".

Dla uniknięcia mylnych interpretacji powyższego komunikatu wyjaśniam: książkę pt. „Czy królobójstwo?", której autorem jest mój śp. Mąż — wydałam własnym nakładem — bez żadnej finansowej pomocy.

Książka wyszła w ramach wydawnictw Tow. im. Romana Dmowskiego za moją zgodą.

Uprzejmie proszę o umieszczenie tego wyjaśnienia w Pańskim poczytnym piśmie.

Z wyrazami szacunku

Zofia SCHEURING

◆

Monachium, luty 1965

Pan Wacław Zbyszewski zajął się obecnie udzielaniem porad ekonomicznych ministrom gospodarki na całym świecie, wykazując przy tym niesamowite wprost poczucie tzw. wolnego żartu.

Tak dla przykładu. W artykule „Niemiecki Wirtschaftswunder" („Kultura" Nr 3/197 z marca 1964 r.) powiada tak: „...W roku 1958, zaledwie pięć lat temu, robotnik niemiecki musiał pracować OSIEM minut, by zarobić na kufel piwa. W roku 1963 w tymże celu musiał pracować już tylko pięć minut!..." Przerachujmy to. W 1958 roku kufel piwa kosztował 0,50 DM, co równa się 3,50 DM. na godzinę. W 1963 kufel piwa kosztował 0,55 DM. co wynosi 6,60 DM. Nie odpowiada to absolutnie prawdzie. W sierpniu 1964 r. przeciętny realny zarobek robotnika wynosił 3,00 do 3,30 DM. na godzinę.

Gorzej zapewne wypadłoby porównanie cen chleba. W 1958 r. bochenek tzw. pytlowego kosztował 0,70 DM., a w roku 1963 JUŻ 1,05 DM. Ogólnie ceny artykułów spożywczych wzrosły odpowiednio do cen chleba, albo i więcej, jak na przykład mięso. (Siekane 1,20 DM. funt w 1958 r., 2,45 DM w 1964 r.). Zarobki zaś w tym czasie wzrosły przeciętnie o 21%. „...Dusić płace!!!"

Nic też cudownego, że w tej krainie cudów robotnik w zimowy mroźny ranek (5,30) wiezie na rowerze dwoje dzieciaków 2, 3 czy nawet 5 kilometrów, by oddać je na przechowanie do „Kindergarten", gdyż żona musi również pracować (powinna), bo zarobek jego absolutnie nie wystarcza na utrzymanie takiej rodziny.

W roku 1960 80% zarabiało poniżej 600 DM. miesięcznie, 14% od 600 do 1000 i 4% powyżej 1000, kobiety zaś: 97% poniżej 600 DM. miesięcznie, 2% od 600 do 1000 i 0,5% powyżej 1000. Przeciętnie zarobki wzrosły od 1960 r. do 1963 r. o 4,5%. W tej liczbie, zarabiających poniżej 600 DM. miesięcznie, znajduje się 2,2 miliona przeróżnych rentierów, których renta miesięczna niezawsze osiąga sumę 200 DM., a zarobki poniżej 600 DM. niezawsze osiągają przeciętnie 400 DM miesięcznie.

Oczywiście skala zarobków znajduje swoje dokładne odbicie w posiadanym przez obywateli Bundesrepublik majątku. Ogólnie majątek ten wynosi 73 miliardy DM. i należy zaledwie do 380.000 ludzi. Olbrzymia, przygniatająca większość nie posiada żadnego, mającego jakiejś znaczenie i oczywiście nie podlegającego opodatkowaniu. Spośród tych 380.000 tysięcy zaledwie 9000 posiada ogólnie majątek na sumę tylko 30 miliardów DM. Liczby mówią same za siebie, komentarze zbędne. Zaś w roku 1972 ekonomiści zachodnio-niemieccy obliczają ilość bezrobotnych na 2,5 miliona!!!

Osobiście nie mam żadnych wątpliwości, że taki stan rzeczy istnieje nie tylko w krainie cudów, ale i w innych krainach na zachodzie. Pozwolę zatem sobie i ja poradzić, by Pan W.A. Zbyszewski wyciągnął właściwe wnioski z przytoczonego powyżej rzeczywistego stanu, co bardzo ułatwi mu danie sobie odpowiedzi na pytania, postawione na zakończenie artykułu o niemieckim cudzie gospodarczym.

Bogdan SZARLAK

◆

Burzaco, 16 lutego 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W grudniowym numerze „Kultury" (Nr 12/206 — 1964 r.) ukazał się artykuł pt. „Polacy w Argentynie", w którym p. Witold Kuss, senior, pisze m.in.:

„Antysemityzm, którego pozorne objawy można znaleźć w życiu tutejszym jest sztuczny, tworzony przez nieliczne faszyzujące grupy, których członkowie w dużej części, jeżeli nie w większości, rekrutują się z nieargentyńczyków. „Alianza Nacionalista" dla przykładu — organizacja skrajnie faszystowska, jedyna zresztą, która w czasie rewolucji przeciwperonistycznej walczyła dosłownie do ostatniego żołnierza w obronie reżymu, miała między swymi członkami większość Niemców i Polaków".

Chciałbym zapytać p. W. Kussa z jakich to źródeł wyciągnął te dane. Umieszczenie takiej wiadomości na łamach „Kultury" przez osobę mieszkającą w Argentynie i to w dziale „Antypolonizm" jest właśnie typowym „antypolonizmem" szerzonym mimo woli — chcę wierzyć — przez Polaka. Informacja tego rodzaju puszczona bezkarnie w świat może wywołać wrażenie, że rzeczywiście emigracja polska w Argentynie, a szczególnie byli żołnierze, nie ma nic lepszego do roboty jak branie udziału w tworzeniu organizacji o takim charakterze. Mało tego. Stanowienie większości jej członków i to do spółki akurat z Niemcami...

Jeśli nawet zdarzył się wypadek, że prasa podawała jedno czy drugie nazwisko o brzmieniu słowiańskim jako rzekomego agenta gen. Andersa czy innej grupy emigracyjnej (Chorwaci) w związku z jakąś „akcją" tej organizacji to wcale nie jest to dowodem, że Polacy masowo należeli do „Alianza Nacionalista" tworząc większość jej członków i to razem z Niemcami.

Podobnie jak p. W. Kuss mieszkam w Argentynie ponad 16 lat i mniej więcej orientuję się w tutejszym życiu politycznym i dlatego bardzo proszę autora tego artykułu o podanie nazwisk Polaków stanowiących „większość" członków „Alianza Nacionalista". W przeciwnym bowiem razie będę zmuszony uznać wypowiedzi p. Kussa na ten temat jako wysoce szkodliwe dla sprawy polskiej i dobrego naszego imienia w Argentynie.

Łączę wyrazy szacunku.

M. WIĘCKOWSKI

◆

Hammel, 18 stycznia 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. Joachima G. Görlicha w 12/206 numerze „Kultury" i niektóre wypowiedzi czołowych zach.-niemieckich polityków skłoniły mnie do napisania tych paru uwag.

Na wstępie chciałabym zaznaczyć, że jestem jak najbardziej daleka od chęci rozpatrywania stosunków polsko-niemieckich z punktu widzenia odpowiedzialności jednego niemieckiego pokolenia, jak to próbuje implikować Polakom p. Görlich. Nie zachwycam się również tendencjami istniejącymi w obecnej Polsce tłumaczenia wielu niedociągnięć systemu, zniszczeniami wojennymi, które miały miejsce przeszło 20 lat temu. Nie jestem historykiem i historia interesuje mnie tylko w takim zakresie, w jakim ma związek z teraźniejszością. Mój głos jest po prostu głosem przeciętnego śmiertelnika.

Czytając list p. Görlicha zastanawiałam się, czy autor nie potrafi pewnych spraw zrozumieć, czy jest mu tak po prostu wygodniej. Granica na Odrze i Nysie jest sprawą często dyskutowaną. Każdy polski rząd, komunistyczny czy nie-komunistyczny, stałby w tym wypadku na takim samym stanowisku: uznania przez NRF obecnej polskiej granicy zachodniej. P.

Görlich sugeruje, „że rząd NRF byłby gotów do niejednej koncesji na rzecz Polski, gdyby rząd PRL był skłonny do ustępstw w sprawie zjednoczenia". Tutaj jest właśnie pies pogrzebany. Rząd NRF chciałby najpierw osiągnąć zjednoczenie Niemiec, a później dyskutować sprawę granicy między Polską a Niemcami. Rząd PRL nie chce zgodzić się z takim porządkiem rzeczy. Czy można mu się dziwić? Dlaczego rząd NRF nie chce najpierw uznać granicy na Odrze i Nysie, a potem dyskutować sprawę zjednoczenia Niemiec? Czy dlatego, że po zjednoczeniu Niemcy byłyby silniejszym państwem i łatwiej mogłyby liczyć na narzucenie swojej woli Polakom? Na tym zdają się polegać ciche nadzieje rządu NRF i tego właśnie mogą obawiać się Polacy. Jest zupełnie zrozumiałe, że rząd PRL będzie dążył wszystkimi siłami do uznania najpierw przez NRF granicy na Odrze i Nysie, a sprawę zjednoczenia Niemiec odsuwał na plan dalszy. Tak postąpiłby każdy polski rząd w tej sytuacji. Obecny rząd w Polsce nie ma za sobą poparcia narodu w innych kwestiach i sprawa granicy na Odrze i Nysie, jest jednym z niewielu, jeżeli nie jedynym, jego mocnym atutem w oczach całego polskiego społeczeństwa. Nie można więc spodziewać się zmiany stanowiska w tej sprawie ze strony rządu PRL.

Argumenty wysuwane przez p. Joachima G. Görlicha na obronę stanowiska rządu NRF w tej sprawie, nie mogą wytrzymać żadnej rzeczowej krytyki. Sądzę, że Niemcy nie mają co wytykać Polakom nie bardzo humanitarnego wypędzania ludzi. Biorąc pod uwagę sytuację istniejącą po wojnie w Polsce wysiedlanie ludności niemieckiej odbywało się w zupełnie przyzwoitych warunkach. Polacy na ten temat mieliby dużo więcej do powiedzenia. Autor listu ma za złe rządowi PRL, że brata się z rządem NRD., ale czy można w ogóle wyobrazić sobie, że obecny rząd w Polsce mógłby nie bratać się z rządem NRD. Patrzmy na sytuację trzeźwo. Na temat postępowania marsz. Mariana Spychalskiego można tylko powiedzieć, że nie jest on reprezentatywnym przedstawicielem polskiego narodu.

Sprawa jednak stosunków polsko-niemieckich i wspólnej granicy, to nie sprawa takiego czy innego rządu, to sprawa całego polskiego i niemieckiego narodu. Niemcom w NRF dużo łatwiej zapomnieć o wojnie która zakończyła się 20 lat temu, niż Polakom w PRL. Poza ciężkim ale krótkim okresem początkowym to okres niebywałej *prosperity* dla NRF. Rząd komunistyczny został narzucony Polakom po wojnie, wbrew woli większości narodu. Jakkolwiek Hitler nie planował zaprowadzania komunistycznego ładu w Polsce, obecna sytuacja jest konsekwencją działań wojennych rozpoczętych przez Niemców. Z wojny naród polski wyszedł wykrwawiony, osłabiony pod każdym względem i z rządem narzuconym przez obce mocarstwo. Czy Niemcy mogą dziwić się, że Polakom zależy na zagwarantowaniu obecnego stanu posiadania? Jak Niemcy postępowaliby gdyby byli w sytuacji Polaków?

Niemieckie roszczenia do polskich Ziem Zachodnich można by porównać z polskimi roszczeniami do Kijowszczyzny. Po wyzwoleniu w 1918 r. trudno było części polskich polityków pogodzić się z myślą, że Kijowszczyzna nie będzie należeć do Polski. Żaden jednak z dzisiaj żyjących polityków polskich nie wysuwałby na serio takich roszczeń. Zrezygnowanie z posiadania Kijowszczyzny nie jest dowodem obrony interesów Ukraińców lub Zw. Sow., jest po prostu logiczną konsekwencją niemożliwości zrealizowania tych roszczeń.

Oczywiście politycy niemieccy mogą próbować dochodzić swoich roszczeń ponad naszymi głowami, starając się zyskać poparcie wielkich mocarstw dla swoich planów. Że takie podejście nie będzie sprzyjało przyjaznym stosunkom między Polakami a Niemcami nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. A czy Niemcy będą mogli kiedykolwiek liczyć na poparcie swych żądań oddania im Ziem Zachodnich — to pytanie. Nad tym pytaniem

powinni zastanowić się politycy niemieccy we własnym interesie (nie w naszym), spokojnie i trzeźwo.

Moja wypowiedź nie jest wypowiedzią starego człowieka zapatrzonego w przeszłość, w chwili wybuchu wojny miałam 10 lat. Jestem wyznania ewangelicko-augsburskiego, język niemiecki był moim pierwszym obcym językiem. Przez wiele lat mieszkaliśmy na Pomorzu i moja rodzina utrzymywała b. przyjazne stosunki z mieszkającymi tam Niemcami. Jestem jak najbardziej za dobrymi stosunkami między obu narodami. Moje stanowisko w tej sprawie nie jest podyktowane jakąś odwieczną nienawiścią między Polakami a Niemcami, jest po prostu obroną polskich interesów narodowych, tak jak je widzę.

Z poważaniem

Wanda WRÓBLEWSKA

◆

P. Tytus Komarnicki nadesłał list do Redakcji, w którym polemizując z listem p. Cz. Dobka, zamieszczonym w nrze 3/209 „Kultury" stwierdza, że w wydaniu „Diariusza i Tek" J. Szembeka nie partycypowała Wolna Europa oraz że nieścisła jest informacja jakoby Polski Ośrodek Naukowy w Londynie wydał książkę Janusza Rymszy pt.: „The Theory of Egoistical Cruelty".

◆

Ze względu na zwiększającą się stale liczbę listów do Redakcji jesteśmy zmuszeni zwrócić się do Czytelników z prośbą, aby nadsyłane listy nie przekraczały objętościowo pół strony „Kultury".

Zastrzegamy sobie jednocześnie prawo do ewentualnych skrótów.

REDAKCJA

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2e trimestre 1965

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**

Adres Redackji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZILIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 6335, Sao Paulo, Tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél : HU 8-5224 ; **H.R. Radomski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829 ; **M. Krol,** 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; « **Zwiazkowiec** », 1475 Queen St., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491 ; **W.T. Drymmer,** 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 $ Can.	8,00 $ Can.	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Rad Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, **N.Y., L. Dudarow Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave.; Hollywood 46, Cal.; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; **T. Konopacki,** 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **Polish Amer, Book C°,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing C°,** Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; **R.J. Sas-Babczynski,** 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; **Jan Wojcik,** 24 Doris Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski,** 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych,** 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CV - Seria «Dokumenty»

w opracowaniu

WIKTORA SUKIENNICKIEGO

BIAŁA KSIĘGA

zawierająca zbiór dokumentów, dotyczących stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich z okresu dwóch wojen światowych.

Str. 176 — Cena egz. F. 12,75 (19 sh.; $ 2,75)

◆

TOM CVI

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

EWOLUCJONIZM

Str. 68 — Cena egz. F. 6 (9 sh.; $ 1,25)

◆

TOM CVII

ABRAM TERC

MYŚLI NIESPODZIEWANE

Przekład Józefa ŁOBODOWSKIEGO

Str. 94 — Cena egz. F 7,50 (11/6; $ 1,75)

◆

TOM CVIX

WACŁAW IWANIUK

WYBÓR WIERSZY

Nagroda Literacka «Kultury» za r. 1964

Str. 110 — Cena egz. F 7,50 (11/6; $ 1,75)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 5,00 F